AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI

W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH

(1846—1859).

(Ciąg dalszy).

Wstrętne akcessoryum reakcyi stanowiła wszędzie, w Wiedniu, na Węgrzech a w Galicyi przedewszystkiem, zgraja denuncyantów, oczerniających przed władzami wszystkich, którzy się im narazili lub w ogóle niepodobali, nie wyjmując urzędników i wojskowych, którzy w danym razie okazali się słabymi albo tylko pobłażliwymi. Nikczemnicy ci narzucali się władzy policyjnej ze swojemi dobrowolnemi usługami, lub na ochotnika zasypywali ją bezimiennemi donosami. Wstrętne to musiały być indywidua, skoro o nich z pogardą mówi taki apologeta Windischgratza i w ogóle całej reakcyi po r. 1848 jak bar. Helfert. Jeden z poważnych historyków tej doby porównał roje denuncyantów, którzy po zawierusze rewolucyjnej r. 1848 wychylali się z nor swoich pod cieniem reakcyi, bardzo trafnie z plugawem robactwem, wyłażącem z ziemi, którą przedtem gwałtowna ulewa do głębi zwilżyła i poruszyła. Gdyby przynajmniej władze policyjne traktowały były wszystkie te denuncyacye bezimienne z taką ostrożnością i rezerwą, jaką prosta przyzwoitość nakazuje, plaga ta byłaby może prędzej przeminęła. Skoro jednak widziano, że niema takiej bredni, którąby nie znalazła przystępu do podejrzliwych umysłów policyjnych i nie ściągnęła na oczernionego przynajmniej szykany do pewnego czasu, to rezultat musiał wpływać w sposób ośmielający i zachęcający na wszystkich ochotników rzemiosła szpiegowskiego. Jako przykład niesłychanej łatwowierności władzy z jednej a bezczelności i nikczemności denuncyantów ochotniczych z drugiej strony, niech posłuży fakt, którego możliwość sam autor zakwestyonowałby, gdyby wiadomość czerpał był z drugiej ręki a nie

widział rzeczy własnemi oczyma, czarno na białem w aktach urzędowych. Chodziło tu o dostojną i szlachetną damę, otaczaną głęboką czcią przez całe społeczeństwo polskie, która z wysokiem rodowem stanowiskiem łączyła blask cnót i dzieł dobroczynnych.

Dnia 1. marca 1853, pisze ówczesny minister policyi, generał br. Kempen, do hr. Gołuchowskiego, że otrzymał doniesienie o sięgających po za sferę usług religijnych stosunkach tej damy z ówczesnym lwowskim arcybiskupem ks. Baranieckim. Prosi tedy zaraz ten ciekawy minister policyi Namiestnika hr. Gołuchowskiego, ażeby w rzecz bliżej wejrzał i doniósł o wyniku. Na to zapytanie, tak przejrzyste w swojem brzmieniu, że zamiar rzucenia najohydniejszej infamii na poważaną w całym kraju damę i najwyższego dostojnika kościoła katolickiego uderzyć musiałby najtępszego biurokratę, odpowiedział hr. Gołuchowski w sposób, odpierający z oburzeniem niegodne podejrzenie a przytem zarzucający wprost pytającemu ministrowi, że jest zbyt pochopny do korzystania z lichego źródła informacyi, „gdyż nie braknie nigdy ludzi służbistych, którzy poczytują to sobie za szczególną zasługę, jeżeli mogą w skryty sposób zohydzać osobistości zajmujące w społeczeństwie wybitne stanowiska“. Z dalszej treści odpowiedzi hr. Gołuchowskiego dowiedział się br. Kempen, jak znamienite osobistości, znane w całym kraju nietylko ze stanowiska swojego, lecz — i to głównie — z humanitarnej działalności, wybrane zostały tym razem przez bezimiennego potwarcę za cel pocisku.

W zapiskach z częstych podróży hr. Gołuchowskiego do Wiednia po r. 1849 znaleźć można niejedną denuncyacyę, która nie weszła nawet do urzędowego protokołu podawczego, jako widoczna napaść na szykanę obliczona. Ale są i takie, które noszą podpisy znane i z tego powodu sprawiały kłopot, bo trzeba je było w sposób niejako dyplomatyczny nieszkodliwemi uczynić. Tak n. p. znany z lat 1846—1848 Karol Wohlfarth (ówczesny sekretarz gubernialny) wręczył w tym czasie w Wiedniu hr. Gołuchowskiemu sążnisty memoryał, opisujący zajścia z r. 1848 w Żółkwi, dokąd ze Lwowa, „tego wulkanu, pełnego wrzącej lawy zdrady stanu“ przybył „głośny ze swojego talentu krasomowczego a z tego właśnie powodu tem niebezpieczniejszy emissaryusz lwowskiej Rady narodowej d'Abancourt“. Wiedziano powszechnie, że hr. Gołuchowski był życzliwie dla d'Abancourta usposobiony, więc Wohlfarth z dobrze wyrachowaną perfidyą zaczął swój memoryał od tak drażliwego oskarżenia a potem dopiero przedstawił zasługi własne i połączonych z nim Rusinów żółkiewskich w sparaliżowaniu akcyi

d'Abancourta, proponując odszczególnienia i wynagrodzenia. Memoryał pozostał w aktach „jako cenny materyał“ a z propozycyi w nim zawartych hr. Gołuchowski, jak się zdaje, wcale nie skorzystał. Wprawdzie jeden z wymienionych w memoryale mandataryuszy otrzymał potem posadę przy urzędzie podatkowym, ale tego niemożna uważać za osobliwe wynagrodzenie a tem mniej za odszczególnienie, o które Wohlfarthowi głównie chodziło.

Zarzut nielojalności, nawet w ogólnikowej, nieuchwytnej, formie podniesiony, wystarczał w tych czasach do zguby urzędnika, w ogóle funkcyonaryusza od rządu zależnego. „Podobnych zarzutów — pisze dr. Euzebiusz Czerkawski[1]) — nie można było lekceważyć w owym czasie wszechpotężnej reakcyi, w którym nawet cień narodowego usposobienia brano za złe, szczególnie rządowym urzędnikom. Wtenczas to usunięto niespodzianie czterech profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego bez jawnej przyczyny, tylko może dlatego, że się mniej ostrożnie wyrażali o stosunkach politycznych i o sprawie narodowej. Jeżeli pomimo to wobec przytoczonych napaści wyszedłem bez widocznego szwanku, miałem to w znacznej części do podziękowania hr. Gołuchowskiemu, który przekonawszy się o błahości czynionych mi zarzutów, nie wahał się wziąć mnie w obronę wobec Ministra, a nawet postawił mu alternatywę: albo oszczędzić mi dalszych podejrzywań, albo przenieść mnie do innego zakresu działania. Na to Thun odpowiedział uspokajająco“.

Owo wydalenie czterech profesorów krakowskich, głośne w swoim czasie dla samego faktu a dziś godne szczegółowego przedstawienia dlatego, że nazwiska wydalonych od tego czasu okryły się sławą i mają już historyczne znaczenie, było także dziełem denuncyacyi. Tem niebezpieczniejszą była tutaj taka tajna denuncyacya, że W. K. Krakowskie stanowiło wtedy oddzielny okręg administracyjny, podległy wprawdzie w sprawach ogólnego znaczenia Namiestnikowi, ale mimo to zawsze wyjęty z pod tej czujności, jaką on otaczał wszystkie sprawy reszty Galicyi. Na domiar złego denuncyacya w tym wypadku pochodziła od osoby wyższej intelligencyi i dobrze w stosunki wtajemniczonej, wskutek czego głos opinii odrazu rzucił podejrzenie na jednego z członków grona profesorskiego i podejrzenia tego nie cofnął. Autor nie oglądał tej denuncyacyi na własne oczy, więc nazwiska nie wymienia. Wpłynęła ona do rąk generała br. Kempena, szefa *alias* ministra

[1]) Pamiętniki dr. Euzebiusza Czerkawskiego (rękopis).

policyi, w jesieni r. 1851. Zresztą i bez takiej denuncyacyi już solą w oku dla militarnej reakcyi byli — zwłaszcza w Wiedniu, przechowującym jeszcze w żywej pamięci bohaterskie tradycye legii akademickiej z r. 1848 — wszyscy popularni profesorowie, których młodzież otaczała czcią i sympatyą. Denuncyacya krakowska obejmowała przedewszystkiem wrzekomo niebezpieczną dla państwa działalność dwóch profesorów krakowskiego Uniwersytetu, dr. Antoniego Małeckiego i dr. Józefa Kremera. Zażądano z Wiednia relacyi szczegółowej od prezydyum krajowego, które, jak to z biurokratycznego porządku i zresztą nawet z natury rzeczy wypływało, zasięgnęło dat w tej sprawie od władzy policyjnej w Krakowie, której szef, Neusser, rozmiłowany był, jak to już zaznaczyliśmy, w missyach tego rodzaju i spełniał je *con amore* wprawnego urzędnika policyjnego. Wywiązał on się z tego polecenia obszerną relacyą z 21. marca 1852, w której rzecz swoją zaczyna od tego, że w missyi wywiadowczej nie ograniczył się do pomienionych dwóch profesorów, lecz objął swoją policyjną obserwacyą profesorów Uniwersytetu w ogóle. W tej relacyi Neusser pobłażliwie traktuje profesorów wydziału teologicznego jako osobistości „indyferentne, bierne", po których „nie można oczekiwać ani akcesu do stronnictwa rewolucyjnego, ani otwartego wystąpienia po stronie rządu". Na profesorów wydziału prawa i administracyi spada za to cały grad podejrzeń i formalnych oskarżeń. „Profesorowie Ignacy Hammer, Edward Fierich i Michał Korczyński — pisze Neusser — są rządowi oddani i zasługują na zaufanie, ale zawsze jeszcze są lękliwi w manifestowaniu swoich poglądów i sympatyi. Adwokat i profesor Felix Słotwiński jest oddany rządowi, chociaż co do swojego charakteru jako adwokat i człowiek wcale nie cieszy się poważaniem. Profesor i adwokat Stefan Rzesiński należał wprawdzie od dawna do stronnictwa rewolucyjnego, zachowywał się jednak zawsze ostrożnie i umiarkowanie a od czasu otrzymania stałej nominacyi na profesora trzyma się ze wszystkiemi poglądami politycznemi w rezerwie. Po obu ostatnich profesorach nie można oczekiwać otwartego wystąpienia za rządem. Natomiast profesorowie Antoni Helcel, Jozafat Zielonacki i adjunkt Julian Dunajewski należą stanowczo do stronnictwa rewolucyjnego. Antoni Helcel przyłączył się w r. 1848 do arystokratycznej frakcyi tego stronnictwa, trzymał się zatem zdala od tutejszego komitetu narodowego, ale szedł razem z Adamem hr. Potockim i jego sojusznikami. Helcel brał czynny udział w kongresie słowiańskim w Pradze, a po jego rozwiązaniu udał się do Wrocławia, gdzie

z członkami lwowskiej deputacyi i poznańskiego komitetu narodowego oraz z generałem Dembińskim układał plany połączenia wszystkich galicyjskich, krakowskich i poznańskich komitetów pod jedną wspólną władzą rewolucyjną. Wybrany potem posłem sejmu kromieryskiego, Helcel działał tam w duchu urzeczywistnienia idei panslawizmu. Po rozwiązaniu sejmu skończyła się wprawdzie polityczna rola Helcla, ale nie zaniechał on i potem manifestowania przy każdej sposobności nieprzyjaźnego usposobienia wobec wszystkiego, co jest austryackiem i niemieckiem. I tak n. p. na wniosek Helcla zapadła uchwała profesorów, aby Najjaśn. Pana przyjmowano nie w uniformach austryackich, lecz w togach. Helcel jest majątkowo niezależny, z charakteru i temperamentu swojego porywczy, przytem dumny i uparty, pochopny do skrajnych kroków i jak wszyscy renegaci (z pochodzenia bowiem jest Niemcem) bardzo namiętny. Próżność popycha Helcla nieustannie do zdobywania roli przewódcy, którą też już posiadł w kollegium profesorów. Helcel zawsze stanie w poprzek celom rządowym i jako człowiek inicyatywy będzie ciągle niebezpieczny. Razem z Helclem idzie profesor Jozafat Zielonacki z Poznania. Jest on także z temperamentu porywczy, w swojem zachowaniu się szorstki, powoduje się chwilowemi affektacyami więcej aniżeli zasadami i żywi oprócz polsko-rewolucyjnych dążności także mnóstwo pruskich uprzedzeń wobec Austryi i jej urządzeń. Antecedencye Zielonackiego nie są tutaj znane. Jego zachowanie się wobec rządu będzie zawsze nieprzyjaźne a przy danej sposobności Zielonacki wystąpi gwałtownie. Adjunkt Julian Dunajewski należy zupełnie do demokratycznej frakcyi stronnictwa rewolucyjnego i w jej celach wpływa szczególnie na słuchaczy, z którymi fraternizuje, unikając w sposób chytry wszelkiego jawnego kompromitowania się w tej mierze. Wydział medyczny dotąd ciągle jeszcze pozostaje całkowicie pod wpływami profesorów Fryderyka Skobla i Józefa Majera, którzy zawsze otwarcie przyłączali się do stronnictwa rewolucyjnego i działali w duchu jego celów. Majer kierował w r. 1848 całym ruchem akademickiej młodzieży, mianowicie agitacyą za uwolnieniem więźniów politycznych. Wpływom tych profesorów podlegają zupełnie ich koledzy Ludwik Bierkowski, Antoni Kozubowski, Józef Kwaśniewski i Wawrzyniec Domański, zresztą same osobistości obojętne pod względem politycznym. Profesorowie Ignacy Dietl i Antoni Sławikowski, pierwszy z Wiednia, drugi ze Lwowa, dotąd jeszcze nie zamanifestowali swoich poglądów politycznych. Natomiast profesor Wacław Treitz jawnie występuje jako zwolen-

nik rządu. jest za to przez jego wrogów prześladowany a przez wątpliwych i ostrożnych omijany, tak, że unika wszelkiej styczności z kolegami i nie bierze nawet udziału w akademickich sessyach. Na wydziale filozoficznym profesor Emil Cyriański (? Czyrniański) jest jeszcze z politycznych poglądów nieznany, a profesorowie Maxymilian Weisse i ks. Bratranek są przywiązani do rządu i zasługują na zaufanie. Antoni Walewski jawnie występuje jako zwolennik rządu i ztego powodu jest znienawidzony w przeciwnem stronnictwie. Profesor Ludwik Zeusner jest pod względem politycznym bezbarwny. Natomiast profesorowie Ignacy Czerwiakowski, Floryan Sawiczewski, Józef Muczkowski, Józef Kremer, Stefan Kuczyński, Antoni Małecki i Wincenty Pol, należą do nieprzyjaznego rządowi stronnictwa rewolucyjnego. Profesor Jan Steczkowski był w r. 1848 członkiem komitetu narodowego a Czerwiakowski i Muczkowski wzięli udział w rewolucyjnym rządzie w r. 1846. Antoni Małecki przybył z Poznania z panującemi tam polskiemi i pruskiemi, austryackiemu rządowi nieprzyjaźnemi zapatrywaniami. Zrezygnował on z posady dyrektora w tutejszem gimnazyum, aby nie brać udziału we wrzekomych usiłowaniach germanizacyjnych rządu. Umieszczone w „Gońcu Polskim“ nieprzyjazne artykuły o tutejszym uniwersytecie wyszły, według mojego osobistego przekonania, po większej części z pod pióra Małeckiego. Wincenty Pol, którego antecedencye są znane, wmieszany jest w knowania Goslara w Krakowie. Z powyższego przedstawienia wynika, że nie ma dostatecznych dat do wdrożenia postępowania karnego lub dyscyplinarnego przeciw któremukolwiek z tutejszych profesorów uniwersytetu, że jednak wobec politycznego zachowania się i stanowiska partyjnego większej części profesorów byłoby wskazanem. aby ich ściśle nadzorować i użyć wszelkich środków dla zapobieżenia niebezpieczeństwom z tej strony grożącym. Urząd profesora publicznego zakładu jest urzędem na zaufaniu opartym, więc nie należy czekać dopiero na rzeczywiście dokonane i udowodnione nadużycia, lecz przeciwnie rząd uprawniony jest z całego zachowania się poszczególnych osób, z opinii, jaka wytworzyła się o nich w kołach współobywateli, osądzić, czy i o ile liczyć może na ich poparcie lub uważać je ma za niebezpieczne i do tego sądu zastosować swoje środki. Po tem, co przytoczyłem, uważam się za uprawnionego do wyrażenia przekonania. że przeważna większość tutejszych profesorów według swoich antecedencyi i obecnego zachowania się nie zasługuje na zaufanie rządu. Jestem przekonany. że nie brak im woli, lecz tylko sposobności

do kontynuacyi dawniejszej działalności na szkodę rządu i poruczonej im młodzieży. I teraz jeszcze uniwersytet w całości usiłuje zająć wobec rządu stanowisko niezależne, jak to było za czasów Rzeczypospolitej, kiedy pod egidą pruskiego konsula stanowił samodzielną korporacyę. Dotąd jeszcze uniwersytet niechętnie poddaje się austryackim urządzeniom i wszelkiemi siłami opiera się temu, żeby przekształcony został na austryacki instytut rządowy. Wszystkie nowe urządzenia uważa uniwersytet za narzucone, wszystkich ze staro-austryackich prowincyi przysłanych profesorów z austryackiemi przekonaniami za intruzów, których teroryzuje, a jeżeli to się daremnem okazuje, nienawistnie traktuje. Dla uczącej się młodzieży ten stan opozycyi i separatyzmu nie stanowi żadnej tajemnicy, a duch panujący w senacie akademickim w zupełności dotarł do sal wykładowych. Tutejszy uniwersytet nie jest wyłącznie zakładem naukowym, lecz także nieprzyjaznym dla rządu klubem politycznym".

Relacya Neussera, z góry przeznaczona dla Wiednia, poszła do ministra oświaty Thuna z pismem prezydyum krajowego z 26. marca 1852 r., w którem powiedziano, że równocześnie krakowska władza policyjna otrzymała polecenie, aby dalej czuwała nad profesorami, podejrzywanymi przez nią o dążności rewolucyjne. Takie załatwienie równało się złożeniu relacyi Neussera do aktów dla braku materyalnej podstawy do konkretnych zarządzeń. Taki zwrot nadać chciał sprawie sam hr. Gołuchowski, gdyż do bezbarwnego raportu (relacyi do ministra Thuna) dopisał własnoręcznie zdanie, że skoro na poparcie ciężkich oskarżeń nie przytoczono „żadnych pewniejszych, stwierdzonych i uchwytnych faktów", dalsze nadzorowanie dopiero mogłoby dostarczyć podstawy do „urzędowej akcyi przeciw oskarżonym". Być może, że na tem byłaby się skończyła cała sprawa, gdyby rzecz zależną była tylko od decyzyi ministra oświaty. Ale w sprawach tego rodzaju za ówczesnej dyktatury wojskowo-policyjnej głos przeważający miał minister policyi, generał br. Kempen, dla którego takie zarzuty, jak przytoczone w relacyi Neussera, mianowicie nazwanie uniwersytetu „klubem politycznym", knującym zdradę stanu, obwinienie profesorów, że dążności swoje wprowadzają do sali wykładowej między młodzież a jeden z nich nawet wmieszany jest w tak głośną wówczas sprawę powieszonego w Wiedniu Juliana Goslara, wystarczyły już zupełnie, nawet w ogólnikowem brzmieniu, aby bez dalszych śledztw i inwigilacyi cisnąć gromy dyscyplinarne na podejrzanych. Usunięto tedy czterech profesorów (Antoniego Małeckiego, Wincentego

Pola, Z. A. Helcla i J. Ziełonackiego[1]). Ustanowiono *ex offo* dziekanów i kuratora (w osobie prezydenta wyższego sądu krajowego Piotra Bartynowskiego) a hr. Gołuchowskiemu zakomunikowano to orzeczenie arbitralne z usilnem, po pierwotnem jego wymówieniu się przeszkodami służbowemi, natarczywie ponowionem wezwaniem, aby sam pojechał do Krakowa i osobiście wykonał owo orzeczenie. Profesorowie Małecki i Zielonacki udali się do Wiednia i mieli bezowocną audyencyę u ministra Thuna, chociaż przyjęci zostali przezeń grzecznie, niemal łaskawie. Profesor Małecki, jak to autorowi wiadomo z jego własnego opowiadania, stanął także na audyencyi u hr. Gołuchowskiego w Krakowie i był przygotowany na to, że na pytanie o powody oddalenia otrzyma szorstką i karcącą odpowiedź. Tymczasem przyjęcie wypadło wcale łaskawie a odpowiedź na owo pytanie nie była ani szorstką ani karcącą, a ton wymijający wzbudzał domysł, że wszystko to stało się po za plecyma Namiestnika, bez jego udziału, a już w każdym razie nie na jego wniosek. Zielonacki z przyjęcia u ministra hr. Thuna odniósł wtedy takie wrażenie, że oddalenie jego jest tylko chwilowe, może nawet wynikło z jakiego nieporozumienia i niebawem zostanie cofnięte. Tak sam opisywał przebieg audyencyi przed Neusserem, gdy się zgłosił do niego po paszport. Neusser zaraz doniósł o tem hr. Gołuchowskiemu w tym tonie, jak gdyby nie mogąc na razie w inny sposób zaspokoić swojego nałogu policyjnego do odkrywania spisków i agitacyi, chciał przed Namiestnikiem oskarżyć ministra hr. Thuna za to, że swojem osobistem postępowaniem wobec Zielonackiego, o czem cały Kraków rozprawiał, niejako paraliżuje terrorystyczny efekt orzeczenia. Szczegóły te były w swoim czasie wiadome, ale snać nie miano trafnego wyobrażenia o rozległej władzy i przeważającym wpływie ministra policyi, ówczesnych reakcyjnych sfer rządowych w ogóle, skoro ostatecznie sprawa poszła na rachunek ministra oświaty hr. Thuna i Namiestnika hr. Gołuchowskiego, a nie było nawet mowy o hr. Kempenie, który nie oglądając się na nikogo sam wywołał najwyższe postanowienie o oddaleniu podejrzanych profesorów[2]).

---

[1]) Dr. Juliana Dunajewskiego dopiero później przeniesiono do Preszburga.

[2]) Były minister dla Galicyi a przedtem szef sekcyi w ministerstwie oświecenia, ś. p. dr. Edward Rittner z aktów ministeryalnych takie same powziął zdanie o tej sprawie i w sposób stanowczy wypowiedział je przed autorem.

Hr. Gołuchowski u kresu swojego trzykrotnego Namiestnikowstwa okryty sławą twórcy i niezrównanego mistrza zorganizowanej z obywatelskich żywiołów i obywatelskim duchem ożywionej administracyjnej szkoły urzędniczej, z której wyszedł cały szereg dotąd żyjących dygnitarzy w służbie państwowej i krajowej, cały szereg wdzięcznych świadków tego niezapomnianego w dziejach Galicyi dzieła, był właśnie w pierwszych latach swoich rządów, najeżonych dokoła trudnościami i niebezpieczeństwami, otoczony takim lichym sztabem urzędniczym, że o wszystkiem sam myśleć i wszystkiego sam doglądać musiał. Najbliżsi w tych latach współpracownicy jego, towarzyszący mu nietylko w biurze prezydyalnem, lecz i w podrożach (Mauthner, Mosch, Possinger i t. d.) wywiązywali się ze swego zadania, o ile chodziło o lojalne i uczciwe spełnienie otrzymanych poleceń, bardzo dobrze, pod względem biurokratycznym nawet doskonale, ale w ich usługach skrępowanych szablonem biurowo-paragrafowym nie mógł się zrodzić oryginalny lub przynajmniej szerszy pogląd na sprawy a w ich austryacko-biurokratycznej lojalności nie mogła się pomieścić myśl, żeby kiedykolwiek między polskiem społeczeństwem a Austryą mógł się wytworzyć stosunek odmienny od tego, jaki panował nieprzerwanie od zaboru Galicyi t. j. stosunek wzajemnej nieufności i ciągłej gotowości z jednej strony do spisku a z drugiej strony do mniej lub więcej dotkliwej repressyi. Co najgorsza, to fakt, że w pierwszej chwili po doryweczem zniesieniu pańszczyzny, za czem pójść musiało w konsekwencyi także obalenie ustroju patrymonialnego w administracyi, cała jej organizacya była rozchwiana. Na najniższym szczeblu, w dominiach, więc niejako u samego fundamentu administracyi, nastało kilkuletnie prowizoryum. W takim składzie rzeczy o systematycznem oczyszczaniu personalu urzędowego z żywiołów notorycznie nieudolnych lub nawet szkodliwych i o zasilaniu biur nowemi żywiołami nie mógł hr. Gołuchowski w pierwszych trzech latach na seryo pomyśleć. Zresztą władza nominacyjna Namiestnika nie była tak rozległa jak dzisiaj, gdyż zapanował wtedy niepowstrzymany rozpęd ku takiej centralizacyi w zakresie nominacyjnym, aby wszelkie ważniejsze pozycye urzędowe były z Wiednia obsadzane ludźmi obcymi dla kraju, nieznającymi jego stosunków, ale posiadającymi główną i rozstrzygającą zaletę t. j. zupełne zaufanie w Wiedniu i niewolniczą gotowość do słuchania wszelkiego skinienia z Wiednia. Ta dążność centralizacyjna w obsadzaniu posad nie ograniczała się wcale do pozycyi wybitnych politycznych, lecz rozciągała się początkowo w braku ścisłych norm kompeten-

cyjnych w tej mierze, nawet na posady podrzędne i pod względem politycznym zupełnie obojętne, tak, że widocznie do zera zredukować chciano ingerencyę Namiestnika. Na dowód przytoczymy jeden tylko, choć drobny ale dosadny, przykład. W r. 1851 wysłano z Wiednia dla organizacyi służby budowniczej w Galicyi radcę sekcyjnego Frasta, który objął kierownictwo krajowej dyrekcyi budownictwa. Frast widocznie według informacyi wiedeńskiej zaczął przedstawiać swoje wnioski nominacyjne wprost samemu ministerstwu, nie oglądając się wcale na Namiestnika, chociażby tylko dla poznania jego opinii. Gdy pierwsze nominacye w ten sposób przeprowadzone doszły do wiadomości hr. Gołuchowskiego, wówczas w Wiedniu bawiącego, wystąpił on zaraz z energiczną reklamacyą wobec ministerstwa, przedstawiając, że mianowano urzędników nie znających ani stosunków krajowych ani języka krajowego i to właśnie dla działu spraw, który znajomości takiej niezbędnie wymaga. Z całym naciskiem podniósł hr. Gołuchowski w tem przedstawieniu szkody, na jakie nietylko kraj lecz i państwo z takiej metody nominacyjnej jest narażone i stanowczo zażądał, aby w przyszłości wszystkie wnioski nominacyjne tego rodzaju przedstawiane były za pośrednictwem Namiestnika. Ministerstwo nie mogło w tym wypadku oprzeć się tak słusznemu i w tonie energicznym postawionemu żądaniu, ale ustępstwa nie pojmowało wcale w ten sposób, żeby się ono odnosić miało do wszystkich innych nominacyi po za tą kategoryą służby, o które chodziło w danym razie. Trzeba było tedy ciągle stać na straży zagrożonych pod tym względem interesów kraju, ciągle upominać się i walczyć na każdym kroku.

Sprawa nowej, niezbędnej od pierwszej chwili po zniesieniu pańszczyzny, organizacyi władz postępowała żółwim krokiem naprzód a hr. Gołuchowski na jej przyspieszenie wpłynąć niemógł, chociaż uważał to za podstawę poprawy stosunków w kraju i ciągle o to się upominał tak w pisanych przedstawieniach ze Lwowa jak i na osobistych konferencyach z ministrami w Wiedniu. Sprawa ta była jednym z głównych celów ówczesnych jego częstych wyjazdów do Wiednia i długich pobytów w stolicy państwa.

Pierwsze rozporządzenie ministeryalne o organizacyi władz politycznych w Galicyi (z 8. października 1850) opierało się prawdopodobnie na elaboracie hr. Stadiona jako ministra spraw wewnętrznych z r. 1849. Marzył on o tem, aby Austrya z Węgrami podzieloną została na okręgi rządowe w sposób francusko-departamentalny. To też w rozporządzeniu tem, mówiąc mimochodem

formalnie ogłoszonem ale nie wykonanem, Galicya podzieloną została na trzy okręgi rządowe, niejako trzy departamenta, krakowski, lwowski i stanisławowski, pod zwierzchnictwem Namiestnika, którego kompetencya jednak miała być w takim razie ścieśniona u dołu na rzecz trzech prezydentów a u góry na rzecz ministerstwa. Równocześnie ogłoszona i także w życie niewprowadzona konstytucya dla Galicyi (statut krajowy) ustanawiała, jak wiadomo, trzy sejmy albo raczej trzy kurye sejmowe w Krakowie, we Lwowie i w Stanisławowie, ze stanowczą przewagą posłów z gmin wiejskich w każdej kuryi. Ułożony w Wiedniu, bez oglądania się na opinię kraju, projekt organizacyi władz wprowadzono z wielkim rozpędem we wstępne stadyum wykonania, aby przeciąć wszelką drogę do przedstawień i remonstracyi. Rozpoczęły się tedy mozolne pertraktacye w sprawie podziału okręgów na starostwa (powiaty) i przydzielenia poszczególnych gmin do powiatów politycznych. Dla pracy tej ustanowiona była we Lwowie osobna komisya organizacyjna, której przewodniczył hr. Gołuchowski a której akta same już stanowią niejako osobną registraturę. Niebyła to bowiem sprawa łatwa, jeżeli się miało do czynienia z setkami różnorodnych petycyj miast, wsi, obszarów dworskich i jednostek, z których każda znowu wynosiła cały szereg lokalnych kwestyi i interesów na stanowisko pierwszorzędnych zagadnień! Hr. Gołuchowski jako prezes komisyi organizacyjnej nie lekceważył żadnej takiej petycyi, wychodząc z tego trafnego punktu widzenia, że dobry podział administracyjny kraju jest jedną z podwalin dobrej administracyi. Z tych aktów organizacyjnych możnaby wydobyć niejeden rys ciekawy do charakterystyki owych czasów. Charakterystyczne są n. p. petycye z Tarnowa w sprawie siedziby wyższego sądu. Nazwisk na petycyi podpisanych nie wymieniamy, bo niektóre z nich dziś mają już brzmienie sympatyczne w kraju, a wtedy reklamowały dla Tarnowa co do siedziby sądowej pierwszeństwo przed Krakowem z tytułu r. 1846, który zniesławił ostatnie miasto buntem a pierwsze opromienił aureolą lojalności! Hr. Gołuchowski stanął po stronie Krakowa i cel swój osiągnął, chociaż także i ówczesny szef sądownictwa galicyjskiego przemawiał za Tarnowem z obawy przed — rzecz trudna do uwierzenia a jeszcze trudniejsza do pojęcia — patrycyatem krakowskim! Widocznie wyobrażano sobie, że ten patrycyat krakowski stanowi zamknięte w sobie kollegium z pretensyami do wszelkiej władzy rządowej i sądowej byłej republiki!

Kiedy wreszcie szemat podziału kraju był już gotów, najwyższem postanowieniem z 21. maja 1853 wydana została nowa dyspozycya organizacyjna, dzieląca Galicyę nie na trzy lecz tylko dwa okręgi administracyjne, lwowski i krakowski. Trzeba było tedy gotowy już elaborat przerobić, przyczem oczywiście nie obeszło się znowu bez mnóstwa petycyj i zabiegów partykularnych, opóźniających sfinalizowanie sprawy. Wielu malkontentów bowiem próbowało żądania już poprzednio nieuwzględnione wznowić w tej formie, aby z powodu wrzekomo nowych szczegółów i dat nadawały się do reasumcyi.

Samo opracowanie szematu podziałowego stanowiło dopiero połowę zadania, bo trzeba było poobsadzać posady, czem przez postawienie całej rzeszy urzędników w stan rozporządzalności, rząd zapewnił sobie swobodę decyzyi i wyboru. Prawo mianowania służyło wówczas Namiestnikowi, jak już powiedzieliśmy, w szczuplejszym zakresie, aniżeli w dzisiejszym ustroju, więc swobodny wybór osób był ministerstwu zastrzeżony. Hr. Gołuchowski jednak już wtedy umiał wobec Bacha tak rzecz postawić, że ostatecznie zastrzegł to sobie, aby nominacyjnych propozycyi lwowskich nie zmieniano w Wiedniu na własną rękę, bez poprzedniego porozumienia się z Namiestnikiem. Zastrzeżenie to tyczyło się oczywiście posad urzędników wyższych, z kierującem w hierarchii stanowiskiem.

Że przy tem obsadzaniu posad urzędników *en masse* w nowo zorganizowanych urzędach administracyjnych hr. Gołuchowski miał już na myśli plan w późniejszych czasach z taką wielką korzyścią dla kraju ziszczony, że przytem pragnął ściągnąć do służby administracyjnej jak najwięcej sił z obywatelstwa krajowego, na to są dowody w aktach komisyi organizacyjnej (n. p. co do Felicyana Laskowskiego). Że jednak w czasach, kiedy samo neutralne usposobienie wobec rządu narażało każdego na zabójczy w opinii przydomek *Schwarzgelbera*, starania w powyższym kierunku nie mogły być szczęśliwe, to rzecz naturalna. Pod jednym tylko względem mógł hr. Gołuchowski osiągnąć przy organizacyi władz cel ważny dla swoich rządów a tem samem i dla kraju. Oczyścił je na niższych szczeblach z żywiołów najgorszych i zasilił niższy personal świeżemi siłami z kraju. Powoływał bowiem i zachęcał do ubiegania się o niższe posady rządowe urzędników miejskich, dominikalnych funkcyonaryuszy, osoby piastujące publiczne stanowiska instytutowe i t. p. Zgłosiło się też istotnie wielu kompetentów tej kategoryi a z pomiędzy nich w miarę uzdolnienia i dobrej reko-

mendacyi najchętniej wybierał hr. Gołuchowski kandydatów na nowe posady.

W ten sposób przeprowadzona organizacya władz stanowiła niejako pierwszy krok do rehabilitacyi prawnego charakteru administracyi, w której społeczeństwo polskie pod panowaniem starej, obcej krajowi a do tego politycznie i moralnie znikczemniałej biurokracyi, przyzwyczaiło się widzieć synonim brutalnej samowoli. Był to pierwszy krok do jednego z największych dzieł całej publicznej działalności hr. Gołuchowskiego, do spopularyzowania, niejako zidentyfikowania służby i karyery urzędniczej w zawodzie administracyjnym ze służbą obywatelską. Ale zanim cel ten osiągnięty został, zanim uporne i nieufne społeczeństwo polskie pomogło hr. Gołuchowskiemu zbliżyć się więcej do tego celu, musiał on jeszcze lata całe pracować ze słabym personalem urzędniczym, co gorsza musiał znosić nawet na ważnych stanowiskach osobistości, które jego zaufania nie posiadały, a w opinii świata urzędniczego uchodziły za kreatury Bachowskie, podstawiane z planem podstępnym. Nieby w tem nie było dziwnego w czasach, kiedy wzajemne szpiegowanie się nawet w wyższych sferach urzędowych uchodziło poniekąd za wskazaną stosunkami i prądem czasu akcyę polityczną. O br. Kalchbergu n. p., narzuconym hr. Gołuchowskiemu na stanowisko wiceprezydenta Namiestnictwa i prezydenta komisyi indemnizacyjnej, słusznie mówi d'Abancourt w zacytowanem już dziele swojem, że uchodził powszechnie za figurę przez Bacha podstawioną, a w hr. Gołuchowskim wzbudzał taką nieufność, iż zamykał przed nim ważniejsze akta, gdy mu na krótki czas ze Lwowa wyjechać wypadło. Na innem miejscu z własnych zwierzeń br. Kalchberga przekonamy się, jak trafnym był ten sąd hr. Gołuchowskiego i jak uzasadnioną była jego nieufność.

Narzuconym przez ministerstwo był także słynny komisarz Tarnowskiego obwodu w r. 1846, awansowany wkrótce potem na sekretarza gubernialnego i dalej na dyrektora policyi we Lwowie, Joachim Chomiński, który umiał przedstawić się poprzedniemu gubernatorowi hr. Stadionowi, jako niewinnie oczerniona ofiara szlachty polskiej i wcisnąć się do jego łaski i zaufania w chwili wyzyskania ruchu ruskiego przeciw polskiemu w r. 1848. Gdyby to całkowicie zależnem było od woli i zaufania hr. Gołuchowskiego, usunięcie Chomińskiego co najmniej z każdej wybitniejszej pozycyi urzędowej byłoby nastąpiło zaraz w r. 1849. Wtedy bowiem do grona mężów zaufania, którzy w Wiedniu obradować mieli razem z delegatami rządu nad przeprowadzeniem sprawy indemni-

zacyjnej i nad statutami krajowemi, powołani zostali z Galicyi przez hr. Gołuchowskiego czterej wybitni obywatele ziemscy: Maurycy Kraiński, Kazimierz hr. Krasicki, Michał Tustanowski i Hieronim Łodyński. Minister spraw wewnętrznych, hr. Stadion, zgadzając się na tych delegatów prosił hr. Gołuchowskiego, aby nadto jeszcze wysłał do Wiednia celem wzięcia udziału w obradach Chomińskiego, piastującego w tymże czasie posadę sekretarza gubernialnego. Gdy nadeszło to dziwne wezwanie hr. Stadiona pupil jego Chomiński nie był obecny we Lwowie, gdyż przydzielony został jako komisarz cywilny do wysłanego z Galicyi do Węgier korpusu generała Vogla. Hr. Gołuchowski w swojej niechęci nie zasłonił się samą tylko nieobecnością Chomińskiego, lecz otwarcie wystąpił przeciw jego powołaniu do Wiednia. „Pozwalam sobie — pisze do hr. Stadiona w relacyi z 16. maja 1849 — otwarcie zwrócić uwagę W. Exc., że ogólna opinia kraju z powodu wypadków r. 1846 jest przeciwna Chomińskiemu. Niechcę go potępiać tą uwagą, ale fakt ten zaprzeczyć się nie da i jestem przekonany, że wysłani przezemnie mężowie zaufania nie wzięliby udziału w obradach razem z Chomińskim, lecz raczej natychmiast wyjechaliby z Wiednia.“ Chomiński próbował tę opinię przełamać i za sprawą swoich nielicznych przyjaciół, urzędników (głównie radcy Lehra), zdołał w kilka lat później wcisnąć się do Towarzystwa gospodarskiego, które w okresie prostracyi politycznej w kraju odgrywało wybitną rolę jedynego ciała reprezentacyjnego i z tego też powodu w czasie stanu oblężenia tak było kontrolowane przez władzę wojskową, że na walnych zebraniach, na które Namiestnik jako członek Towarzystwa przybyć niemógł, obecny był oficer jako delegat tej władzy. Przy obliczaniu głosów zaszły jednak takie nieprawidłowości, że wkrótce potem Alexander hr. Dzieduszycki postawił wniosek wykluczenia Chomińskiego. Była to sprawa głośna i w swoim czasie oparła się jako demonstracya politycznej natury aż o Wiedeń. Chociaż rząd wstrzymał prezesa Towarzystwa ks. Leona Sapiehę poniekąd groźbami od formalnego postawienia tego wniosku na porządku dziennym, to jednak zwolennicy jego umieli tak zręcznie pokierować sprawą, że za wnioskiem nie postawionym formalnie na porządku dziennym, ale wpleciony w inne obrady, urządzili jednomyślną manifestacyę i tem zniewolili wreszcie Chomińskiego do złożenia godności członka.

Chomiński otrzymywał nieustannie listy z pogróżkami, które zamiast zniechęcić go do służby, służyły mu owszem do wzmocnienia stanowiska. Bach bowiem chciał mieć wszędzie takie indywidua

na swoich usługach i zapewne znosił się z nimi sekretnie po za plecyma szefów krajów, a jeżeli ich więcej nie nadsełał do Galicyi tak jak to w Węgrzech uczynił ze swoimi „*Bachhuzarami*“, to zawdzięczać to należy tylko czujności hr. Gołuchowskiego. W r. 1860 zostawszy ministrem stanu, hr. Gołuchowski jednym zamachem pióra całe tuziny takich „*Bachhuzarów*“ wymiatał z Węgier. w tym okresie jednak, do którego odnosi się to opowiadanie, każda kreatura Bachowska uważała się w Galicyi za niewzruszoną z tego powodu, że każda taka zmiana w osobach mogłaby być pojmowana jako zapowiedź zmiany lub przynajmniej ulgi w panującym systemie. Twórcy i koryfeusze tego systemu wówczas jeszcze wszechwładni, opromienieni aureolą pogromców rewolucyi i zbawców Austryi, pamiętali o tem szczególnie, aby nie powstał nawet pozór rzucający cień na ich niewzruszoną potęgę, chociażby tylko w oczach osób łatwowiernych. Zwłaszcza Chomiński mógł być z tego powodu pewnym swojego stanowiska, bo na jego głowę spadały nietylko gromy za r. 1848, lecz także, co ważniejsza, przekleństwa za r. 1846, wskutek czego jego usunięcie lub chociażby tylko poniżenie mogłoby być pojmowane jako wyraz pewnych skrupułów rządu i jego gotowości do ustępstw na rzecz spiskującego społeczeństwa polskiego.

To też ciężką krzywdę wyrządziłby hr. Gołuchowskiemu każdy, ktoby sądząc z pozorów mniemał, że za jego początkowych rządów Chomiński był mężem zaufania Namiestnika. Rzecz miała się przeciwnie i to, jak wypływa z powyższej wzmianki o powołaniu Chomińskiego na wiedeńską konferencyę indemnizacyjną, od początku aż do ostatniej chwili. Na kilka miesięcy przed powołaniem do Wiednia na stanowisko ministra stanu, hr. Gołuchowski zdając ministerstwu sprawę z niepomyślnego za wpływem biskupa Litwinowicza i gr. kat. konsystorza metropolitalnego przebiegu konferencyi w sprawie zaprowadzenia łacińskiego alfabetu w ruskiej pisowni i ze wzrostu tendencyi do russofilskich innowacyi w literackim języku ruskim, oskarża w relacyi z 15. czerwca 1859 Chomińskiego wprost o to, że go złośliwie okłamywał o nastroju panującym w ruskich sferach i że jest na swojem stanowisku szkodliwy. „W interesie służby cesarskiej — pisał hr. Gołuchowski w tej relacyi — muszę bardzo ubolewać nad tem, że podczas gdy te osobistości we Lwowie (t. j. separatystów ruskich działających w duchu russofilskim) ze szczególną ścisłością nadzorować należy, od naczelnika tutejszej dyrekcyi policyi nie można oczekiwać nieuprzedzonego traktowania sprawy, gdyż jak to już przy wielu sposobno-

ściach mogłem wykazać, naczelnik lwowskiej dyrekcyi policyi żyje z kierownikami separatystycznej partyi ruskiej na rażąco poufałej stopie.“ Relacyę tę, jak z aktów widać, poprzedziło nawet surowe ustne zgromienie Chomińskiego przez Namiestnika za perfidye w jego postępowaniu w tej sprawie.

W tych czasach powszechnego zamętu w opiniach i sądach, hr. Gołuchowski uchodził chwilowo, jeżeli nie powszechnie to przynajmniej w pewnej części kraju, za adoratora Rossyi albo raczej cara Mikołaja I., którego wrzekomo zamierzał uczcić pomnikiem w Galicyi. Bez powodu pogłoska ta nie powstała a powód do niej najlepiej illustruje nizki poziom intelligencyi i niezręczność tych urzędników, którzy zresztą nie należeli nawet do kategoryi wprost wrogiej dla kraju. Potworna myśl postawienia pomnika carowi Mikołajowi I. ze składek publicznych wylęgła się istotnie w jednej z ówczesnych główek galicyjsko-biurokratycznych, w głowie starosty Jasielskiego (Szałowskiego), któremu uroiło się, że wprawi Austryę w zdumienie i zaimponuje całemu światu urzędniczemu, jeżeli ze składek publicznych wzniesie carowi Mikołajowi I. pomnik w Żmigrodzie, kędy szły wojska rossyjskie dla poskromienia powstania węgierskiego i gdzie car z ks. Paszkiewiczem chwilowo bawił w czerwcu 1849. Hr. Gołuchowski otrzymawszy o tem relacyę starosty, autora całego pomysłu, napisaną w bombastyczny sposób i w tonie służalczego uwielbienia dla cara jako sprzymierzeńca Austryi, ubił od razu cały pomysł tak zręcznie, że mu z tego powodu nie mógł nikt uczynić zarzutu jakiejś nielojalności wobec Austryi. Zabraniając bowiem zbierania składek i w ogóle dalszego forytowania tego pomysłu, tak zakaz swój motywował w piśmie do starosty Jasielskiego z 6. listopada 1853: „Na smutne wypadki, wśród których haniebna zdrada i nieszczęsna walka domowa postawiły monarchię nad brzegiem przepaści i sprowadziły konieczność wezwania obcej pomocy zbrojnej, każdy przyjaciel Austryi spoglądać musi z żalem i uczuciem upokorzenia. Nie zasługują zatem te wypadki na to, żeby przez stawianie pomników były przywoływane w pamięci ludów i przechowywane trwale w ich wspomnieniach. Jako świadkowi tej nieszczęsnej epoki wiadomo nadto WPanu, że przy pomocniczej akcyi rossyjskiej zaszły okoliczności które wobec dążności niektórych wodzów rossyjskich do zaćmienia świetnych czynów naszej dzielnej armii wywołały w jej łonie niezadowolenie dotąd jeszcze niezapomniane, tak, żeby wzniesienie pomnika na pamiątkę tych wypadków nie miało tam wywołać pewnego zgorszenia.“

Musiał tedy hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich uzbroić się w cierpliwość i tolerancyę wobec takich narzuconych mu urzędników, musiał lawirować, gdzie spostrzegał nieprzezwyciężone wówczas szkopuły polityczne. Za to w tym zakresie spraw i w tej kategoryi urzędników, gdzie jego władza dyscyplinarna nie była krępowana, dała się dotkliwie uczuć jego ciężka ręka. Z bezwzględną surowością występował mianowicie wtedy, gdy chodziło o poskromienie w podwładnych urzędnikach dążności do kultywowania anarchistycznej polityki cyrkularnej z lat 1846—1848, polegającej na jątrzeniu stosunków między dworem a gminą, podburzaniu chłopów przeciw dziedzicom, wreszcie na tem wyniosłem traktowaniu szlachty i lekceważącem zbywaniu jej interesów, które system hr. Kriega formalnie wszczepiał w młodsze pokolenie urzędników. To pokolenie stało jeszcze na widowni i mniemało, że pod osłoną reakcyi może swobodnie działać w duchu czynowniczej szkoły Kriegowskiej. Hr. Gołuchowski widząc, że jego czujność osobista wobec takich urzędników jest w braku dostatecznej liczby zaufanych przełożonych niezbędną, nie pominął żadnej sposobności, przy której sam mógł spaść z nienacka do jakiego powiatu a nadto często objeżdżał całe serye powiatów. W owych czasach jedna ze spuścizn r. 1846. wieści niepokojące o bliskiem wybuchu powstania, o wznowieniu pańszczyzny i t. d., w całych okolicach groziły zamąceniem spokoju. W takich wypadkach hr. Gołuchowski rzemiennym dyszlem objeżdżał zagrożone okolice, sam na miejscu zarządzał środki zapobiegawcze a jeżeli widział, że starosta jest nieporadny, wysełał na miejsce zaufanego komisarza z Namiestnictwa z władzą dyskrecyonalną do samoistnego działania. Nie obeszło się przytem bez pokornych co prawda, ale żałosnych remonstracyi starostów skompromitowanych w swojej powadze przez taką delegaturę (remonstrował raz n. p. starosta Uherek z Sanoka, gdy mu pod bokiem zasiadł z samodzielnemi atrybucyami komisarz Pajączkowski), ale hr. Gołuchowski nie oglądał się na to i środka raz z dobrym skutkiem wypróbowanego nie zaniechał nigdy, jeżeli tylko interes publiczny górował nad ujemnemi bez kwestyi następstwami takiego wyłomu w normalnym trybie urzędowania. A do tłumienia wieści niepokojących tego rodzaju hr. Gołuchowski przywiązywał zawsze wielkie znaczenie. Nawet minister Bach, tak zresztą nieskory do uznawania dzielności administracyjnej hr. Gołuchowskiego, widział się raz zniewolonym, wyrazić mu swoje podziękowanie i uznanie za skuteczne zarządzenia osobiste w czasie szczególnie groźnego grasowania takich wieści w kilku powiatach

wschodniej Galicyi. Było to w czasie zawikłań na Wschodzie, kiedy wypadki wojenne dostarczały wątka autorom podobnych wieści.

Lustracye hr. Gołuchowskiego były w tych czasach niewygodne i niemiłe dla urzędów. Nie wystarczało bowiem samo oczyszczenie biur z zaległości przed przyjazdem Namiestnika, który rozglądał się więcej po za biurem niż w biurze, na drogach, w szkołach i t. d. i na miejscu już ganił i gromił, ale też i równocześnie wynagradzał rzeczywiste zasługi. Każdy taki akt lustracyjny — a całe ich stosy zawiera registratura — kończył się szeregiem pisemnych nagan, pochwał i asygnatami remuneracyi dla biedniejszych a odznaczających się urzędników.

Owi urzędnicy, którzy jak wyżej zaznaczyliśmy, działali w duchu tradycyi Kriegowskich wobec dworów i szlachty, niemogli być pewni swojej skóry nawet wtedy, gdy hr. Gołuchowski wybrał się w kilkutygodniową podróż do Wiednia. I tam bowiem szły do rąk jego sprawy ważniejsze, do których w pierwszym rzędzie zaliczał wszystko, co zakrawało na odezwanie się w administracyi echa anarchistycznej samowoli biurokratycznej z lat 1846—1848. I tak n. p. w r. 1850 otrzymał w Wiedniu doniesienie, że komisarz obwodowy z Tarnopola, Klein, zjechawszy na komisyę do majątku zostającego w sądowej administracyi tamtejszego adwokata Delinowskiego (Skoryki), zachował się tak brutalnie i tak się odgrażał, jak to czynili komisarze dawnego Kriegowskiego autoramentu. Z Wiednia też otrzymał 20. czerwca 1850 starosta w Tarnopolu, Piwocki, polecenie, aby natychmiast przeprowadził jak najściślejsze dochodzenie, przyczem dodana była uwaga, iż w razie stwierdzenia słuszności skargi „postępowanie Kleina jest tem karygodniejsze, ile że kompromituje honor stanu urzędniczego w kraju.“ W lot przeprowadzono ścisłe dochodzenie tak, że hr. Gołuchowski mógł jeszcze w Wiedniu (20. sierpnia 1850) wydać decyzyę dyscyplinarną. Zdawało się, że skończy się wszystko na zwykłem skarceniu, gdyż Klein miał powszechnie uznaną opinię dzielnego i zasłużonego urzędnika. Mimo to i mimo korzystnego dla Kleina wniosku przełożonej władzy, hr. Gołuchowski o tyle tylko dał się do łagodności nastroić, że przeniósł komisarza Kleina na własny koszt do Złoczowa, co jednak w biurokratycznem pojmowaniu rzeczy było już karą kompromitującą a w danym wypadku i odstraszającą. „Komisarz obwodowy Klein — tak opiewa uzasadnienie kary wymierzonej — postąpił, biorąc rzecz najłagodniej, nietylko nietaktownie, lecz nadto bardzo nieroztropnie, czem dowiódł, że

nie jest wolny od namiętności, co wobec każdego urzędnika a szczególnie politycznego, poczytać należy za wielką wadę."

Równocześnie ze sprawą Kleina otrzymał wtedy hr. Gołuchowski w Wiedniu doniesienie, że w dobrach klasztornych Staniątki (w obwodzie Bocheńskim) chłopi dopuścili sie gwałtów celem korzystania z pastwisk dworskich a władza nie poskromiła ich natychmiast należycie. Otrzymał tedy starosta z Wiednia 30. lipca 1850 ostrą naganę za to, że sprawy tej od razu nie traktował z taką surowością, jaka była nakazana dla odstraszenia innych gmin od bezprawia i samowoli. Po tej naganie następuje takie lapidarne polecenie: „Spokój i porządek musi być utrzymany. Do ośmiu dni a potem aż do zupełnego wywiązania się ze swego zadania winieneś WPan przesyłać mi tutaj zwięzłe relacye o wydanych zarządzeniach." I rzeczywiście zaraz zapanował spokój i porządek mimo pierwotnego zabagnienia sprawy przez starostę.

Ta nieustanna i niestrudzona czujność, zapobiegliwość i sprężystość w działaniu, ścisłość w kontroli i energia w wykonaniu zjednały już w tych czasach hr. Gołuchowskiemu poza granicami kraju sławę znakomitego administratora. Kiedy bowiem po upadku Bacha powołany został do steru państwa jako minister stanu, wiedeński świat urzędniczy ukorzył się przed jego wyższością, chociaż wtedy urzędnik-Polak obudzać musiał największe uprzedzenie. Zausznik, powiernik i pupil ministra Bacha, radca ministeryalny Bernard Meyer, został na wstępie hr. Gołuchowskiego do nowego urzędu usuniety z szefostwa w prezydyalnem biurze i omal nie skazany na spensyonowanie. Zato oczywiście przejęty był goryczą na całe życie i pisząc swoje pamiętniki zbył rządy hr. Gołuchowskiego, którego nazywa pogardliwie „Sarmatą" takiemi uwagami, jakgdyby rządy te uważał za tak przykry epizod w historyi państwa, iż patryota austryacki — oczywiście Bachowskiego autoramentu — niemoże długo zatrzymywać się przy nim. A jednak i ten osobisty a zasadniczy antagonista hr Gołuchowskiego nietylko nie poważył sie rzucić cienia na jego talent i dzielność administracyjną, lecz owszem, złożył mu pod tym względem hołd otwarty temi słowy: [1]) „Wcale nie brakło mu talentu a muszę wystawić mu świadectwo, że pod względem dzielności w akcyi wykonawczej, szybkości, energii i jasnego poglądu w dążeniu do celu może nikt z nim mierzyć się niemoże."

---

[1]) Bernhard Ritter von Meyer: *Erlebnisse* — Wien & Pest 1875 t. II. str. 2 i 46.

Meyer wypłynął znowu jako szef prezydyalny za Belcredego, kiedy dokonywała się wielka reforma oddzielenia sądownictwa od administracyi a hr. Gołuchowski, powołany powtórnie na stanowisko Namiestnika Galicyi, mógł już niejako stawiać warunki wiodące wprost do celu, który w pierwszym okresie rządów stał mu pewnie ciągle przed oczyma, ale zamglony zupełnie chmurami centralizacyi i absolutyzmu. Tym razem Meyer w swoich pamiętnikach znowu przypina łatkę hr. Gołuchowskiemu, ale jeszcze dobitniej oddaje hołd jego wyższości. „Co do Galicyi — pisze Meyer — zasługa rychłego przeprowadzenia tej reformy w wielkiej części należy się hr. Gołuchowskiemu. W sprawie tej znowu dowiódł on, że gdy chodzi o energiczną akcyę i rychłe przeprowadzenie projektu, należy do najdzielniejszych mężów w monarchii. Zaszła jednakże przytem co do niektórych, hr. Gołuchowskiemu niemiłych osobistości pewna niesłuszność, której w braku poparcia u mojego szefa zapobiedz niemogłem. Hr. Gołuchowski dążył do tego, aby usunięto wszystkich galicyjskich urzędników tak niemieckiego jak i słowiańskiego pochodzenia, którzy z powodu swojego czysto cesarskiego sposobu myślenia *(sic!)* i działania nie byli dla Polaków sympatyczni i aby także czysty polonizm zapanował w ciele urzędniczem. Bardzo dobrze poznałem doniosłość tego planu. W monarchii o tak różnorodnym składzie jak Austrya nie ma nic niebezpieczniejszego dla zasady monarchicznej i dla bytu państwa nad sytuacyę, w której monarsze pod pewnym względem egzekutywa zupełnie z rąk wydarta zostanie. A sytuacya taka zachodzi wtedy, jeżeli się postawi zasadę, że tylko narodowi urzędnicy mają być ustanowieni. Ale plan taki wisiał niejako w powietrzu. Co faktycznie uczyniono na Węgrzech, co tam przez odwołanie wszystkich przez Bacha wysłanych urzędników jako zasadę uznano, tego niemożna było Polakom odmówić."

Uwaga ta Meyera odnosi się do schyłku 1865 i początku 1866 r. i stanowi anachronizm, gdyż w tym czasie austryackie interesa i polskie aspiracye, jakkolwiek nie rozwijały się jeszcze w tak równoległym kierunku jak dzisiaj, w żadnym razie nietylko nie stanowiły już antitezy, lecz nawet nie krzyżowały się ze sobą tak, aby obawiać się należało powrotu dawnej zasadniczej kolizyi między poczuciem polskości a lojalnością wobec Austryi. Ale Meyer pisząc to pozostawał widocznie jeszcze w tej samej sferze poglądów i wyobrażeń, w jaką wszedł po objęciu posady w ministerstwie austryackiem zaraz po stłumieniu powstania węgierskiego. Biurokrata ten, Szwajcar z pochodzenia, emigrował z ojczyzny wsku-

tek ciężkiego skompromitowania się w jej wewnętrznych zatargach a następnie w wojnie domowej i zwrócił się do Metternicha, dla którego przyjęty był wielkiem uwielbieniem, z prośbą o posadę w służbie austryackiej. Było to w przededniu wypadków i ucieczki Metternicha z Wiednia, więc uwzględnienie prośby Meyera odwlokło się aż do wypłynięcia Bacha, który reakcyonistę szwajcarskiego nietylko umieścił w ministerstwie, lecz nawet zaszczycił szczególnem zaufaniem i wyniósł na stanowisko szefa prezydyalnego, więc własnego powiernika. W tym czasie Meyer przejął się poglądami swojego mistrza i protektora, więc także zapatrywaniem, że polskość jako inkarnacya rewolucyi i wywrotu stanowi antitezę austryackich interesów państwowych. W bezwzględnej adoracyi dla Bacha niemógł do kresu życia rozstać się z jego poglądami, chociaż jako szef prezydyalny w ministerstwie spraw wewnętrznych znać musiał dobrze wszystkie te relacye polityczne, któremi hr. Gołuchowski w najgorszych dla Galicyi czasach usiłował wywołać w wiedeńskich sferach rządowych zmianę opinię pod tym względem.

Już w pierwszych latach rządów hr. Gołuchowskiego uderza konsekwentna dążność jego do przedstawiania stosunków krajowych w takiem korzystnem świetle, aby powoli zacierały się w Wiedniu fatalne uprzedzenia, jakie co do Galicyi wywołały tam dawniejsze relacye Kriega, później Hammersteina a poniekąd, zwłaszcza ku końcowi pobytu we Lwowie, także i relacye hr. Stadiona. We wszystkich tych relacyach Galicya przedstawiana była jako niewygasły, ciągłemi erupcyami państwu zagrażający wulkan rewolucyjny, jako ziemia klasyczna spiskowców, w której rząd liczyć może tylko na chłopa i świeżo rozbudzone ruskie żywioły, jako na dwa czynniki szachujące buntowniczą szlachtę i spiskującą intelligencyę miejską.

Hr. Gołuchowski zaraz za pierwszym swoim dłuższym pobytem w Wiedniu w charakterze Namiestnika, a więc w chwili najcięższej reakcyi, osobiście rozpoczął w sferach rządzących rehabilitacyę Galicyi. Z luźnych zapisków bowiem, jakie pozostały z częstych podróży hr. Gołuchowskiego do Wiednia w latach 1850—1852 pod archiwalnym tytułem „*Reiseprotocolle*“ okazuje się, że już w r. 1850 przedstawiał on szlachtę galicyjską jako żywioł polityczny, który dla państwa zjednać i na którego lojalność wobec tronu polegać można i że już wtedy zalecał rządowi, aby przy danej sposobności odszczególnił imiennie wskazane osobistości z tej klasy. W roku następnym hr. Gołuchowski wybrał się na dłuższy objazd wschodnich powiatów i zdając z tego sprawę ministerstwu,

przedstawia obraz kraju pod względem stosunków i opinii politycznych w pogodnem świetle. Burzliwe żywioły — taka jest mniej więcej treść tej obszernej relacyi — które w r. 1848 chwilowo zamącały porządek, usunęły się z widowni a z niemi ustały także obawy dawniej żywione. Szlachta, podcięta w swoim bycie materyalnym przez dorywcze zniesienie pańszczyzny z nieuchwytną jeszcze dotąd nadzieją indemnizacyi, nie myśli o niczem innem, jak tylko o swoich stosunkach ekonomicznych. W tej mierze słusznie liczy na rząd, który obowiązany jest do przyspieszenia indemnizacyi i do utrzymania w karbach włościaństwa, po zniesieniu pańszczyzny zbyt skłonnego do nieufności, objawiającej się niekiedy w sposób zgubny dla własnych interesów n. p. przez niechętne dostarczanie robocizny na polach dworskich pomimo korzystnej zapłaty. Tak dalece zależało hr. Gołuchowskiemu już wtedy na politycznej rehabilitacyi kraju, że przychylnie odzywa się nawet o tych żywiołach, z któremi, jak to później przy omówieniu kwestyi ruskiej zobaczymy, w ciągłej walce pozostawał. Do owej relacyi bowiem dodał własnoręcznie następujący dopisek: „Także i ruskie duchowieństwo, które podburzane przez kierowników tak zwanej ruskiej Rady narodowej rozbudzało w latach 1848 i 1849 pomiędzy ludem ruskim nienawiść i niechęć ku wyznawcom obrządku rz. kat. a przez nierozsądny prozelityzm zamącało między ludnością mieszaną zgodne pożycie obu narodowości, opuściło ten kierunek szkodliwy dla dobra publicznego i zajmuje się bardzo gorliwie oświatą ludową, nie oglądając się na zgubne podszepty ludzi narzucających się gr. kat. duchowieństwu na kierowników w tym celu, aby na zewnątrz uchodzili za wpływowych i na tej drodze dojść mogli do swoich osobistych, egoistycznych celów.“

Rehabilitacya ta prowadzona była z planem z góry wytkniętym. Hr. Gołuchowski wiedział bowiem dobrze o tem, że przy wstąpieniu na tron Cesarza Franciszka Józefa I. przyjęty był w sferach dworskich ściśle określony program akcyi, według którego młody Monarcha, niezwiązany konstytucyjnemi ustępstwami swojego poprzednika, cesarza Ferdynanda, miał ująć rządy w swoje ręce jako władzca absolutny i przezto umożliwić takie uspokojenie krajów monarchii, albo raczej takie stłumienie wszystkich żywiołów rewolucyjnych, aby zaraz potem konstytucyjna rekonstrukcya państwa mogła być rychło i bez obawy rozpoczęta. Dopóki hr. Stadion był ministrem, nadzieja ścisłego wykonania tego programu była uzasadnioną. Gdy jednak znikł z widowni ten mąż stanu, a Bach po śmierci Felixa ks. Schwarzenberga zapanował wszech-

władnie nad sytuacyą wewnętrzną, przewagę uzyskała dążność do przewlekania tej rekonstrukcyi i do ustalenia pierwotnie za przejściową fazę tylko uważanego systemu absolutnego. Planowi temu oddały wielką usługę wszystkie te chybione usiłowania spiskowe, które w Galicyi i na Węgrzech jeszcze po r. 1848 na jaw wyszły. Wskutek tego bowiem można było z pozorną racyą przewlekać w nieskończoność jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej najważniejsze porewolucyjne zarządzenia repressyjne a przedewszystkiem utrzymywać najpierw formalny stan oblężenia a potem stan wyjątkowy w mocy jako widomy znak, że sytuacya nie jest jeszcze tak bezpieczna, aby myśleć już można o rozpoczęciu konstytucyjnej rekonstrukcyi monarchii.

Przedstawianie stosunków krajowych w tak korzystnem świetle, jak to hr. Gołuchowski czynił, stawało oczywiście planom powyższym w poprzek i było dla Bacha tem niewygodniejsze, ile że Galicya uchodziła do niedawna w raportach urzędowych za najgorszą prowincyę a tem samem za najwymowniejszy argument dla obrońców stanu oblężenia. Hr. Gołuchowski nie wahał się pójść jeszcze dalej w tym kierunku, bo zapytany w r. 1852. czy stan wyjątkowy może być zniesiony, oświadczył w formie na wyrzut czy zarzut zakrawującej, że względy polityczne niemogłyby uzasadnić tak długiego trwania tego stanu, jeżeliby tylko rząd był pomyślał o skutecznej ochronie bezpieczeństwa publicznego przez dostateczne zorganizowanie żandarmeryi.

Jak jeszcze później zobaczymy, hr. Gołuchowski był i w innych sprawach stanowczo niewygodnym dla intencyi i planów Bacha, który jako wszechwładny minister byłby się niezawodnie pozbył takiego Namiestnika, gdyby on niemiał był silnego poparcia w sferach najwyższych, lub gdyby to poparcie było tylko aktem przelotnej łaski a nie, jak się rzecz miała rzeczywiście, trwałą już odtąd zdobyczą wypróbowanej lojalności i konsekwentnej pracy nad powolnem zasypywaniem tej przepaści, jaką biurokracya Metternichowska w latach 1846—1848 stworzyła między krajem a tronem. Hr. Gołuchowski już jako wyższy urzędnik gubernialny wiedział o tem dobrze, że o krwawych orgiach biurokracyi galicyjskiej z r. 1846 nigdy nie doszły autentyczne szczegóły do stóp tronu, na którym zasiadał wtedy chorobliwie wrażliwy i dobrotliwy cesarz Ferdynand, że wszelkie późniejsze próby zbliżenia się szlachty galicyjskiej do monarchy w sprawie pańszczyźnianej. z góry udaremniała biurokracya, dla której utrzymanie tej sprawy w stanie ciągłego zaognienia i jątrzenia było racyą stanu i głównym sekre-

tem sztuki rządzenia w Galicyi. Wtedy hr. Gołuchowski był bezsilnym wobec takich machinacyi, ale teraz mógł je już demaskować a nawet krzyżować, bo w częstych podróżach urzędowych do Wiednia i za pobytu Cesarza Franciszka Józefa w Galicyi, wytworzył się na prawdziwe szczęście kraju między jego dzielnym Namiestnikiem a młodym i już wtedy szlachetnym nastrojem swoich uczuć i intencyi wszystkich dokoła podbijającym Monarchą, piękny stosunek wierności z jednej, a zaufania i uznania z drugiej strony. Rozszerzyć ten stosunek na cały kraj i obwarować go żywiołem obywatelskim we wszystkich działach służby publicznej tak, aby już nigdy demon obcej biurokracyi niemógł się wcisnąć między kraj a Koronę — oto przewodnia idea polityczna, której hr. Gołuchowski od pierwszych lat rządów swoich służył z całym zapałem obywatela troskliwego o dobro społeczeństwa swojego, z całą gorliwością lojalnego męża zaufania Monarchy i z całą abnegacyą męża stanu wyższej miary, niezrażającego się do planu, na odległą przyszłość zakrojonego, ani nagromadzonemi dokoła trudnościami, ani nawet początkowo słabym odgłosem w łonie samego społeczeństwa, oto idea już dziś historyczna, której zupełny tryumf oglądać danem było hr. Gołuchowskiemu za czasów drugiego Namiestnikowstwa, gdy Sejm krajowy, wierny tłumacz uczuć i intencyi politycznych całego społeczeństwa, wypowiedział w uroczysty sposób, w odezwie do tronu, pamiętne słowa: „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy.“

To też także i do pierwszego Namiestnikowstwa hr. Gołuchowskiego odnieść należy słowa wypowiedziane przezeń w chwili ustąpienia w r. 1868 w piśmie pożegnalnem do urzędów: „Jak zawsze i wszędzie, tak i w przeciągu tego powtórnego mego urzędowania, jedynem mojem było staraniem krzewienie i wzmacnianie uczuć przywiązania, lojalności i wdzięczności ludności dla Korony a zaufanie Korony do ludności kraju, jedynym względem usilna baczność na wzrost i potęgę monarchii, na dobro i pomyślność rodzinnego kraju mojego i na prawa jego.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do księdza Hieronima Kajsiewicza.

Paryż, 25. października 1847 r.

Kochany Ojcze Hieronimie, maluczko, a odjedzie Edward Lubieński do Rzymu. Szkoda dobrej okazyi, a więc po słówku o tem i owem. Ks. Edward [1]) i Karol [2]) są już zapewnie między wami. Domyślamy się, że w tym czasie wszyscy razem siedzicie na rekollekcyach. *Veni Sancte Spiritus! Veni Sancte Spiritus*, w niebogłosy hałasujemy społem, i wy przygotowujący się tam do ostatecznych narad, i my oczekujący ich skutku. Uroczysta to i może najważniejsza doba w dziejach emigracyi. Co teraz postanowicie, rozstrzygnie o przyszłości wielu, wielu. My przynajmniej, cośmy od zawiązku waszego patrzyli na was z miłością i zbudowaniem, cośmy tyle dobrego rokowali po waszych spólnych pracach, z niewysłowionem drżeniem w sercu wyglądamy, ażaliż zaświta nam dzień odrodzenia, lub też wpadniem w zamęt posępniejszy jeszcze niż dotychczasowy? I skąd ten zamęt? Skąd to niebłogosławieństwo Boże na wszystkiem, czego się jeno który tknie? Myż, rogaci w świeckiej pysze swojej, niedziw że rozbijamy się nawzajem, że rozburzamy wszystko po drodze! Ale wy, chodzący w zakonie Pańskim, wy poświęceni, tacy gorliwi i przykładni kapłani, czemu także nic zbudować nie możecie? Pojedyńczo, żadnemu z was niczego ciężkiego zarzucić niepodobna,

[1]) Duński.
[2]) Kaczanowski.

a przecież i u was niema zgody i jedności. Jest owszem nasze świeckie rozkołysanie się, jakaś w sercach i umysłach rozterka. Doprawdy — i między wami jest jakieś grzeszne licho, jest coś czy ktoś, co rozpruwa wszystko ze szwu. *Veni Sancte Spiritus, rege quod est devium!* Och Boże, Boże! żebyć moje modlitwy mogły co znaczyć. Nie uwierzysz, drogi Ojcze Hieronimie, jak mi rzewno w duszy, nawykłem bo was od tak dawna kochać i społem polecać Bogu, że ściska się serce na myśl waszej rozsypki. I wszyscy współkatolicy tak samo czują. To słyszym jeno zewsząd głosy: „i cóż czy pójdą w rozsypkę? Czy zwiążą się ściślej w Bogu na nowy zawód? Jeśli nie mają jasnej myśli i wątka na zakon, to niech zawiążą się w kongregacyę świeckich księży i pracują po staremu w jedności i zgodzie!“ Są to *pia desideria* życzliwej braci, które wy w sumieniach waszych najlepiej ocenicie.

Ksiądz Władysław trwa statecznie przy swojem, jako wam szeroko już pisał. Ożywił się i rozruchał że doprawdy jest całkiem do niepoznania. Krząta się i pracuje dużo. Na kazalnicy takoż wielce mu się powodzi, zyskuje widocznie na wziętości u rodaków, sądząc przynajmniej po zwiększającej się wciąż liczbie słuchaczów. Istotnie każe dobrze i śmiało, lepiej i śmielej niż przed rokiem.

Do myśli ks. Władysława kongregacyi księży świeckich, przylgnęło już dwóch księży, przybyłych świeżo z kraju i dwóch podobno starych z emigracyi. Słowem powodzi się bardzo księdzu Władysławowi, i niewątpliwie działa on w najlepszej wierze. Myślę, że gdybyś tu, ks. Hieronimie, przyjechał jako miałeś ongi zamiar, udałoby się wam porozumieć z ks. Władysławem na pewnych warunkach polubownych. Inaczej po za zgromadzeniem waszem rozpocznie samopas pracę, zkąd znowu wynikną szkody dla ogółu naszego katolickiogo. I na kazalnicy byłbyś tu pożądany. Nie daj odwykać od głosu swego naszej emigracyi. Wszakże w Rzymie i bez ciebie łacniej się obejść! Przyjeżdżaj więc, przyjeżdżaj! Możebyś umiarkował ks. Władysława i skłonił ku jedności z wami. A przytem i skądinąd między bracią potrzeba żeńców.

Bracia tułacze wciąż na falach. Politykowce nasi potakują, to bluźnią Papieżowi wedle tego co wiatr przynosi z Włoch. Żyją w gazetach i przez gazety.

Z Adamem jeszczem się należycie nie rozmówił, umiarkowańszy nieco, ale jednak Towiańczyk. Nie miałem przez kilka tygodni pokoju, musiałem szukać mieszkania i meblować się. Mieszkamy na Batignolles, niedaleko od Adama.

Poznałem się z Jenerałem Chłapowskim, który mimojazdem zawadził na jedną dobę o Paryż. Zacnyżto i kochany wojak i obywatel, pokochaliśmy go doprawdy jak ojca. O literaturze i polityce na potem, bo muszę lecieć do Lubieńskiego, aby nam nie odjechał.

Bóg z Wami, i z Tobą, Ojcze kochany. Oby Was natchnął świętą łaską, ku pożytkowi Polski i zbudowaniu naszemu.

Wszystkich ściskam i pozdrawiam, a ciebie, Ojcze Hieronimie, całuję najczulej

Bohdan Zaleski.

Do księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

Paryż Batignolles, rue des Batignollaises 8
17. listopada 1847 r.

Kochany i szanowny nasz Ojcze Hieronimie, przeszłą razą pisałem do X. Edwarda, donosząc co się tu dzieje, jak się X. Godlewskiemu wybornie wiedzie na kazalnicy. Ubolewaliśmy, żeście wszyscy stąd wyjechali, i że praca wasza kilkoletnia, dzieło waszych poświęceń, przechodzi w cudze ręce, a to jeszcze niby w sposób niezgody.

Należałoby, żeby choć ze dwóch z Was do nas pospieszyło. Zapewnie, że wszędzie jednako można służyć Bogu, byle czystem sercem i w świętej pokorze. Zapewnie, że niema co dobijać się o miejsce w kościele, który jest tak jak świat szeroki i ma żywy zadatek miłości Bożej na każdym ołtarzu, nie o to też nam idzie, tylko o zgorszenie, bo taka przemiana i przy takich pogłoskach, was w uświęceniu się może nie zatrzymać, ale na naszych umysłach rozdrażnionych cierpieniami, nieutwierdzonych jeszcze w wierze, niepewnych co począć, złe wywrze skutki. Zdaje się, że jest coś między nami, co wszystko ze szwu rozpruwa, owoż komu Bóg dał łaskę i namaszczenie, powinien na gwałt zszywać wszystkie dziury, któremi ta złość do nas włazi, iżby mu kiedyś nie powiedziano, że umył ręce, że opuścił stanowisko trudne, niemiłe, a poszedł uświęcać się tam, gdzie mu wszystko szło po myśli i nic nie dokuczało. Mój drogi Ojcze Hieronimie, nie posądzisz mnie, ażebym to do was mówił w tonie nauki albo wyrzutów: kochamy was całem sercem, z wamim szedł od początku na drodze Bożej i do końca iść pragnę, węzeł nasz z wami miłości Chrystusowej radzibyśmy coraz mocniej sercami spoić, i stąd to wyczerpałem prawo i śmiałość do napisania co wyżej.

Księdzu Władysławowi, udającemu się do nas, surowsze robiliśmy uwagi, nie chcieliśmy bez was do niczego przystąpić, i to mu wręcz powiedziałem.

.....Spodziewają się tu dużo Polonii, 20. przyjeżdża Sułkowski z żoną z Poznańskiego, są Panie Rzyszczewska, Kalerdżi i Czosnowska. Kamiński wyjeżdża na osadnika do Algieru, ale sam tylko, żona tu zostaje. My chwała Bogu zdrowi, Bohdanowa coraz poważniejsza. Osiedliśmy na Batingnolles gdzie 86 rodzin polskich mieszka, według Pailleta.[1]) Od Adama mieszkamy niedalej nad 600 kroków, ale czemuś nie kleją się stosunki, byliśmy u niego, on u nas nie był, trudno się narzucać a jeszcze trudniej zgodzić się na Mistrza,[2]) skąd w rozmowie jest zawsze coś między nami przymuszonego. W sercu nie przestaniemy chować dla niego szacunku i miłości i tak będziemy czekać czy Bóg nie da lepiej się kiedy zrozumieć i w kościele pojednać, a tymczasem stosunki nasze pójdą jak szły w modlitwie, której siebie i moich kochanych, Tobie, kochany i szanowny nasz Ojcze Hieronimie, polecam i oddaję, etc.

Józef Zaleski.[3])

Dziękujemy, kochany Ojcze Hieronimie, za pożądaną wiadomość o dobrem usposobieniu Waszem trzymania się kupy. Dzięki Bogu, dzięki Bogu! Teraz tuszymy dobrze o przyszłości Zakonu.

Kłopot mam niesłychany z Antonim Witwickim, ani sposobu skończyć z nim jakiegobądź interesu...

....Nie mam czasu pisać dłużej, bo Józef nad karkiem, do przyszłego więc kuryera.

Bogu was polecam i proszę o modlitwę

Bohdan.

Do Pana Seweryna Goszczyńskiego, w Strasburgu.

Paryż, Batingnolles, rue des Batingnollaises 8
3. grudnia 1847 r.

Mój drogi Sewerynie, umyślnie spóźniłem odpowiedź na twój list, a to dla tego, aby zarazem ci donieść jak pójdzie interes w Ministeryum. Otóż, dzięki Bogu, udało mi się wyrobić dla ciebie zasiłki

---

[1]) Szef biura w prefekturze policyi, zajmujący się sprawami wychodźców.

[2]) Towiański.

[3]) Brat Bohdana.

rządowe, a przynajmniej mam na to solenną obietnicę P. Pailleta. Wytargowałem nadto: 1. pozwolenie zamieszkania w Strasburgu (o co robiono trudność), 2. wypłatę zaległości za miesiąc albo może i za dwa. Ażeby ci oszczędzić czasu, kosztu i przykrości korespondencyi urzędowej, podałem petycyę do Ministra wprost od siebie, ma się rozumieć jak najostrożniejszą, opierając się jeno na tem, że jako przyjaciel wiem o twojej biedzie i że w obecnym czasie nie mogłeś z własnej pracy utrzymać się w Szwajcaryi i t. p. Załączyłem także w petycyi adres twój w Strasburgu. Za pięć lub sześć dni, powinna już nadejść z Paryża do Prefektury decyzya Ministra, a więc dowiaduj się tam do biur. Ja z mojej strony kołatać tu będę aż do końca o pospiech.

Radośniej mi w sercu, że pomyślnie poszła negocyacya. Mój drogi, mój stary druhu, lichać to pomoc, ale zawsze coś! Szkoda że nie mieszkasz z nami w Batignolles, miałbyś w żonie mojej jako rodzoną siostrę, i coby to było za szczęście dla nas zachować dla ciebie miskę i łyżkę przy stole naszym. Chcesz drukować nowe poezye, to siedź w Strasburgu! Więcej to warto niż drobne powszednie przyjemności tego żywota. Nie uwierzysz, jak utęskniam czytać te poezye. Przyślij mi jaki arkusz choć korrekty w liście.

Dziękuję ci, mój drogi, za serdeczne a szczere pismo. Radbym ci się wywzajemnić, ale umysł mój dziś całkiem nie do tego, roztargniony potocznemi a naglącemi sprawami. Nie mógłbym żadną miarą skupić się ani na chwilę w duchu. I ja przeżyłem kilka miesięcy w Rzymie pod bokiem wielkiego męża i Zwierzchnika kościoła. Doznałem wzruszeń, o których szeroko trzebaby pisać co tchu. Dość, że utwierdziłem się w mojej wierze, i odświeżyłem się na dalszy żywot. Da Bóg, porozumiemy się kiedyś wszyscy w Bogu.

Muszę już kończyć, potrzeba spieszyć z petycyą do Ministra i z wysłaniem tej kartki na pocztę. Załączam ci jeszcze na ciepłe zimowe odzienie 50 franków, na razie doprawdy nie mogę posłać więcej. Mój kochany Sewerynie, nie droż się ty nigdy ze mną i przyjmij tę fraszkę z takiem sercem, z jakiem ci ją ofiaruję.

Cóż powiesz na to? Nie widziałem się wcale z Mianowskim. Wyjechał do Petersburga kilkanaście temu dni. Nie wiedziałem, gdzie mieszka i nie dopytywałem bardzo o adres, będąc pewny, że mnie starego Humańskiego kolegę zechce nawiedzić pierwszy, tem bardziej, że nawiedził Chaborskich, Adama i różnych Wileńczyków. Mówił o mnie z miłością w tym i w owym domu, jak dowiaduję się dziś z boku. Dla czego nie widział się? Trudno dociec, a niegodzi się posądzać o złą wolę. Najpodobniej, że zawieruszony na wiel-

kim świecie i odkładając z dnia na dzień swoją wizytę, w końcu nie miał już czasu, a może i śmiałości. Nie taję się, że mi to było przykro, zwłaszcza że bawił w Paryżu cztery podobno miesiące. Zenon bardzo go chwali, powiada, że takusieńki sercem, jak był w Humaniu. Powodzi mu się arcydobrze. Przyjeżdżał tu na wezwanie księżny Witgensteinowej. Ma już kamienicę swoją w Petersburgu, huk pieniędzy i krestów.

Ściskam cię, mój drogi, za siebie, żonę i Józefa, ściskam i całuję w miłości starego, statecznego druha. Bóg z nami niech będzie na żywot doczesny i wieczny

Twój

Bohdan.

Zapomniałem ci napisać, że niebawem już będę ojcem. Dziwne to uczucie, którego mocy po raz pierwszy oto doświadczam.

Pozdrawiam po koleżeńsku zacnego twego brata Szwajcara.

Z Adamem rzadko się widuję.

Napisz mi, kiedy ci wypłacili i za ile miesięcy zaległości? Ja także będę do ciebie pisał.

Do Pana Ignacego Domeyki.

Paryż, 7. grudnia 1847 r.,
rue des Batingnollaises n. 8.

Bracie Ignacy! od gromady pielgrzymiej najdalej podobno odbity nasz bracie! Rzewno pomyśleć, że ta kartka, papierowy świstek, tyle bezbrzeznego Oceanu przeleci i przez antypody spadnie na stolik osamotnionego polskiego tułacza. I świstek ten mógłby mu oczarować biedę powszednią, mógłby mu umilić teskniejszy ze dnia na dzień żywot między cudzymi. Serce miota się w miłości, radeby się zwinąć w sobie, aby wycisnąć miazgę, treść wszelkiego pocieszenia, wszelkiej ochłody i osłody, na dni tam twoje to gorżkie, to skwarne. Żeby to się już otchnąć miłą jakąś wonią, od Wisły, Wilii, Dniepru! Żeby naprzykład otchnąć dobrą wieścią o pokojaniu naszem, a tem samem, o bliskiem Miłosierdziu Pańskiem! Gdzie tam — oj gdzie tam, zawsze stara piosnka i na smutną nutę. Z licznych doniesień i gazeciarskich i korespondentów twoich, znasz ty dobrze nasze dzieje ostatnich lat. Kto wie jednak co o miłosierdziu Pańskiem? Polska wciąż na torturach męczeńskich, krew i łzy płyną a płyną, to liczba sprawiedliwych może się lada dzień dopełnić.

Wielka boleść znamionuje wielkie życie. Nadzieja nasza w tej bolesnej żywotności narodu, a oraz w zasłudze Chrystusa Pana także bolesnej i żywotnej. Nadzieja tedy niezmierna i niezawodna. Och! więcej niż nadzieja, to pewność, prawda chrześciańska, górująca nad czasem i okolicznościami, która rychlej czy później rozsadzi świat i wywoła koniecznie, wywoła Pański cud. W tej prawdzie zwyciężym. W tej prawdzie, bracie Żegoto, wskroś antypodów możemy się już dzisiaj radośnie uścisnąć. Bracia jednak emigrancka po dawnemu szamoce się w próżni świeckich swoich nadziei. Świat broi zło i tropem owczym tak samo broimy za nim. Starzejem się snując pajęczynę systematów politycznych, to religijnych; wiatry wioną i rozdmuchną. Snujem znowu sieć cieniuchną, by ją znowu wiatry zwiały. Od niejakiego wszakże czasu, a osobliwie od rzezi Tarnowskiej widocznie poważnieją umysły. Krew ma wcale inszy zapach niż atrament, działa cudownie na mózgi i serca, to ten i ów rachuje się z sumieniem, ale jeszcze przed kościołem. Drzwi przecież kościelne na rozścież stoją od wieków, daj Boże, aby co najrychlej, co najwięcej upadło pod ołtarz Baranka, gładzącego winy świata. I skądinąd pomyślna po temu dola. Zwierzchnik Pański w kościele, mąż wielki, mąż święty, pełen dobrej woli i ochoty ku grzesznikom, chcącym się kajać. Dam pokój ogólnikom. Józef pisze ci krewko o naszym pobycie w Rzymie, o wrażeniu i nadziejach, jakieśmy stamtąd wywieźli, to znijdę oto do drobniejszych szczegółów, napomknę o tem i owem co wiem, że cię interesować będzie. Między księżami naszymi na razie rozterka, a tem samem i pewne omdlenie w pracach. Zjechali się teraz na sobór do Rzymu, aby się ostatecznie urządzić w zakon. Otóż w tem tkwi sęk. Pojedyńczo każdy z nich światły i świątobliwy kapłan, ale oraz każdy odmienne ma pojęcie o powołaniu zakonnem. Nie mogą zgodzić się na regułę i nie masz nikogo na Przełożonego, któryby stał się żywą regułą i powagą swoją utrzymywał wszystkich w klubach. Boimy się, aby nie poszli w rozsypkę. Odbyli jednakże przykładnie rekollekcye, to Duch święty natchnie ich zapewnie, co i jak czynić ku porozumieniu się i pracom na przyszłość. Oprócz tego, tylu się za nimi modli pobożnych na ziemi i w niebie. Jański i Witwicki polecają ich wciąż na wysokościach Chrystusowi Panu i Matce Najświętszej. Dotychczas tylko sam jeden X. Godlewski odłączył się od gromady. Tworzy on osobną kongregacyę księży świeckich, która może być takoż arcypożyteczna w kraju i na emigracyi. X. Terlecki, z woli i upoważnienia Ojca Świętego wszedł do Bazylianów obrządku słowiańskiego i jest missyonarzem na Serbii, Bosni i t. p. Zdaje się, że wielka myśl

Boża spoczywa na tej missii, odzyskania może Unitów i nawrócenia schyzmy. Jako Rusin radbym całemi siłami popierać nowych zreformowanych Bazylianów. A Matkaż Makryna? Widocznie Bóg chce, aby nie zapominać o litewskich Unitach. Zapewne pisano ci już o skonie naszego Stefana.[1]) Jako żył poczciwie, tak i umarł święcie. Pogrzebany w Rzymie obok Jańskiego. Ubył oto nam jeden filar! Mąż chrześciański, apostolski, szczery, prosty a gorącej wiary jak Hiob Boży, co był dla narodu całego zbudowaniem i pokrzepieniem. A dla mnież? Mało kto wie czem był Stefan dla mnie. Mniejsza że przyjaciel mojej młodości, ale pod koniec żywota był doprawdy dla mnie więcej niż druh i brat, był jako Anioł stróż i pocieszyciel zarazem. Wypłakałem się też po nim na grobie i po dziś dzień nie mogę się utulić w sieroctwie mojem, tak tęskno w sercu po nim. Dla niego śmierć była bożą łaską, bo dojrzały był dawno dla nieba, cierpiał długo i strasznie, a pomimo tego, dopełniał obowiązków i wytrwał Panu aż do końca. On dzisiaj Pasterzem naszym w niebiesiech.

Z Adamem sąsiadujemy o paręset kroków ale rzadko się widujem, bo widząc się nie mamy już o czem mówić. Zakamieniał w sektarstwie, że ani śladu dawnego serdecznego Adama. Zestarzał bardzo, włosy niemal całkiem zbielały. Zdaje się jednak, że już Towiańskiego nie uważa za Chrystusa, ale za męża epoki. Ochłódł widocznie z dawnego zapału dla Mistrza, z niektórymi nawet jego fanatyczniejszymi zwolennikami zerwał całkiem stosunki; nie przestaje wszakże łowić prozelitów dla własnego koła. Co dalej będzie? łatwo przeniknąć. Rozbiją sie na sekty! I niedziw. Prawdzie jest tylko dane jednoczyć w duchu, prawda całkowita i zupełna leży w kościele Bożym, zawarowana tam od wszelkich podstępów ludzkich i wszelkiego omylenia. Adam i Towiański skończą po prostu na filozofowaniu. Skoro bowiem sądzą kościół, już tem samem rozum swój wznoszą nad wiarę; a czy ten rozum buja w uniesieniach imaginacyi, czy zatapia się w sobie, to jest czy poetyzuje czy metafizykuje, znamię jego jedne: świętokradztwo, i jeden owoc: rozprószenie. Kochany bracie Żegoto, smutno, och smutno nam na śmierć. Do tylu żywiołów rozprzężenia w Polsce, przybył oto nowy i najstraszniejszy. Adam, geniusz opromieniony wieńcem łaski Pańskiej, stał się oto rozsiewcą zgorszenia. Ściska się serce w płacz. Ile to Adam zwichnął umysłów i znarowił serc? Śpiewem dwuznacznej mowy swej, która w zachwycie niby miłości bluźni pobożnemi słowy, struł u wielu

[1]) Witwickiego.

prostotę wiary. Nikt ogółu nauki jego nie przyjął, ale upoważnił i ośmielił mnóstwo ludzi do własnych rojeń, do rokoszu przeciwko kościołowi, do wypowiedzenia mu poszanowania i posłuszeństwa i t. p., i t. p. Straszny jego porachunek z Bogiem. Modlimy się tu za nim wciąż. Wybiera się teraz w podróż do Rzymu. Wiezie jakieś propozycye Papieżowi. Może na widok miejsc świętych i Namiestnika Pańskiego, zmiękczy się w sercu i upokorzy w duchu. Daj Boże! Ty wiesz jaki on dumny, to bez cudu ani pomyśleć, aby usłuchał czyichś perswazyi. Tuszymy sobie dobrze z tej podróży, Bóg wielki, Bóg miłosierny uratuje nam Adama na pokutnika i sługę znów dla siebie. Z powodu Adama i w literaturze polskiej takiż sam rozstrój. On, co trzymał kamerton w chórze śpiewaków, nagle dmuchnął na szariwari że choć uszy zatknij. Doprawdy, bracie Żegoto, kostnieją ręce na lutni. Żeby dziś zaśpiewać co Panu, potrzeba tyle wewnętrznego ognia, takiej potęgi w głosie, że nie wiem czy jest pierś ludzka, coby nie pękła. Pan pierwej bezbożny gwar zagłuszy gromami swymi, a po burzy, kiedy się rozwiośni, wstaną nowe głosy w hymnach wiecznej chwały. Poeci tedy polscy muszą na jakiś czas oniemieć. Za to filozofia arcyrozwielmożyła się na ziemi polskiej. Z niemieckiej żołędzi wybujała raptownie po nad wszystkie dęby Szwarcwaldu. Istotnie mamy nielada atletów. Cieszkowski, Trętowski, Libelt mogą się śmiało wziąć za barki z najdłuższymi Germańcami. Warto przypatrzyć się także ich zbroi, pioropusz pychy aż w obłoki. Niewątpliwie mamy potężnych metafizyków i dyalektyków i cóż potem? Wyjarzmili wprawdzie rozum, ale rozprószyli ducha, bo targnęli się na wiarę. Taki rozum jest nicestwo, i wróci do nicestwa. Samorodna mądrość polska i słowiańska musi się wykłuć z ducha, który co innego jest niż rozum; musi się wykłuć jak wykłuła się pieśń, w świetle i cieple wiary i róść w błogosławieństwie bożem, aby sprostała wielkim przeznaczeniom narodu. Inaczej płocha to zabawka i co gorsza, zabawka arcygrzeszna, to pomsta Pańska tuż. Bieda, och bieda zewsząd, ale dam pokój tym jeremiadom. W umiejętnościach i naukach przyrodzonych zawsze ubóstwo. Widzi mi się, że my Słowianie jeszcze kochamy naturę, abyśmy ją na zimno obserwować chcieli i mogli. To rzecz inszych narodów staruszków. *Avis au lecteur* z przeproszeniem. A Załuziański, Głogowczyk, Kopernik i t. d. Widzisz, kochany Żegoto, że gawędzę oto z tobą, ale mi tak z tem słodko i miło.

Jeszcze słówko o sobie. Nie wiem czy już zasłyszałeś skąd o mojem ożenieniu. Od roku oto płużę w słodkiem jarzmie małżeńskiem. Bóg widocznie błogosławi mi nad moje zasługi. Dostałem

dobrą, zacną i poczciwą żonę, co mi umila tęsknotę tułaczą. *Vae soli!* stoi w piśmie i my tę prawdę bożą nosim w sercach. Bez rodziny nigdzie dobrze, a cóż dopiero nam wygnańcom w smutkach i nudach naszego żywota? Jakoś raźniej i znośniej kołatać biedę we dwoje. Niebawem spodziewam się zostać ojcem. Przybędzie mi poważnych obowiązków, ależ takie obowiązki dają właśnie przeważny cel życiu. A Józefże mój? to jako Józef Patryarcha! i wiem że błogosławieństwo Pańskie spoczywa na domu moim. Och jest, jest za co dziękować Bogu, a ja zawsze po staremu zły i grzeszny. Żona moja wie i o tobie, Żegoto nasz, i kocha cię po naszemu i da Bóg przytuli cię kiedyś i służyć będzie jak siostra. My się za ciebie modlim, i ty zapewnie za nas. Dodajże do litanii przyjaciół swoich imię Zofii mojej.

Co się z tobą dzieje, miły Żegoto bracie, na nowym tam świecie? W czasie pobytu naszego w Rzymie, czytaliśmy twój list do Kajsiewicza niedawno pisany, to jest w początku b. r. Złe między duchownymi takie samo, jak i u nas, a podobno że i gorsze. Plemię hiszpańskie wszędzie jednakie, podupadłe w prawowierności, a tem samem i na duchu starym, starosławnym, ma się oto ku śmierci politycznej. Odrodzi się przez wiarę, razem z Polską naszą.

Za powrotem do Paryża zastaliśmy u Laskowicza nowsze od ciebie wiadomości. Ty ani wiesz, czem są dla nas twoje listy, takie poczciwe, serdeczne a poważne i uczące? Radujemy się niemi po całych miesiącach i wydzieramy je sobie jak dzieci, stare dzieci. Ale jest i fatalność jakaś z tymi listami! wyraźnie i najwyraźniej interwencya złego ducha, alias dyabła. Zapewnie opisał ci Józef nową niefortunną swoją przygodę z ostatnimi listami. Doprawdy bez tej interwencyi ani sposób wytłómaczyć dlaczego gubi twoje pisma, kiedy inne papiery konserwują się najdoskonalej. Najboleśniej, że wyrządzamy prawdziwą krzywdę przyjaciołom twoim i niewinnie narażamy się na Bóg wie jakie posądzenia. Ty znasz mego Józefa. Chciałżeby on komubądź wyrządzić przykrość? a cóż dopiero zacnemu i świętobliwemu Laskowiczowi i Chełchowskiemu. Zgryźliśmy się obadwa zgubą listów, kochany Ignacy, wstaw się za nami, aby nie mieli już do nas urazy. A pisuj do nas, pisuj jak naczęściej bo cię z całego serca kochamy, a więc współczujemy z tobą i tęsknimy za tobą. Wierzaj, że odtąd wywzajemniać się będziemy długimi listami.

Ogarniam cię miłością i pokojem, to jest w Bogu naszym Chrystusie Panie, opiece Matki Jego powierzam cię dalekiego i samotnego wygnańca.

Do widzenia się, bracie Żegoto, do widzenia się w tym czy na tamtym świecie. Ściskam i całuję najrzewniej

Twój

Bohdan.

Czeczot i Tomasz Zan pożenili się na Litwie. Jeżowski mieszka na Ukrainie przy naszych krewnych. Weisenhof w Rzymie maluje i poczynił znaczne postępy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

UPOSAŻENIE
DUCHOWIEŃSTWA RZYMSKO-KATOLICKIEGO
NA KRESACH UKRAINNYCH
w końcu XVIII. w.

(Dokończenie).

6. m. Korostyszów.

Kościół korostyszowski należał do najdawniejszych. Ufundowany on został przez Adama i Annę Olizarów w r. 1609 d. 8. października. Listu fundacyjnego nie znam i w odpisach urzędowych dokumentów, odnoszących się do kościoła tego, nie ma go także. Wiemy z późniejszego aktu, dokonanego d. 27. listopada 1796 r. przez Filipa Nereusza Wołczkiewicza Olizara, że na rzecz kościoła korostyszowskiego był jakiś fundusz zapisany w ziemi i że z mocy tego nadania proboszczowie korostyszowscy osadzili w mieście, w pobliżu kościoła jurydykę. W nadaniu tem była klauzula, dozwalająca spadkobiercom Olizarów a właścicielom Korostyszowa na zamianę tego funduszu, gdyby tego wymagało dobro kościoła. Z zastrzeżenia tego skorzystał Filip Nereusz Olizar. Ponieważ z czasem — jak mówi dokument — granice gruntów nadanych zatarły się, a osadzona w mieście jurydyka więcej przeszkody skarbowi właściciela niż pożytku przynosiła, przeto Filip Olizar zamyślił akt nadawczy przodków swoich zrealizować w sposób bardziej określony. Za zezwoleniem tedy Kaspra Kazimierza Kolumny Cieciszowskiego, biskupa Pińskiego, Olizar skasował dawne nadanie, przeprowadziwszy akt zamiany na warunkach następujących:

1. Olizar oddał na własność kościołowi plac, określony w akcie zamiennym i budynki plebalne, a oprócz tego zobowiązał się wybu-

dować mieszkanie dla wikaryusza i organisty pod jednym dachem i drugi podobny dom na szkółkę razem z szpitalem. Zobowiązał się nadto do reperacyi kościoła i budynków do plebanii należących, jakoteż szpital i szkółkę własnym kosztem utrzymywać.

2. Wypłacać annuaty czyli pensyi rocznej ze swego skarbu proboszczom po 2.000 złp. w dwóch ratach, 1. stycznia i 1. lipca, a proboszcz zaś obowiązany był utrzymywać z tego funduszu wikarego i odprawiać mszę żałobną w każdą środę, piątek i sobotę za wszystkich krewnych imienia Olizarów, jakoteż opłacać organistę i usługę kościelną.

3. Wydawać corocznie ordynaryę w czystem ziarnie: żyta korcy 40, pszenicy 8, hreczki 8, grochu 2, jagieł 2, jęczmienia 8, owsa 20, siemienia konopnego korzec jeden, jałowicę jedną, baranów 6, słoniny połci 4, masła fasek 2, sera dzieżek 2, siana sążni 4; oprócz tego mlewo w młynach korostyszowieckich wolne „bez czerby i miarki.“

4. Opał potrzebny dla plebanii, bez ściślejszego określenia, mieli pobierać proboszczowie z klucza korostyszowskiego, „szczególnie“ z lasów, należących do miasta.

Prawo prezentowania proboszczów Olizarowie zastrzegli sobie.

Akt ów zamienny, streszczony w powyższych punktach, a datowany 27. listopada 1796 r., podpisany został przez Józefa Morzkowskiego, Jana Przewłockiego i Xawerego Krechowieckiego, obywateli miejscowych.

7. m. Rżyszczów.

Zakon Trynitarzy w Polsce, w szczególności na kresach ukrainnych, narażonych ustawicznie na gospodarstwo tatarskich zagonów, miał dużą pracę i nie małą zasługę. Zasługa ta polegała na tem, że zakonnicy zbierali fundusze i zajmowali się wykupywaniem jeńców z niewoli tatarskiej. Jednym z takich braci zakonnych klasztoru Trynitarskiego łuckiego był brat Feliks. Wysłany rozkazem przełożeństwa za zbieraniem pieniędzy jeszcze w r. 1761, znalazł się w r. 1764 w miasteczku Rżyszczowie nad Dnieprem. Była to majętność obszerna. Połowa jej w r. 1764 należała do Ignacego Woronicza, sądziego grodzkiego Żytomirskiego i rodziny Hołowińskich. Na części, będącej w posiadaniu Hołowińskich, siedziała Anna z Hołowińskich Kondracka. Druga połowa należała w całości do Stanisława Szczeniowskiego, z tych Szczeniowskich, którzy poczuwali się do

obowiązków publicznych, właściciela Wielkiego Szczeniowa, Rżyszczowa, Chodorowa i Czerlikowszczyzny. Do tej połowy Rżyszczowa doszedł Szczeniowski drogą dobrowolnego nabycia od Michała i Ignacego Woroniczów, Skorupskiego, skarbnika Smoleńskiego, a po spłaceniu dożywotniego władania Antoniego Gadomskiego.

Jakim sposobem brat Feliks zetknął się ze Szczeniowskim, niewiadomo, dość że zdołał go nakłonić do zbudowania i uposażenia kłasztoru OO. Trynitarzy w Rzyszczowie. Gdy w r. 1764 przyszło do spisania nadania, brat Feliks, który zajął się zlustrowaniem miejsca wydzielonego OO. Trynitarzom, mógł już w lustracyi, przesłanej macierzystemu klasztorowi, skonstatować znaczny postęp w budowli. Miejsce pod klasztor wybrano na wzgórzu, „dość obszerne“, suche, zdrowe, oddalone od zamku na wystrzał armatni. Kościół był prawie gotów. Budowany z drzewa na dębowych podwalinach, o dwóch wielkich i jednej małej kopule, ładnej i czystej roboty. Fundator zobowiązał się na jednej z wież ustawić zegar własnym kosztem, na co tysiąc złotych polskich przeznaczył. Na wszystkich trzech kopułach miały stanąć krzyże żelazne, z miedzianemi pozłoconemi daszkami. Dach miał być kryty gontami dębowemi. Ołtarzów miało być trzy: środkowy wielki i dwa boczne małe. W środkowym fundator zobowiązał się umieścić obraz Chrystusa, w jednym z bocznych — Matkę Boską, w drugim — św. Onufrego. Klasztor, budynki wszystkie, cele klasztorne na sześciu zakonników, ogrodzenie klasztoru i cmentarza miało być już w roku następnym t. j. 1765 wykończone. Niezależnie od tego Szczeniowski zobowiązał się kościół i klasztor zaopatrzyć we wszystkie najdrobniejsze potrzeby kościelne, od lichtarzy aż do dywanów i ornatów. Równocześnie z robotami stolarskiemi i ciesielskiemi, zakładano sad, w którym, oprócz zwykłych drzew i krzewów owocowych, był także zasadzony winograd. Dla zaopatrzenia zakonników i klasztoru w stałą żywność, właściciel Rżyszczowa przeznaczył i nadał klasztorowi wieś Czuczyńce, zamienioną później na Szczuczyńce.

Dodatkowym zapisem, 19. maja 1764, Stanisław Szczeniowski i małżonka jego Urszula, legowali na klasztor sumę dwiestu zł. pol. na kupno lampy, mającej płonąć w dzień i w nocy przed wielkim ołtarzem, jakoteż 2.857 złp. jako sumę dodatkową na utrzymanie klasztoru i zakonników, a księża obowiązani byli co środę i sobotę odprawiać mszę za fundatora i jego następców.

Brat Feliks niezadowolnił się spisaniem urzędowego aktu legacyjnego, lecz skłonił jeszcze Stanisława Szczeniowskiego do wyko-

nania przysięgi, d. 9. maja 1765 r. przed trybunałem koronnym we Lwowie, że zobowiązań swoich dokona.

Jakie tam stosunki w rodzinie Szczeniowskich trwały — niewiemy, dość że w dokumentach widać ustawiczną troskę OO. Trynitarzy o zachowanie w całości nadania Stanisława i Urszuli. Przysięgą z r. 1765 klasztor Trynitarski w Rżyszczowie nie zadowolnił się, gdyż w dwanaście lat później t. j. w r. 1776, 6. maja Szczeniowski powtórzył ją znowu w obecności trybunału lwowskiego, zobowiązując się sam do wykonywania zrobionego przez siebie i żonę zapisu i zobowiązując do tego swoich następców. Obawy OO. Trynitarzy były jednak uzasadnione, gdyż synowie Stanisława Szczeniowskiego, Ksawery i Onufry, wraz z siostrą swoją Maryanną, starościną trechtymirowską, zapozwali Trynitarzy Rżyszczowskich o nieprawne posiadanie Czuczynki i innych, związanych z posiadaniem klasztoru używalności. Opierali się tylko na przysiędze ojca, wykonanej we Lwowie w r. 1765, o formalnym zapisie prawdopodobnie nie wiedzieli. Wytoczyli tedy w r. 1782 proces klasztorowi, prosząc o skasowanie zobowiązania, wydanego przez ojca. Gdy jednak klasztor przedstawił sądowi zapis Stanisława Szczeniowskiego, sąd uznał w zupełności ważność jego i pretensyę oddalił. Szczeniowscy apelowali od tego wyroku. Wyroku ostatecznego w posiadanych dokumentach nie ma, wypadł on wszakże niewątpliwie na niekorzyść Szczeniowskich, gdyż w r. 1798 Trynitarzy rżyszczowscy byli całkowitymi posiadaczami zapisu Stanisława Szczeniowskiego.

Pominąwszy szczegółowe odgraniczenie wsi Czuczynice, przejdziemy do obszaru i warunków ekonomicznych. Jaki był obszar owej wsi nadanej klasztorowi, nie wiemy: nie wymieniono go ani w liście nadawczym ani w opisie późniejszym. Opis urzędowy zawiera jednak kilka dat ściślejszych, z których wnosić można że klasztor prowadził także własne gospodarstwo. Pola, należące do folwarku, były podzielone na trzy łany: pierwszy miał 60 dni „orania“, czyli, jak liczono wówczas, mógł wynosić tyleż desiatyn; drugi „pierwszemu równy“, trzeci „dość obszerny“ — powiada opis głucho. Pola orne wynosiły zatem około 200 desiatyn. Oprócz tego były jeszcze pola „nowinne“, zdatne do orania, łąki kośne, jeziora rybne, jakoteż należało do klasztoru prawo łowienia ryby w Dnieprze. We wsi był folwark, z domem mieszkalnym i karczma. Poddanych było dworów 29. Dochód ze wsi układał się w sposób następujący rocznie: z karczmy rubli 125; czynszu z poddanych rs. 63; „jajkowe“ w czasie świąt wielkanocnych rs. 1 kop. 56; za 26 ośmuch chmielu rs. 2 kop. 30; za 26 motków 40-o pasmowych

przędzy rs. 2 kop. 60; za 52 kury rs. 1 kop. 4; za 260 jaj rs. 2 kop. 6; za 8 pługów włościańskich do orania (4 dni po 25 kop.; 8 × 4 = 32 dni po 25 kop.) rs. 8; 26 kosarzy rocznie po 2 dni, dziennie 10 kop. wynosi rs. 5 kop. 20; za spław zboża Dnieprem rs. 5 kop. 20; 6 młynów na łodziach rs. 15; dzierżawa ze stawu rs. 2 kop. 34; różne od gromady rs. 6; dziesięciny pszczelnej rs. 17; oczkowe od pszczół rs. 1; podarowszczyzny rs. 7 kop. 70. Co wszystko razem dawało rocznie rs. 269.

Niezależnie od tego w posiadaniu klasztoru Trynitarzy Rżyszczowskich było: szlachty czynszowej mężczyzn 4, kobiet 5; poddanych mężczyzn 94, kobiet 100; wolnych mężczyzn 6, kobiet 3.

8. m. Fastów.

Fastów należał niegdyś do dóbr stołowych biskupów kijowskich i posiadał kościół oddawna. W r. 1798 kościół już był w posiadaniu jedynie jurydyki w miasteczku i części wsi, nazwanej w opisie Kadłubicą, a w poprzednich aktach Kotłubicą. Na prawo posiadania proboszczowie fastowscy nie mieli jednak żadnych dokumentów. I nic dziwnego. Fastów należał do tych nieszczęśliwych miasteczek, w którem kamień na kamieniu nie pozostał. Władanie Kotłubicą trwało wszakże bez przerwy aż do r. 1790. Granice tego posiadania były jednak nie pewne, skąd wynikały ustawiczne spory między proboszczem a sąsiadami. Wszedł w to dopiero Kasper Cieciszowski, biskup kijowski i czernihowski i nakazał uregulowanie granic, a gdzie potrzeba zamianę. W tym celu w r. 1789 delegował on komisarzy do odgraniczenia zarówno jurydyki Fastowskiej jak i wsi Kotłubicy. Komissya, złożona z Michała Prawdzica Połuckiego, archidyakona Czernichowskiego i Kazimierza Ostrowskiego, kanonika katedralnego kijowskiego, którzy d. 1. października 1790, zjechawszy na grunt, w obecności Antoniego Komornickiego, gubernatora Fastowskiego, Dominika Remiszewskiego, pisarza, Józefa Rawicza, posesora jurydyki kościelnej, Witkowskiego, geometry, jakoteż kilku kmieci miejscowych, udała się na grunt, przeprowadziła rozgraniczenie jurydyki i Kotłubicy, kazawszy przy sobie kopce graniczne posypać. Sypanie kopców szło oczywiście według stanu posiadania, stwierdzonego przez ludzi starych świadków wiarogodnych.

Według dekretu kapituły kijowskiej — mówią komisarze — którego wszakże nie przedstawiono, pola orne do plebanii Fastowieckiej należące posiadały we „trzy ręki“ po 100 dni orania i tyleż łąki,

co wynosiłoby około 400 desiatyn. Przestrzeń ta okazała się wszakże szczuplejszą co do pól ornych, a większą co do łąk, gdyż opis majętności, zrobiony w r. 1798 wykazywał w Kotłubicy 3 domy mieszkalne księżowskie, 15 włościańskich, 100 „dni orania“ w posiadaniu kościoła, 100 włościan, a łąk natomiast posiadali proboszczowie „dni“ 600, gdy włościanie tylko 40. Według rewizyi „dusz“, było szlachty czynszowej mężczyzn 9, kobiet 6, poddanych zaś mężczyzn 56, kobiet 40. Szlachta opłacała czynszu 67 złp. Poddani odrabiali co tygodnia w lecie po dwa dni pańszczyzny, a w zimie jeden dzień.

Niezależnie od tego proboszczowie otrzymywali 800 złp. z kapituły żytomierskiej, ale dokumentu na to nie posiadali.

9. m. Pawołocz.

Józef Lubomirski, „Hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu, Dąbrowie, Łabunnu, Mikulińcach, Pawołoczy, Krasnym, Miastkowce, Tomaszpolu, Raszkowie, Sawrańcu, św. Państwa rzymskiego książę, Podstoli W. X. Litewskiego, Rotmistrz pancerny i generał-major wojsk koronnych, X. Różyńskiego dziedziczny pan“ — taki sobie tytuł wypisał — postanowił w r. 1751, 15. listopada ufundować kościół parafialny w majętności swojej Pawołoczu. Kościół miał być wybudowany „przy zamku tamecznym“, a prezentacya proboszcza należała do sukcessorów Pawołoczy. Na utrzymanie plebana Lubomirski zapisał z klucza swego Pawołockiego 1.500 złp. rocznej dotacyi. Oprócz tego wyznaczył plac pod budowę plebanii i kościoła, a „na folwark, gumno, oborę, ogród i sad w polach gruntu do orania we trzy ręce, w każdą rękę po dni 60 i sianożęci na kosarzów 60“; udarował proboszcza prawem „kurzenia gorzałki na folwarku *pro commoditate sui* i plebanii, bez żadnego jednak szynku i arendy.“ Niezależnie od tego nadal wolne mlewo w młynach miejskich „bez czerby i miarki.“

Grunta, nadane proboszczowi pawołockiemu, wkrótce zostały skolonizowane a ludność miejscowa folwark i osadę nazwała Księdzówką. Powstał on już po roku 1753, gdyż dopiero 22. czerwca t. r. komisarz, wysłany z ramienia X. Lubomirskiego, Bogorayski, grunta na folwark i plebanię odmierzył. Posiadanie Księdzówki trwało bez przerwy aż do r. 1779. W tym czasie proboszcz Janiszewski odstąpił folwark X. Kasprowi Lubomirskiemu, tranzakcyą 16. lipca 1779 r. na zamku Pawołockim zawartą. Pawołoczyzna przeszła następnie w posiadanie Kaliksta Ponińskiego i Barbary 1°

voto Lubomirskiej, 2° Ponińskiej, żony Kaliksta. Następca X. Janiszewskiego, X. Pasławski nie zgodził się na tę traznakcyę, jakkolwiek Poniński utrzymywał że jest ona wygodniejszą dla kościoła niż dawna. Rozpoczął się proces. 15. lipca 1783 X. Pasławski wniósł pozew. Sąd wyrokiem z d. 20. maja 1785 unieważnił tranzakcyę z d. 16. lipca 1779 r. przez Kaspra Lubomirskiego zawartą, przysądził deokupacyę Księdzówki na rzecz kościoła parochialnego w Pawołoczy, uznając przezto samo zapis Józefa Lubomirskiego za jedynie ważny.

W r. 1798 Księdzówka figuruje już jako wioska, leżąca nad rzeczką Pawołoczą a zasiedlona przez proboszcza Pawołockiego Piotrowicza. Posiadała ona ziemi ornej w „dwie zmiany“ po „dni“ 25 i łąk po „dni“ 6, a zatem 50 des. roli i 12 des. łąk. Włościanie posiadali gruntu ornego 90 des. — bez łąk. Zarośli leśnych w posiadaniu proboszczów było ½ „dnia.“ Wówczas już wszakże dziedzictwo „pana i dziedzica na Pawołoczy“ przeszło do hrabiny Zubowej, a Księdzówka była dokoła otoczoną własnością ziemską Zubowej.

W tym czasie Księdzówka posiadała 13 chat włościańskich t. j. tyleż rodzin, które składały się z 45 mężczyzn i 41 kobiet. Ze szlachty czynszowej było mężczyzn 7, kobiet 8, „wolnych“ mężczyzn 2, kobieta 1.

Włościanie i szlachta czynszowa odrabiali pańszczyznę i opłacali czynsze „według woli proboszcza“ — mówi głucho opis urzędowy.

10. m. Biłołówka.

W r. 1798 w miasteczku Biłołówce znajdował się klasztor obrządku wschodniego i kościół parafialny.

Zacznę od klasztoru z powodu rozmaitych kolei i obrządków religijnych jakie on przechodził. Już ku końcowi XV. w. mianował się on monasterem św. Spasa. Kiedy był fundowany, z dokładnością nie wiemy, prawdopodobnie w drugiej połowie XV. w., gdyż ku końcowi tego wieku, mianowicie w r. 1493, d. 8. maja ihumen tego monasteru, Anton Kryliski, złożył do potwierdzenia list fundacyjny, „list zapisny“, po rusińsku pisany, księżnej Fedory Kobryńskiej, już wówczas nie żyjącej, żony księcia Iwana Siemionowicza Kobryńskiego. Mocą tego listu monaster otrzymał wieś „z ludźmi“, na imię Kurczyce, dwie karczmy i dziesiątą miarę z młyna na rzece Teterowku. Oprócz tego ludność Biłołówka obowiązaną była składać do

klasztoru dziesiątą kopę żyta i jarzyn lub dziesiątą „miarkę“, jakoteż składać daninę pieniężną — nieokreśloną bliżej — i daninę miodną. Potwierdzenie tego listu nadawczego przez Zygmunta I. nastąpiło w Krakowie.

W ciągu stuletniego życia swego monaster biłołówiecki podupadł, ale w r. 1605 znalazł znowu dobrodziejkę w osobie Anny Chodkiewiczowej, ks. Koreckiej, jak o tem świadczy list jej nadawczy z d. 1. maja tegoż roku. Według brzmienia tego listu księżna Korecka zamyślała „monaster fundować i zbudować“. Ihumenem wówczas był O. Ipasiusz. Na jego tedy imię zapisała Anna Chodkiewiczowa klasztorowi: „poddanych własnych, dziedzicznych, mieszkających na Prylipce, ciągłych dwudziestu“, którzy obowiązani byli co roku o świętym Michale, jak i inni poddani, płacić ojcu ihumenowi po kopie groszy; 10 było płacących po złotemu. Oprócz tego pociężni (tiakłyi) mieli dawać „po ćwierci paszni“ t. j. ziarna twardego, a inni — połowę tego. Mocą tego nadania Chodkiewiczowa potwierdziła monasterowi prawo magdeburskie, zastrzegła nie wprowadzenie „nowin nie słusznych“, podarowała młyn o dwukołach i stąpie, jakoteż wolność łowienia ryb i spustu. Za prawo mlewa poddani mieli płacić dwie miarki klasztorowi, trzecią młynarzowi. Bogobojna księżna, ratując „podupadły“ monaster, podarowała czerńcom: cztery krowy z cielętami, owiec starych z jagniętami 10, młodych tyleż, pszczół 24 pni i naznaczyła miejsce w lesie swoim na pasiekę klasztorną.

Wśród walk unii ze wschodnim obrządkiem, klasztor i mnisi przeszli na unię. Rok, w którym to się stało, dokładnie nie jest znany, wiadomo tylko, z aktu potwierdzenia donacyi Anny Chodkiewiczowej, że w r. 1749 klasztor należał do reguły św. Bazylego, a superiorem monasteru Biłołowskiego był X. Januaryusz Wasiutyński. Kiedy nastąpił powrót do obrządku wschodniego, także nie wiadomo, dość że w r. 1798 monaster już nie należał do unitów, tylko ihumen jego, ojciec Jefrem powoływał się na znane już nam nadania, o ile chodziło o prawo władania i posiadania.

Bliższymi szczegółami, dotyczącymi tego monasteru już się zajmować nie będziemy, a przejdziemy do określenia warunków materyalnych, w jakich w końcu XVIII. w. znajdował się.

Dawny monaster św. Spasa zmienił swoją nazwę i w opisie urzędowym figuruje jako św. Jerzego (światо-gieorgiewskij), ale prawa jego na własność ziemską i połączone z niem przywileje w niczem niezmieniły się od nadania Anny Chodkiewiczowej. Mała Prylipka urosła teraz do dużej i ludnej wsi, leżącej pod m. Biłołówką

na lewym brzegu rzeczki Rastawicy, a z gruntów na prawym brzegu powstał futor Bohunicha. W Prylipce było 30 chat, w których mieściło się 35 rodzin, a w ogóle było 119 „dusz“ mezkich i 121 kobiet. Robocizny odbywali tygodniowo po dwa dni, żadne inne powinności nie ciężyły na nich. Mnisi posiadali w swoim zarządzie 1 browar, 1 gorzelnię, 2 młyny i 1 fabrykę świec woskowych.

Ziemi ornej było w posiadaniu klasztoru „dni“ 224, łąk 274, lasu 50. Włościanie mieli bardzo mało gruntu, i dlategoteż cisnęło się ich nieproporcyonalnie wiele w jednej chałupie, bo, nie licząc dzieci, po 8 przeszło dusz mieszkało w jednej chacie. Posiadali oni wszyscy razem tylko 40 „dni“ ornego pola i 120 „dni“ łąk. Lasu nie mieli wcale. Widać zatem że to byli zwyczajni chałupnicy, którzy w ubóstwie żyjąc, pracą wysługiwali się monasterowi.

11. m. Humań.

Franciszek Salezy Potocki, właściciel Potoka, Krystynopola, Tartakowa, Brahiłowa, Mohylowa, Chorostkowa. Krupca, Witkowa, Uhrynowa, Tulczyna i Humania, założył w tem mieście klasztor OO. Bazylianów. Dziedzic olbrzymiej fortuny, królikiem Rusi zwany, który już był w Krystynopolu ufundował klasztor Bazyliański, postanowił to samo uczynić i dla Humania. Myśl tę miał już w roku 1765, gdyż kazał sporządzić w tym roku stosowne plany i kosztorysy, ale akt erekcyonalny wydał dopiero w rok później. Zrobił to w tym celu, „aby cześć i chwała Pana zastępów szerzyła się w powierzonych mu od Boga poddanych, a to przez nauki pilne missyonarskie, katechizmy i kazania.“ „Dlatego — pisze — czynię tę moją dobrowolną fundacyę i erekcyę na OO. Misyonarzów zakonu św. Bazylego* pod tytułem protekcyi Najświętszej Maryi Panny w mieście mojem dziedzicznem Humaniu, gdzie najwięcej Rusi po wszystkich dobrach moich ukraińskich nie wydoskonalonej w artykułach wiary św. katolickiej przez nauki duchowne oświecenia potrzebujących, znajduje się.“ Zobowiązał się dobrowolnie dać „plac wystarczający“ w mieście, zbudować szkoły, rezydencye klasztorne i inne potrzebne budynki „*ad commoditatem* zakonników“, tudzież wyznaczyć folwark z pomieszkaniem dla zakonników, czeladzi, browar, szpichlerz, ogród na przedmieściu „dla większej wygody klasztornej.“ W tym celu polecił wyznaczyć, przysięgłemu geometrze Romerowi, grunt i wymierzyć takowy. Wszystkie budynki miały być wystawione kosztem Potockiego i cerkwie opatrzone w ozdoby i rekwizyta z jego szkatuły.

Dla każdego zakonnika przeznaczał na utrzymanie po 300 złp., mających się pobierać z intrat wsi Gredzanówki, którą całkowicie z poddanymi, arendą karczemną, młynami, stawami, polami, sianożęciami, ogrodami, lasami i wszystkiemi *in genere* pożytkami, podług mapy sporządzonej przez wspomnianego już Romera, oddał na własność OO. Bazylianom. Do tej wsi dodał, tytułem folwarku, posiadłość zwaną Monasterek pod Mańkówką, późniejszą Mańkóweczką, także z poddanymi, arendą karczemną, stawami, lasami i t. d., według pomiaru tegoż geometry. Udzielając prawa wyszynku OO. Bazylianom, dziedzic zobowiązał ich jednak ażeby po za granice swoich posiadłości prawa tego nie rozciągali. Nie wolno im było trunków podwozić okolicznym poddanym, ani też borgować, gdyż inaczej płacić mieli karę za każdym dowodem po 200 złp. W klasztorze powinno mieszkać nie mniej jak 14 zakonników wraz z superiorem, wikarym, spowiednikami, jakoteż innymi potrzebnymi do obsług religijnych ludźmi.

Według brzmienia aktu erekcyjnego, Bazylianie obowiązani byli odprawiać missye religijne we wszystkich dobrach, do kluczów ukraińskich należących, w ten sposób, ażeby z jednego miejsca przechodzili do drugiego bez przerwy. Missye miały być najmniej dwa razy do roku w każdem miejscu, a uczęszczać na nie obowiązani byli wszyscy.

Zapis powyższy, zrobiony w r. 1766 w obecności X. Józafata Siedleckiego, opata Owruckiego, w Krystynopolu d. 1. lutego.

W r. 1797 d. 22. grudnia ksiądz Justyn Haryszkowski, rektor klasztoru Humańskiego i X. Józafat Daszycki, prefekt szkół Humańskich, taką dali wiadomość o wysokości uposażenia klasztoru Bazylańskiego w Humaniu. Wieś Gredzanówka miała „roboczego pola“ — inne, nie orne, jako step, zapewne w rachubę nie było brane — w trzech „rękach“ 295 „dni roboczych“ w używaniu klasztoru, a 700 w używaniu włościan; oprócz tego sianożęci było 100 „dni“ klasztornych i tyleż włościańskich. Las był własnością wyłącznie księży: od „granicy Humańskiej“ lasu czarnego dni 30, dębiny Kidanowej dni 20 i dębiny Dzemedzyny zwanej 100 — razem 150 dni.

Folwark pod Mańkówką czyli Monasterek, od r. 1765 przekształcił się na osadę Mańkóweczką, graniczącą ze wsią Ninaszówką i Wasylówką. W posiadaniu klasztoru było, w trzech „rękach“ „roboczego pola“ dni 110, a w posiadaniu włościan 405; sianożęci w posiadaniu Bazylanów „dni“ 65, a włościan 204; lasu we władaniu księży, w czterech kawałkach (Jakóbówka, Kruhlik, Kuczerawy

i przy Dworze) „dni“ 72. Z tego wyciągu widzimy że uposażenie włościan było bardzo zasobne.

Wieś Gredzanówka leżała przy połączeniu rzek Humanki i Dmitruszki, od wschodu graniczyła ze wsią Dobrowody, na południe Grodziową, na zachód Pikowcem i Zwierkami, na północ ze wsią Dmitruszkami małemi. Wszystkie wsie powyższe należały do dziedziny Potockich.

Wieś Mańkóweczka leżała nad rzeczką Kiszczychą, ze wsi Kiszczyniec płynącą. Grunta jej graniczyły na wschód ze wsią Tymoszówka, na południe — wsią Kinaszówką, na zachód z Mytkówką, na północ zaś w małej części z Popówką a reszta z Tymoszówką. Wszystkie wsie owe należały także do rodziny Potockich.

Intrata z dwóch powyższych wsi, specyfikowana przez wspomnianych już przez nas ks. Justyna Haryszkowskiego i ks. Józafata Daszyckiego, przedstawiala się jak następuje. We wsi Gredzanówce odrabiano pańszczyzny ciągłej dni 1924 po groszy 12, pieszej 1352 po gr. 8; kosowicy dni 126 po gr. 8; tłoki 258 à 8 gr. i kóp 378 po 8 gr. Oprócz tego młynarze płacili 8 złp., stawszczyzny 66 zł., czynsze wynosiły 713 zł. i arenda karczemna 2100 złp. Co wynosiło razem z Grodzanówki tenuty 4218 zł. 22 gr.

W Mańkóweczce odrabiano pańszczyzny ciągłej dni 884 po gr. 12, pieszej 988 po 8 gr., kosowicy dni 72 po 8 gr., tłoki dni 148 po 8 gr., kóp 216 także po 8. Prócz tego młynarze płacili 32 zł. w gotowiźnie, czynszu opłacano 498 zł. 12 gr; arendy karczemnej 1200 zł. także w gotowiznie. Razem intrata z Mańkóweczki wynosiła 2463 zł. 22 gr., a łącznie z Gredzanówką dochód OO. Bazylanów, zrealizowany na pieniądze, przedstawiał dość wysoką cyfrę zł. 6682 gr. 14. Do rachunku tego nie wchodził dochód z łąk i lasów.

Wykazy powyższe, zarówno w tym wypadku, jak i wszędzie, gdzieśmy mieli sposobność zetknąć się z cyframi, dowodzą że położenie włościan w dobrach duchownych, z małym wyjątkiem czynszowników na jurydykach siedzących, było bardzo dostatnie i dobre; że przeciążenia pańszczyźnianego nie było wcale, gdyż widzieliśmy że najwyższa norma była dwa dni w tygodniu, a w Gredzanówce i Mańkóweczce — tylko dzień jeden. W obec takich warunków wszelkie narzekania na temat ucisku pańszczyźnianego należy uważać jako sprawy wyjątkowe, a ogółowi społeczeństwa kresowego niesympatyczne.

Fr. Rawita - Gawroński.

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

Obydwa arcydzieła Ribeiry znajdują się w temże Madrycie, w Muzeum Prado. Potęgą plastyki i silną grą muskułów uderza obraz brutalny, wyobrażający męczeństwo św. Bartłomieja. Kaci obnażyli świętego i przywiązali jego ręce do deski zawieszonej, którą podciągają sznurami do góry; ciało Apostoła nagie odbija się gorącą karnacyą od błękitów nieba, na draperyach katów widnieje ceglasty kolor, jedyna prawie barwa jaśniejsza której Ribeira używał; na brzydkiej, pospolitej twarzy męczennika, fizyczna rysuje się boleść, wykrzywiając usta: kaci radują się męczarnią człowieka, raduje się nią otaczająca gawiedź. Obraz ten brutalny, tak się podobał współczesnym, którym się salonowe wdzięki Bonońskie przejadły, że Ribeira kazał uczniom swoim kompozycyę kilkakrotnie odtworzyć, chcąc licznym obstalunkom zadość uczynić.

Nam podoba się nierównie więcej drugie, bardzo wielkie płótno w Madryckiem Muzeum, wyobrażające Trójcę Przenajświętszą. Obraz cały szary, silnemi cieniami poznaczony; na szarych obłokach siedzi szary starzec, Bóg Ojciec, a pobladłe, martwe ciało Chrystusa sparło się o kolana Ojca; Duch Święty, jako szary gołąb unosi się nad głową starca; i od tej szarości trudno oczy oderwać. Bóg Ojciec to białowłosy, pomarszczony, smutny a potężny starzec; ciało Chrystusa z największą modelowane mocą, kończaste, muszkularne, rozwarło ramiona na kolanach Ojca — plecy ciała podniesione, ręce spadają bezsilnie; wszystko to tworzy niezwykłą a dziwnie piękną linię. Choć twarz Chrystusa czarnobrewnego martwa, choć Jego powieki zamrużone, jest w tej twarzy moc jakaś i powaga nadludzka. Trójca Ribeiry wisi obok największych arcydzieł hiszpańskiego malarstwa i nie lęka się tego sąsiedztwa.

Muzeum Prado posiada oprócz tego wiele obrazów niewielkich walentyńskiego mistrza, na których odmalowano różne, czarno-brewe, albo siwe, wychudłe, mocno scharakteryzowane, pomarszczone głowy męskie o rozczochranych włosach i brodach, malowane jakby były wśród nocy słabemi światłami oświecone. Cienie tu przesadne, światła mdłe, wyrazy energiczne, ale niemiłe. Choć takie głowy przypisywał Ribeira różnym ludziom, świętym najczęściej Chrześcijańskim, chodzą po świecie pod nazwą ogólną „Filozofów Ribeiry;" a takich głów nie brak i po innych galeryach; najlepsze, po za Pradem, są podobno w Galeryi Harrach w Wiedniu.

„Głowy filozofów" malował tylko sam Ribeira; tradycya tych głów nie przeżyła mistrza ani w Neapolu, ani w Hiszpanii; stały się wprawdzie pierwowzorem dla pustelników, z których wyszła cała szkoła Amsterdamska, ale w Holandyi straciły nazwę swoją i w ogóle głębokiej uległy zmianie. Inna inowacya Spagnoletta została żywcem przejęta przez szkołę Hiszpańską siedemnastego wieku, a co więcej tak dalece uświęconą przez kościół, że stała się nowym nabytkiem dla ikonografii Chrześcijańskiej. Mamy na myśli „Niepokalane Poczęcie", wyobrażone przez Matkę Boską w obłokach, stojącą na półksiężycu, albo na kuli ziemskiej, otoczoną aniołkami, a przyobleczoną w koszulę białą, płaszcz błękitny i rozpuszczone włosy. Takie Niepokalane Poczęcie malował Ribeira pierwszy. Najlepsze, które wyszło z pod jego pęzla, zdobi kościół Augustynów w Salamance, jedno z nich przechowuje Muzeum Prado, drugie Ermitaż Petersburski, trzecią Galerya Harrach w Wiedniu. Morillo i Como tak przedziwnie pięknie malowali później Niepokalane Poczęcia, *Immaculados Conceptiones*, że pomnąc o tamtych obrazach, stajemy się łatwo niesprawiedliwymi dla mniej natchnionych, często teatralnych pierwowzorów odtworzonych przez Ribeirę.

Zanim skończymy rzecz o Walentyńskim mistrzu i niniejszy rozdział, musimy jeszcze wspomnieć o arcydziele Ribeiry, którem się szczyci Galerya Drezdeńska, dziele, w którem miejsce siły, dziwna słodycz zajęła. Święta Marya Egipska klęczy w modlitwie na twardej, kamiennej posadzce; ciało jej umęczone postami, a twarz jej szczuplutka, śliczna, młodziutka i ogromne, w Boga zaopatrzone oczy, każde serce rozczulić muszą. Jedyną jej odzieżą były ogromnie długie, ku ziemi spadające włosy; ale aniołek przyobleka jej ciało, leżące, w białą draperyę, w cudowną szatę niewinnej świętości.

VI.

Klasyczne malarstwo w Antwerpii.

Nietylko Hiszpanie, także Niederlandczycy podróżowali pilnie do Włoch w drugiej połowie 16 i na początku 17 stulecia. Powracali zazwyczaj do ojczyzny jako niezręczni, a często brutalni i przeto bardzo niesmaczni naśladowcy stylu uczniów Rafaela. Wśród tych młodych artystów znalazło się jednak kilku ludzi utalentowanych i samodzielnych, znalazł się jeden geniusz i popchnęli malarstwo Antwerpijskie na nowe świetne tory.

Podobnie jak Ribeira tak bracia Brilowie pozostali całe życie we Włoszech, tylko że w samym Rzymie działali i że tu doczekali się wzięcia i sławy. Starszy z tych braci Mateusz, który umarł wcześnie, jest tylko słabym sobowtórem artystycznym Pawła, i o Pawle tylko mogę mówić (ur. 1554 umarł 1626). Nie zajęły go tyle dzieła sztuki, zajęła go natura włoska i gmachy Rzymu przyozdobił krajobrazami *alfresco*, w których postać ludzka bardzo podrzędną odgrywa rolę. Obok krajobrazów malował także perspektywiczne wnętrza. Z zamiłowaniem tworzył górskie pejzaże. Także po wielu galeryach Europy można oglądać olejne krajobrazy Brila, których technika wyraźnie świadczy, że wyszły z pod pęzla człowieka przywykłego szybko i śmiało malować na murze. Kto Brila jednak na prawdę poznać chce, musi pozostać w Rzymie i przypatrzyć się jego malowidłom ściennym w Sala Ducale i w Bibliotece Watykańskiej, w bazylice św. Maryi Większej i w Lateranie, albo też w Palazzo Ludowici. Najgłośniejszą jest sztuka łamana, wykonana na jednym z sufitów Watykanu, wystawiająca łudzące wnętrze wielkiej renesansowej sali, i połamany posąg leżący na posadzce.

Znaczenie Brila ma jednak swoją podstawę w nowym, śmiałym sposobie malowania krajobrazów, w których szczegółów jest nierównie mniej jak dotąd. Malowane wzory znalazł w tłach obrazów Rafaela, a przedewszystkiem Wenecyan i tym wzorom nie dorównał, ale podobał się i wydał się nowym, ponieważ z dotychczasowego tła cały, zresztą dość bezduszny obraz uczynił. Działa zwykle masami górskiemi, albo maluje grupy drzew, wcale nie indywidualnych, szablonowemi kupami zieloności zaokrąglonej a zawieszonej powyż kilku pni. Aby oddać efekta sprawione przez oddalenie, malował znowu pierwszy plan obrazów żółto czy bronzowo, tak że tu nawet liście i trawa żółte; na drugim dopiero planie widać szerszą zieloność, a plan trzeci, najdalszy, bywa błękitny albo popielaty. Kon-

wencyonalne to środki, ale nie da się zaprzeczyć że nieraz wielką głębokość nadawał tym sposobem swoim krajobrazom. To też ten sposób malowania krajobrazów stał się zaraz, mianowicie w Antwerpii, powszechnie modnym.

Jan Breughel zwany Aksamitnym (1568—1625) był synem pogrobowcem najstarszego i najbardziej znaczącego Piotra Breughela. Nie ciągnęło go do rubasznego, pospiesznego malowania, jakiego się trzymano w rodzinnej pracowni. szukając tedy innych natchnień, udał się za młodu do Włoch i tam uległ wpływowi Brila. Bawił we Włoszech tylko trzy lata, ale tu już znalazł właściwe sobie drogi, jak o tem świadczą malutkie jego obrazki w Bibliotece Ambrozyańskiej w Medyolanie. Są to krajobraziki, w których i drzewa malowane po największej części ogólnikowo i pola perspektywicznie oddzielone od siebie żółtą barwą na pierwszym, zieloną na drugim, sinawą na trzecim planie. Ale te już i wszystkie późniejsze krajobrazy Jana Breughela wywierają na nas istotnie wielki urok, a są cackami najdelikatniejszego pęzla miniaturysty. Już barwy krajobrazu są lepiej stosowane; wszystko jest jakieś szarawe, srebrzyste, nawet tam gdzie żółty albo zielony kolor przeważa. Z mas leśnej zieloności wychyla się tu i tam pojedyncze drzewo, malowane indywidualnie, rozkosznie, tak że się zdaje, iż każdy listek policzysz, a skały albo pojedyncze drzewa układają się na pierwszym planie, czasem tak, iż tworzą jakoby bramy, przez które możesz zajrzeć w daleką dal. Przecudownemi bywają wody, w których się odbijają błękity niebieskie. Przytem na obrazach Jana Breughela znowu, jak niegdyś u Memlinga, albo Altdorfera, pełno masiopcich najczęściej figur, barwnych, żywych, indywidualnych, znakomicie odrysowanych i scharakteryzowanych, kolorystycznie świetnych a malowanych niesłychanie subtelnym pęzelkiem, któremu słusznie należy się miano Aksamitnego. Tu w Ambrozyanie odgrywają się wśród krajobrazów maciopcie, ale zawsze dobrze pomyślane biblijne sceny.

Z powrotem do Antwerpii założył Jan osobną pracownię, z której Europę zasypywał swojemi cackami. Czasem malował tło krajobrazowe dla malarzy figur, czasem przeciwnie domalowywał figury do cudzych krajobrazów; najczęściej jednak sam malował cały obraz i pejzaż i figury. Ani myślec o tem. abym tu wymieniał wszystkie rozkoszne Aksamitnego Breughela dzieła, choćby się wcale opłaciło osobną o nich wydać pracę. Podzielę je na kategorye, podług tego, co na nich wyobrażają żywe figurki, a do każdej kategoryi przytoczę przykłady. a pozostawię czytelnikowi odnalezienie

innych wcale nie mniej dobrych, podobnych obrazków, po innych galeryach i prywatnych zbiorach.

A zatem przodem idą obrazy ze scenami biblijnemi, jak owe w Medyolanie. Takimi są między innymi dwa obrazy w Wiedeńskiej Galeryi Nadwornej. Jeden bardzo mały, w którym krajobrazowa głąb wygląda z poza bramy drzew, jakby przez okno, jakby przez ramki w ramkach, a w głębi widać maleńkie postacie Chrystusa i Szatana, który go kusi, odmalowane na drugim planie. A potem obraz już znacznie większy, Trzech Króli, na których postacie ludzkie prawie na sześć cali wysokie. Przed misternie namalowanym, pełnym naiwnych szczegółów domem flamandzkiego chłopa, siedzi Bogarodzica z dzieckiem, a barwna, strojna, żywa, różnorodna ciżba tworzy orszak Trzech Króli.

Do biblijnych obrazków należy się zapewne zaliczyć wyobrażające pierwszych rodziców w Raju; tworzą jednak osobny gatunek. Wśród polany leśnej, zwykł był Breughel malować, dokoła dwojga nagich ludzi, o miękkich białych ciałach, całą menażeryę zwierząt igrających, lub spoczywających na murawie. A czasy to rajskie, w których lew bawił się niewinnie z barankiem. Ptactwo pstre przypatruje się szczęsnemu zwierzyńcowi z konarów drzew, albo ulatuje w powietrzu; pełno tu soczystej barwy, a najróżnorodniejsze, tak europejskie jak egzotyczne zwierzęta namalowane miniaturowo, z największą znajomością ich kształtów, ruchów i wyrazu. Słynie między innymi taki Raj Ziemski w Paryskim Luwrze.

Z mitologicznych przedmiotów pociągały Breughela starogreckie Piekła; malował chwilę, w której jakiś Bożek, albo jakiś bohater Piekła odwidzał i mógł się zawsze przy tej sposobności popisać w miniaturowy sposób najświetniejszemi malarskiemi zdolnościami. Najpierw było tu pole dla kontrastów światła i barwy; niebiańskiem światłem mógł Olimpijskich oświecić gości, mógł roztoczyć pod pogodnym błękitem zielone Elizejskie błonia i mógł wyobrazić przepaście Tartaru i głąb czarnych jam, z których buchają ogień i dym; a niepospolita zdolność komponowania sprawiła, że to wszystko mieścił w niewielkim obrazie, że rozkładał tak plany, iż to wszystko widnieje przed nami w sposób jasny, swobodny, zrozumiały i że wszystko ludne — a nigdzie nie ma gmatwaniny lub niemalowniczego tłoku. A znów małe postacie, których jest na obrazie moc niezliczona świadczą o tem, że Breughel niedawno zwiedzał Włochy i bawił w Rzymie, że się przypatrywał dziełom wielkich mistrzów włoskich i antycznym posągom. Pełno tu ślicznych nagich ciałek i znakomicie rzuconych barwnych draperyi. Bogowie lub bohatero-

wie jaśnieją majestatem i wieczną młodością, na błoniach Elizejskich pełno szczęścia i swobody, a w Tartarze popisuje się Jan, rysuje doskonale figurki w najśmielszych, różnorodnych postaciach. Tego rodzaju obrazem jest między innymi tak zwany „Jezus w Piekłach" w Drezdeńskiej Galeryi.

Najczęściej jednak postacie namalowane, wśród pejzażów Breughela są istotną częścią krajobrazu, a przedstawiają ludzi takich, jacy w takiej okolicy bywają. Tak to jeden z obrazów Jana w Drezdeńskiej Galeryi przenosi nas nad brzegi rzeki niederlandzkiej, pokrytej żaglowemi łodziami. Nad brzegiem wznosi się wieś zasobna, w której pełno ruchu, jadą wozy, pracują robotnicy; gdzie niegdzie rozmawiają z sobą starsi, gdzieindziej prowadzi matka dziecko na przechadzkę. W Galeryi Lichtenstein w Wiedniu widać natomiast las, wśród którego strojni panowie i strojne panie odbywają majówkę, połyskując jedwabiami i bawiąc się wykwintnie.

Całkiem wyjątkowymi są wspaniałe obrazy Jana Breughela w Muzeum Prado w Madrycie: „Wesele chłopskie" i „Biesiada sielska." Obrazy te nie zwykle wielktch rozmiarów, a ludzie na nich śmielszym pęzlem namalowani, pełni życia o przepysznych karnacyach, zajmują pierwszy plan, na siebie ściągają przedewszystkiem widza uwagę i jaśnieją potężną muzyką barw, odbijającą się świetnie na tle błękitów niebieskich. Kiedy Jan, nie długo przed śmiercią przedwczesną, te obrazy malował, ulegał już wpływowi Rubensa, i kto wie, czy nie byłby się stał na starość jednym z najświetniejszych naśladowców o dziesięć lat młodszego mistrza.

Piotr Paweł Rubens (1577—1640), był synem lekarza Jana Rubensa. Rodzice jego, podejrzani o nowinki w rzeczach wiary, musieli porzucić ojczyznę, a ojciec jego zamieszkał w Niemczech na usługach protestanckich książąt rzeszy, a w szczególności książąt Orańskich. Ośmielił się mieć stosunek miłosny z księżna Orańską, żoną sławnego Wilhelma, oswobodziciela Holandyi; za karę został internowany w Siegen, nieopodal Kolonii, i tu narodził mu się roku 1577 wielki syn, Piotr Paweł. W rok potem pozwolono doktorowi Janowi osiąść w Kolonii i tu umarł, kiedy przyszły malarz miał lat dziesięć. Matka Rubensa pogodziła się teraz z kościołem i powróciła do rodzinnego gniazda swego, do Antwerpii, gdzie Piotr Paweł uczęszczał do Jezuickiego gimnazyum. Mając lat czternaście, poszedł jednak już za głosem powołania i wstąpił do jednej z pracowni malarskich, których było w Antwerpii bardzo wiele. W dwudziestu jeden leciech wyzwolono go już na majstra kunsztu malarskiego, a w dwa lata potem udał się w podróż do Włoch, gdzie

bawił ośm lat. Znalazł tu inteligentnego opiekuna w osobie księcia Mantui, Wincentego Gonsagi, który go posyłał do różnych miast włoskich, pozwolił mu za dwoma nawrotami bawić czas dłuższy w Rzymie a raz nawet wyprawił na rok do Madrytu, żądając od niego, aby wszędzie kopiował sławne dzieła starych mistrzów. To też młody malarz przejął się siłą Michała Anioła i splendorem barw weneckich. Interesowała go jednak także współczesna sztuka i wielkie wrażenie wywarły na nim obrazy młodszego, ale już samodzielnie malującego i coraz bardziej wziętego Ribeiry. To też nieliczne obrazy, które odmalował oryginalnie w czasie swojego pobytu we Włoszech, przypominają walentyúskiego malarza.

Wspomnę tu tylko duży obraz przechowywany w Kapitolińskiem Muzeum w Rzymie. Na wielkiem płótnie odmalowano wilczycę karmiącą Romulusa i Remusa. Dzieci są ciężkie, cienie zbyt grube, barwy szare i mętne; nikt się przyszłego splendoru Rubensa nie domyśli.

Mimo to Piotr Paweł tyle już nabył reputacyi we Włoczech, że powołano go na nadwornego malarza Arcyksięcia Albrechta, namiestnika hiszpańskich Niederlandów, skoro powrócił do ojczyzny. Trzydziestoletni malarz przyjął zaszczytne wezwanie, wyprosił sobie jednak pozwolenie mieszkania w Antwerpii, gdzie piękny dom wybudował i przyozdobił dziełami sztuki, które nabył we Włoszech, i gdzie poślubił pannę Izabelę Brand. Tu rozwinął wielką działalność artystyczną i założył ogromną pracownię, w której mnóstwo młodych artystów pomagało nauczycielowi w pracy. Tym tylko sposobem mógł podołać niezliczonym obstalunkom, i wykonać tysiąc kilkaset po największej części dużych obrazów, które dotąd pod jego istnieją imieniem, i tem się tłumaczy że większa część tych obrazów posiada bardzo mierną tylko wartość; wyszły bowiem z rąk uczni pod ogólnym tylko mistrza kierunkiem. Ilość własnoręcznych dzieł Rubensa jest jednak także dość znaczną; można na nie trafić po wielu galeryach: kto chce Rubensa poznać, ten musi jednak przedewszystkiem zwiedzić Antwerpię, Wiedeń i Monachium. Będę mówił tylko o tych obrazach mistrza, które mi się najznakomitszymi wydają.

W następnych dwunastu leciech rozwinął Rubens najpłodniejszą, lubo bynajmniej nie najdoskonalszą działalność artystyczną i stworzył swoje najpopularniejsze, choć wcale nie najpiękniejsze obrazy. Rad opowiadał i dawał przytem dowody rozumnej, dramatycznej siły. Postacie malował potężne raczej a nie wdzięczne, ciała twarde o wielkich mnogich muszkułach i goleniach w tył zagiętych w spo-

sób, który mu słusznie wytykano; dawał się unosić germańskiej wyobraźni, malując czasem dziwaczne poczwary, przypominające pustą wyobraźnię Hieronima Bossa, albo popisując się tłumem małych postaci w szalenie gimnastycznych postawach; w ogóle popisywał się rad bajeczną znajomością rysunku nagich ciał ludzkich i końskich, wprawionych w gwałtowny ruch i widzianych w najzuchwalszych skróceniach perspektywicznych. Choć zawsze malował olejnie, przypominał techniką freski, tworząc raz olbrzymie kompozycye, to znów genialnie rzucone a nie wykończone szkice. Karnacye ciał są bronzowe, ale nadzwyczaj zdrowe i silne, nie przeładowane zbytniemi cieniami, jednostajne a jednak modelujące energicznie mięśnie dość otyłych mężów i niewiast. Tylko wtedy, kiedy współczesnych ludzi malował, używał barwnego i malowniczego współczesnego stroju; zresztą lubował się w konwencyonalnej draperyi i zbroi antycznej; białych draperyi używał dość wiele, płaszcze najchętniej malował ceglaste lub czerwone, albo koloru ciemno-szafirowo-zielonego; jeśli malował draperyę żółtą, wypadała nieszczególnie. Klejnotów, naczyń i wszelkich przyborów jest na jego obrazach bardzo niewiele; te które są, bywają konieczne i doskonałe. Kompozycye bywają jasne, zrozumiałe, ugrupowane w sposób dowodzący, że się na linearnym pięknie znał. Tła krajobrazowego nie ma prawie, jest tylko grunt i niebo, a mimo to kompozycye bywają często nadzwyczaj perspektywicznie głębokie. Aż do czterdziestego drugiego roku życia Rubens nie był kolorystą, był tylko potężnym rysownikiem; zato nie bywał wtedy nigdy bezmyślnym i owszem, wiele mówił rzeczy mądrze odczutych.

W Antwerpii pozostawił opowiadanie Męki Pańskiej i Zmartwychwstanie, które opiszę, nie troszcząc się o to, który obraz powstał pierwej — skoro wszystkie te obrazy w pierwszej manierze Rubensa i w tym okresie jego życia powstały.

Ogromny tryptyk w antwerpijskiej katedrze przedstawia Podniesienie Krzyża: Wielki, muskularny Chrystus już na krzyżu rozpięty, potężne jego członki do drewna gwoździami przykute i żywe ciało drga z bolu. Sznurami podnoszą krzyż muszkularni, olbrzymi kaci, a widzisz jak twarde mięśnie grają i trzeszczą z wysiłku na ich ramionach i całej postaci. Na lewem skrzydle tryptyku widnieje setnik na koniu, a przy nim grupa rzymskich żołnierzy, na prawem widać święte niewiasty, w strasznej, gwałtownej pogrążone rozpaczy. Obraz to pierwszy podobno, który Rubens odmalował, powróciwszy z Włoch i przypomina bardzo Ribeirę. Ciemności zalegają kompozycye, cienie na muszkułach jeszcze ciężkie, cały pomysł podobny

do męczeństwa św. Bartłomieja w Madrycie, choć obraz jest nierównie potężniejszy.

Muzeum Antwerpijskie przechowuje dwa ukrzyżowania, malowane w znacznie jaśniejszym tonie, w których ciała nagie, widne w promieniach białego dnia na tle nieba, mają już pewien czerwonawy połysk, jakby krwi widzianej przez skórę, wielu obrazom Rubensa wspólny. Mniejszy obraz nie przedstawia więcej nic prócz płowego, nagiego Chrystusa na krzyżu, potężną, samotną postać, jaśniejącą rumianem ciałem na tle nieba; piękność męzkiego ciała niezłamana cierpieniem, a twarz zwrócona ku niebu. Syn Człowieczy woła do Boga: „Ojcze, Ojcze, czemuż mnie opuściłeś!“ Ale bóstwo Go nie opuściło; niespożyta tkwi w Nim moc.

Wielkie Ukrzyżowanie nazywa się także „Uderzeniem włócznią“, *Le coup de lance*. Widać tu na bardzo wielkiem płótnie trzy krzyże z profilu prawie ustawione; na środkowym zwisła wspaniała w nagości swej postać Chrystusa. Na grubym, ale dzielnym i ognistym koniu Rubensowskim, podjechał pod krzyże setnik Longinus w starorzymskiej zbroi i zmierzywszy się włócznią, uderzył Chrystusa w bok, aby się przekonać czy żyje. Ale gdy to uczynił, utwił wzrok setnika w obliczu Chrystusa i oba oblicza patrzą na siebie; z twarzy Zbawiciela płynie moc przenikliwa, wezwanie do pokuty, obietnica przebaczenia, które złemu łotrowi już obiecanem zostało, a setnik pobladł; dusza jego, wstrząśnięta do głębi, przemienia się w tej chwili; wstaje skrucha, a wraz z nią wiara — i nie ma rozpaczy, a jest przemiana człowieka zupełna. Rubens, malując tu dramat na twarzy rzymskiego żołnierza, niezapomniane stworzył arcydzieło.

Potem znów w katedrze widzimy drugi, wielki tryptyk, wyobrażający na głównem, ogromnem polu, Zdjęcie z Krzyża. To było i jest najpopularniejszem z dzieł Rubensa. Jak świat chrześcijański, mówiąc o Wieczerzy Pańskiej, wyobraża ją sobie mimowoli tak, jak ją Leonardo de Vinci w Medyolanie malował, podobnież klasycznem wyobrażeniem Zdjęcia z Krzyża jest owo Rubensowskie w katedrze antwerpijskiej. Jest noc. Ludzie, którzy się za pomocą drabin wydostali na wierzch krzyża — Józef zapewne i Nikodem, wyjmują gwoździe z Umęczonego, a piękne ciało Chrystusowe spuszcza się z wolna, miękkim ruchem na prześcieradło białe, podtrzymywane przez silną młodzieńczą postać św. Jana Ewangielisty, przyobleczoną w czerwoną szatę. Poniżej mdleje Bogarodzica w szafirowym płaszczu, Marya Magdalena w żółtej draperyi, chwyta się nóg krzyża z ruchem zrozpaczonej kochanki. Już spokój i harmonia linii wystarczają, aby z tego obrazu nieśmiertelne zrobić arcydzieło, ale

moc uczucia, ujętego w karby artystycznej wstrzemięźliwości, potęguje obrazu wartość. Wszystko tu jest szczere, wszystko zda się służyć do tego tylko, aby rzecz opowiedzić, i prawdziwe, głębokie, wstrząsające, a w niczem nie teatralne, wyrazić uczucie.

W Muzeum nazywa się mały obrazek: „*Le Christ à la paille*“, „Chrystusem na słomie“. Obraz to u Rubensa wyjątkowy, bo prawie miniaturowo wykończony. Zwłoki Odkupiciela leżą na słomie w objęciach Matki, opłakiwane przez tych, którzy Jemu najbliższymi byli. Podziwiają tu śmiałe ciała Chrystusowego skrócenie; jednak taka wymuskana robota nie była zgodną z temperamentem Rubensa, i ten obraz nie wzrusza, podobnie jak inne passyjne obrazy w Antwerpii.

Już się męka skończyła; moc Boża przemawia; duch wyszedł z Chrystusa i widzimy, także w Antwerpijskiem Muzeum, jak Zbawiciel schodzi między cierpiące, drżące, biedne, nieszczęsne, prawdziwie wzruszające duchy w Otchłani. Niesie im dawno oczekiwane zbawienie, radość wiekuistą, którą okupił męką swoją i miercią. A potem widzimy na obrazie w katedrze, jak śmierć zwyciężył, a nam żywot darował. Jak był samotnym i potężnym na krzyżu, tak tu sam, z pełni mocy bóstwa swego, bez skrzydeł, wylatuje z grobu: prócz potężnego, nagiego Chrystusa, więcej nie masz nic na obrazie — ale w Nim jest moc i radość!

Raz jeszcze w Muzeum oglądamy obnażone po pas torso Chrystusowe, malowane tak wspaniale, że najpiękniejsze starożytne posągi przypomina. Rana jest w boku, rany są na rękach, a z twarzy pięknej Zmartwychwstałego wyglądają moc i miłość i przebaczenie. Zjawił się apostołom. Trzech widzimy na obrazie, młodzieńca Jana, męża Piotra, starca Tomasza. Młodzieniec uwierzył odrazu, ucieszył się, zapłonął miłością i pochyla się ku ręce Nauczyciela, aby ją ucałować. Mąż, piękny, potężny a śniady, zdziwiony: waha się, patrzy w twarz Chrystusową; ale gdy wzrok Pański zgłębi, uwierzy w cud. Doświadczeniem życia posiwiały i pomarszczony starzec nie uwierzy, póki się namacalnie nie przekona, że jego oczy nie łudzą; więc z ostrożnem, chytrem wejrzeniem, kładzie palec do rany.

Na Niewiernym Tomaszu kończy się Antwerpijski cykl pasyjnych obrazów Rubensa; zanim jednak Antwerpię na razie opuszczę, muszę wymienić Nawiedzenie, odmalowane na jednem ze skrzydeł tryptyku katedralnego, wyobrażającego Zdjęcie z Krzyża. Tu był Rubens, w tej epoce, wyjątkowo kolorystą. Słońce zachodzące oblało niby rudem złotem, piękny południowy krajobraz, obrosły winogra-

dem; na pierwszym planie wąskiego obrazu, witają się z sobą Elżbieta i Bogarodzica, podobna do jasnowłosej, rozkosznej małżonki Rubensa, Izabeli, a przyobleczona w płaszcz czerwony i w czerwony kapelusz o szerokich krysach: a refleksa czerwonej odzieży, wraz z brzaskami wieczoru potęgują rumieńce na lewej twarzy Matki Dziewicy.

Muzeum Nadworne Wiedeńskie posiada piękną duplikę tego Nawiedzenia, a oprócz tego, na wielkich płótnach cztery sławne arcydzieła, z tej pierwszej epoki twórczości wielkiego mistrza z Antwerpii. A przedewszystkiem zadziwiają ogromem i zuchwalstwem dwa tak zwane „Jezuickie obrazy.“ Perspektywa w nich tak udatna, że jeśli z daleka, przez drzwi przyległego gabinetu, na jeden z nich spojrzysz, zdaje ci się, że widzisz żywe osoby wśród prawdziwej architektury działające. Jeden z nich poświęcony świętemu Ignacemu Lojoli, drugi świętemu Franciszkowi Ksaweremu, jezuitom.

We wnętrzu wielkiego kościoła, stoi św. Ignacy Lojola w ornacie, przy wielkim ołtarzu, ale od ołtarza odwrócony i modli się gorąco, całą żarliwą duszę wkłada w modlitwę, boć potrzebuje szczególniejszej niebios pomocy, egzorcyzmuje bowiem opętańców, wygania czarty, które śmiały wejść w ciała chrześcian i opanować ich dusze. Bracia jego w zakonie, Jezuici, tworzą za nim, w głębi obrazu czarną ścianę niesłychanie malowanych postaci; głowy ich wszystkie jakby portretowe, nieco przyćmione oddalą i kościelnymi mrokami, nie przestaną nigdy być przedmiotem podziwu, tak cudnie odtworzone, tak każdy z Jezuitów modli się i tak się wszyscy w modlitwie połączyli. Na pierwszym planie widzimy opętańców; miotają się konwulsyjnie; kobieta jedna aż z zieleniała krzycząc, a oczy wyszły jej z powiek. Mężczyzna kolosalny, padł na znak w kurczach, a piana toczy mu się z ust. W głębi poczwarne postacie czartów uchodzą w ciemności kościelne.

Swięty Franciszek Ksawery stoi w czarnym habicie, na wspaniałem podmurowaniu, pod płonącem słońcem a szafirowem niebem Indyi. Cuda czyni z mocy Bożej, jak niegdyś Chrystus, którego imię nowym głosi narodom. Dokoła wznosi się wspaniała architektura marmurowego, pogańskiego miasta. Na pierwszym planie żona zdejmuje całun z męża swego, który zmartwychwstając, wierzy; gdzie indziej wnoszą chorego; kapłanie pogańscy niepokoją się. Jakiś posąg na balustradzie świątyni, posąg bożka kłamliwego, raptem ożył: ale wrzeszcząc, mdleje, a rogi wyrastają mu szatańskie. Potęga Chrystusowa i tu złe pokonała duchy i odsłoniła ich obłudę.

Równie namacalnie, niezrównanie malowanym, a spokojniejszym, lepiej skomponowanym, jest obraz mniejszy, ale wielkich zawsze rozmiarów, na którym Rubens odmalował spotkanie cesarza Teodozego Wielkiego ze świętym Ambrożym. Zwycięzki cesarz, uległszy wybuchowi gniewu, sprawił w Macedońskiej Tessalonice rzeź srogą niewinnych. Kiedy później chciał w Medyolanie wejść do kościoła, zaszedł mu św. Ambroży drogę, w obliczu wojska i ludu i zabronił wstępu, dopóki kościelnej nie odprawi pokuty. Tę to scenę uprzytomnił nam Rubens wyraźnie i po mistrzowsku, za pomocą kilku tylko figur, tworzących zwartą nadzwyczaj kompozycyę. Kościoła nie widać, ale święty Ambroży stoi na murowanym progu; mąż to sędziwy, poważny, strojny w siwą brodę infułę i przepyszną kapę haftowaną złotem; pewnym siebie a spokojnym ruchem, w którem nie ma gniewu a jest tylko ojcowska powaga, zatrzymuje cesarza, męża także brodatego, w sile wieku, odzianego w klasyczną zbroję. Teodozy się nie obruszył, pochylił się tylko, a gestem muszkularnej ręki zwróconej ku piersi, i wzrokiem szukającym twarzy biskupiej, pyta się, czy to on zawinił. Parę wojowników ze znakiem bojowym rzymskich legii stoi za cesarzem, parę duchownych z pastorałem za biskupem. Na pierwszym planie widać, plecami ku widzowi zwróconego chłopca w przepysznie malowanej albie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział VII.

Rzemiosła i przemysł.

Dzieje Nowego Sącza w epoce królów z dynastyi Wazów przedstawiają nam, pomimo zupełnego zniszczenia miasta pożarem w r. 1611, aż do owych strasznych klęsk w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza, wogóle obraz jego kwitnienia. Że właśnie czasy te tak nazwać możemy, że miasto po owym pożarze z tak zadziwiającą szybkością podźwignąć się zdołało, jedynym i wyłącznym powodem był jego bogaty, ożywiony i wszechstronny handel. Na jego zaś rozwój i kwitnienie wpływało korzystne położenie nad znaczną, podówczas spławną rzeką Dunajcem, blizkość granicy Węgier, z którymi wiązały Polskę odwieczne przyjazne stosunki polityczne i handlowe; [1]) a co najważniejsza, liczne przywileje wszystkich królów, [2]) począwszy od jego założenia, potwierdzone i pomnożone łaskawością

[1]) Szamota István: Régi Magyar Uzatók Európában 1532—1770, Nagy-Becskereken 1892, wymienia rozmaite miasta polskie, które pozostawały w stosunkach handlowych z miastami węgierskiemi, ale o Sączu ani słówka powiedzieć nie umiał. Wybawię go z tego kłopotu w następnym rozdziale.

[2]) Ważniejsze przywileje handlowe, nadane Nowemu Sączowi przez królów polskich, były: Władysława Łokietka 1311, 1320, 1321 — Jadwigi 1337 — Kazimierza Wielkiego 1345, 1356, 1368 — Ludwika węgierskiego 1378 — Władysława Jagiełły 1387, 1389, 1405, 1427 — Władysława Warneńczyka 1437, 1440 — Kazimierza Jagiellończyka 1448, 1450, 1461 — Jana Olbrachta 1493 — Alexandra 1504 — Zygmunta I. 1512, 1537 — Zygmunta Augusta 1549, 1554, 1555, 1559, 1563, 1572 — Henryka Walezego 1574 — Stefana Batorego 1577, 1579, 1581. Inne późniejsze przywileje przytoczone są w stosownych miejscach niniejszej pracy.

i troskliwością królów i z tej dynastyi. To też uczony ks. Szymon Starowolski nie szczędzi słusznych pochwał Nowemu Sączowi w swem dziele z r. 1632, że „na Podgórzu karpackiem celuje oświatą ponad inne okoliczne miasta i kwitnie niepoślednim handlem.“ [1])

Z dość częstych lustracyi Nowego Sącza, wykazujących liczbę rzemieślników każdego cechu, dziwnym zbiegiem okoliczności nie znajdujemy nigdy podanej liczby kupców, z których możnaby już zyskać choć najogólniejszy obraz ruchu handlowego niniejszej epoki. Księgi jednak archiwum miejskiego dostarczają materyału, który, lubo nie w zupełności, wynagradza ten dotkliwy brak i dozwala zestawić wykaz kupców tej epoki. Według aktów radzieckich i ławniczych było w Nowym Sączu w latach 1598—1656 kupców blizko 60. Liczba ta, zważywszy wcale niewielki przeciąg czasu nie całych lat 60, jak również niewielki obszar miasta fortecznego, które wraz z przedmieściami mogło wówczas co najwięcej liczyć 4—5 tysięcy mieszkańców, wydać nam się musi wcale znaczną. Już to samo dowodzi, jak także znacznym musiał być w owej epoce ruch handlowy, przewyższający nierównie potrzeby samego miasta i jego okolicy.

Na podniesienie handlu naszego miasta wpływał także kwitnący stan rzemiosł i produkcya fabryczna samego Nowego Sącza, tak iż handel jego w niniejszej epoce nie rozciągał się jedynie tylko na import i przewóz produktów zagranicznych, przedewszystkiem węgierskich. Jak zaś w owych czasach rzemiosła w Nowym Sączu musiały kwitnąć i stać wysoko, najlepszym dowodem wiadomość, którą znajdujemy w dyaryuszu Jerzego Tymowskiego,[2]) mianowicie

---

*[1]) Sandecia, urbs muro cincta ad ripam Dunajecii, in submontana hac regione civilitate alias circumvicinas populationes superat; habet homines Mercurio deditos, non pigros aut agrestes, uti communiter fiunt montani omnes, sed politos, industrios et negotiis suis intentos. (Polonia sive status regni Poloniae descriptio. Coloniae 1632).

[2]) Dyaryusz Jerzego Tymowskiego z lat 1607—1631, podobnie jak „Księga Sklepowa“ Jana Markowicza, kupca i ławnika miasta Krakowa, o której wspomina w swoich „Szkicach historycznych“ prof. Kubala, zawiera porozrzucane zapiski, z których można powziąć jasne wyobrażenie o prywatnem życiu kupca, o jego wykształceniu, zapatrywaniach, wychowaniu swych dzieci, jak się dorabiał majątku i jak się czuł w swojej ojczyźnie. Lecz co ważniejsza, owe zapiski są nieocenionym dokumentem do poznania spółczesnego życia mieszczaństwa, jego stosunku do szlachty, a przedewszystkiem stosunków handlowych i przemysłowych Nowego Sącza w epoce panowania Zygmunta III. Jerzy Tymowski (wiemy to z własnoręcznego jego zapisku w księdze kupie-

że na wiosnę 1611 r. zjechał z Węgier sługa pana Mikołaja [1]) Boczkaja (Bocskay) wprost do niego, prosząc imieniem wielmożnego pana swego o zamówienie pięknej karety od atłasów i jedwabiów. A więc brat młodszy owego Stefana Boczkaja, który w r. 1604 stanął na czele powstania całych Węgier przeciwko rządom cesarskim, i obwołany księciem siedmiogrodzkim i węgierskim, zmusił cesarza Rudolfa II. do traktowania z sobą o pokój i uznania go księciem Siedmiogrodu (1606 r.) — wówczas niezawodnie jeden z najpierwszych magnatów węgierskich — udaje się za granicę, i czego widocznie nie mogły dostarczyć jego kraje ojczyste, zamawia dla siebie w Nowym Sączu! Rzeczywiście Tymowski ugodził karetę u stelmacha za 222 złp., sam pilnował roboty, kupił w Lublinie skór juchtowych, zgoła starał się, aby węgierscy panowie byli zadowoleni. Sługa pana Boczkaja zostawił mu 100 talarów węgierskich (111 złp.) na wydatki, a on wypłacał rzemieślników częścią gotówką, częścią towarami [2]).

Do tego kwitnienia rzemiosł przyczyniła się bezsprzecznie przedewszystkiem pieczołowitość samego króla Zygmunta III., przejętego największą troskliwością o pomyślność i dobrobyt miast. Już w poprzednich rozdziałach mieliśmy sposobność poznać [3]), jak on, wbrew polityce swoich poprzedników, otaczał opieką cechy i rzemiosła, i jak całym szeregiem przywilejów starał się zabezpieczyć i utwierdzić kwitnienie tychże w Nowym Sączu. I tak w r. 1592 na skargę piekarzy sandeckich, że piekarze obcy z miast innych przywożą pieczywa, przez co niebezpieczną konkurencyą szkodzą w ich zawodzie, a nawet grożą ruiną ich rzemiosła, przykazuje radzie miejskiej, aby przestrzegała praw i przywilejów piekarzy san-

ckiej) urodzony w Grybowie 1559 r., osiadł w Nowym Sączu i przyjął prawo miejskie 1599 r., zmarł w r. 1631. Marcin Oleksowicz poślubił w r. 1635 pozostałą po nim wdowę Krystynę († 1647 r.), i prowadził dalej, acz bardzo urywkowo, dyaryusz kupiecki do r. 1650. Ów nieoceniony dyaryusz (o dwóch tomach in folio) tak rozpoczyna Tymowski:

Anno Domini 1607. In Nomine Domini Nostri Jesu Christi. Novum Regestrum per me Georgium Tymowski, civem sandecensem et consulem.

Sanguis Christi salva me! Jesus Nazarenus Rex Judaeorum sit triumphalis inter me et omnes inimicos meos nunc et in hora mortis meae. Salve Sancta Parens! enixa puerpera regem!

[1]) Dyaryusz nie podaje wcale imienia Mikołaja Boczkaja, ale rzecz wyjaśnił mi uprzejmie Fryderyk Svabi, archiwaryusz w Lewoczy.

[2]) Dyaryusz Tymowskiego pod r. 1611.

[3]) Porówn. rozdział I. i II. tomu I., tudzież rozdział II. tomu II.

deckich i wzbraniała przywozu chleba do miasta skądinąd. Podobnie w r. 1593 potwierdza uchwalone przez cech kuśnierski artykuły, tyczące się wewnętrznego rządu i składu całego cechu. Tak samo w r. 1602 potwierdza artykuły cechu szewskiego, rymarskiego i siodlarskiego; zaraz następnego (1603 r.) potwierdza ustawy kowali, ślusarzy, mieczników, zegarmistrzów złotników, kotlarzy, hamerników, konwisarzy, szychtarzy, sierparzy, paśników, krawców i malarzy [1]), przyczem określa ściśle, jakie przedmioty każdy z nich może wyrabiać w swoim zawodzie.

W r. 1604 zatwierdza ustawy czapników, farbiarzy, sukienników, bednarzy, stolarzy, stelmachów, kołodziei, tokarzy, rzeźbiarzy, kopijników i szklarzy — tudzież ustawy cechu kupieckiego, t. j. kramarzy, aptekarzy, kitlarzy, iglarzy, nożowników, mydlarzy, miodowników i krojowników, czyli kupców towarami łokciowymi. W pięć lat potem (1609 r.) zatwierdza ustawy cechu rzeźniczego, wreszcie w r. 1620 przywileje i ustawy cechu tkackiego.

Już z tych przywilejów królewskich okazuje się najdowodniej, jak rozliczne podówczas w Nowym Sączu istniały rzemiosła, z których w przeważnej części obecnie nie pozostało nawet śladu. Lecz o stanie ich kwitnienia nie o wszystkich da się, z istniejących źródeł, z równą dokładnością zestawić zadawalniający obraz. I tak o wyrobach garncarskich nie mamy żadnych bliższych szczegółów, oprócz taksy z r. 1630, którą na innem miejscu przytoczę [2]). Reje-

---

[1]) Nowy Sącz już w drugiej połowie XV. w. posiadał nie tylko malarzy, ale i stolarzy, będących zarazem snycerzami niezwykłego znaczenia, skoro im powierzano najważniejsze roboty wówczas w katedrze krakowskiej. Malarz sandecki, Jakób, kopiował chorągiew francuską, a Jan Długosz 12. maja 1460 r. oddał mu w tym celu oryginał, zastrzegając jego całość i zwrot integralny pod ekskomuniką. W lat 26 potem (3. października 1486) kapituła krakowska powierzyła Bartłomiejowi, stolarzowi z Sącza, wykonanie stal katedralnych. Mimowolnie nasuwa się tutaj pytanie, dlaczego do wykonania tych ostatnich w r. 1486 nie udali się członkowie kapituły do mistrza, Wita Stwosza, otoczonego już wielką sławą i twórcy niedawno ukończonego Maryackiego ołtarza? Dr. Maryan Sokołowski przypuszcza, że Sącz w tych czasach posiadał malarzy i stolarzy, a prawdopodobnie i snycerzy lepszych pod pewnymi względami od Krakowa, skoro Wita Stwosza chwilowo zabrakło. (Z dziejów kultury i sztuki. Sprawozdania Komisyi. T. VI str. 93—102). — O malarzach sandeckich wspominają również akta miejskie pod koniec XV. wieku. I tak w r. 1491 wymieniony tam: Stephanus pictor, Georgius pictor.

[2]) Zob. Uzupełnienia na końcu tomu.

stra poborowe z r. 1635 i 1650 wymieniają po 4 garncarzy w mieście, którzy przecie nie próżnowali, lecz wyrabiali nie tylko naczynia gliniane, powszechnie wówczas do gotowania używane, lecz także dachówki i kafle do pieców. Jak zaś te wyroby musiały stać wysoko, dowodzą szczątki kafli koloru łazurowego, z ornamentami gzymsowymi żółtymi w kształcie koron, wykonane artystycznie, znalezione w r. 1896 przy brukowaniu i pogłębianiu ulicy, prowadzącej z rynku do kościoła św. Małgorzaty, właśnie na miejscu, gdzie niegdyś stała szkoła miejska za czasów polskich; tudzież zupełnie podobne koloru jasno-brunatnego i ciemno-zielonego, wykopane w r. 1895 w dzisiejszym ogrodzie miejskim, tuż przy dawnym (dziś nieistniejącym) szpitalu św. Walentego. — Również liczne gatunki i nazwy, dziś po większej części nieznane, broni palnej, siecznej i kolnej czyli do kłucia, oraz wyrobów siodlarskich i rymarskich, dostarczanych w bardzo wielkiej ilości tak dla wojska, jak i wojennej szlachty, dowodzą najwyraźniej o ogromnem zatrudnieniu szychtarzy, mieczników, kopijników, siodlarzy i rymarzy, wogóle o kwitnieniu tych rzemiosł w Nowym Sączu [1]). — Stosunkowo najobszerniejsze jeszcze wiadomości mamy o złotnictwie, które rzeczywiście w epoce Wazów znajdowało się na wysokim stopniu kwitnienia.

Zwykle bywało w mieście po 3 złotników, jak świadczą spisy rzemieślników z r. 1635 i 1650. W latach 1611—1660 znajduję w aktach miejskich nazwiska następujących 10 złotników *(aurifabri)*: Tomasz Frączkowicz [2]), Krzysztof Janosz [3]), Wawrzyniec Kondratowicz [4]), Paweł Użewski [5]), Joachim Matuszowic [6]), Stanisław Wój-

[1]) Porów. ustawę z r. 1630 str. 124, 125.

[2]) W r. 1611 sprowadza z Węgier do Sącza 300 cetn. żelaza i 80 cetn. miedzi; rajcą w latach 1623—1629; zmarł w r. 1630.

[3]) W r. 1612 sprowadza 669 cetn. żelaza i miedzi; rajcą w latach 1619—1621.

[4]) Rodem z Krosna, patricius Crosnensis, przyjmuje prawo miejskie w r. 1623. W r. 1643 spławia swoje wyroby złotnicze do Gdańska. Za dług Katarzynie Jaworce (27 złp.) miał być uwięzion w r. 1645; uwalniając się, zastawia guziki srebrne pozłacane i suknię białogłowską, futrem podbitą. Act. Scab. T. 57. p. 358.

[5]) W r. 1626 mieszka za kościołem św. Ducha, pod murem miejskim obok baszty; rajcą w latach 1630—1643; oskarżony o bicie fałszywej monety i wyrokiem trybunału skazany na ścięcie w r. 1643, lecz po dwóch miesiącach ułaskawion; powtórnie oskarżony o to w r. 1645, ale oczyścił się wobec świadków.

[6]) Zmarł w r. 1631, jak świadczy testament. Act. Scab. T. 51, p. 206.

towicz [1]), Jan Klimczyk [2]), Jan Czechowicz [3]), Alexander Ziółko [4]) i Michał Ziółko *alias* Sekuliński [5]), syn poprzedniego. Wykonywali oni roboty kościelne: monstrancye, kielichy, puszki, lichtarze, lampy, krzyże, turybularze, ampułki, nalewki i t. p.; z robót zaś do użytku domowego: łańcuchy na szyję srebrne pozłociste, czyli, jak wówczas mówiono, „obręcze“ [6]), złożone z ogniwek różnego kształtu; guziki małe złote; guzy srebrne do zapinania sukni; pierścionki srebrne i złote; srebrne czarki, kubki, rostruchany i koneweczki czyli puhary nakształt koneweczek z nakryciem; czapraszki srebrne czyli pętlice do zapinania żupanów, dołomanów; łyżki srebrne różnego gatunku; noże i nożenki srebrne; manele czyli bransolety srebrne pozłociste; łańcuszki, szpilki i haftki złote; klamerki do pasów srebrne pozłociste; oprawy do karabeli srebrne pozłociste; zamkle do wacków srebrne i inne rzeczy drobniejsze, wchodzące w zakres ich rzemiosła, któremi, jak zobaczymy niżej w rozdziale następnym, prowadzili nawet handel do Gdańska.

Cenną pamiątką po złotnikach sandeckich XVII. wieku, nie tylko pod względem archeologicznym, lecz także artystycznym, jest srebrna pieczęć cechu szewskiego z r. 1628, przechowana dotąd w muzeum hr. Czapskiego w Krakowie. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że ją wykonał jeden z sandeckich złotników, powyżej wymienionych. W księdze bowiem cechu szewskiego pod dniem 4. kwietnia 1628 r. wyraźnie zanotowano: „Pod tą gromadą pieczec od złotnika wykupily, ktora kostuie zł. 10 gr. 20.“ — Do wytwornych wyrobów złotniczych owych czasów należy sukienka srebrna wyzłacana, we *floresy en relief* z r. 1636, na cudownym obrazie Przemienienia Pańskiego [7]). Na samej górze tejże sukienki przedsta-

[1]) Rodem z Krakowa, patricius Cracoviensis, przyjmuje prawo miejskie w r. 1630, jako artis aurificiariae socius.

[2]) W r. 1633 przyjmuje prawo miejskie, jako artis aurifabrinae socius.

[3]) Ożeniony z Elżbietą Halinowiczową, wdową, sprawia chrzciny 19. lipca 1648 r.; jako burmistrz jedzie w sprawie miejskiej do Lwowa w r. 1653; powtórnie rajcą w r. 1660.

[4]) Ożeniony z Anną, przybyłą z Wołynia od Łucka w r. 1647; Imci pan Sokół skarży go w r. 1654 o kielich kościelny z Podola (wieś w Sandeckiem). Act. Consul. T. 58, b p. 648.

[5]) Wspominają o nim w r. 1658. Acta Consul. T. 61. p. 545.

[6]) Obręcz, co na szyi noszą: ozdoba na szyję, naszyjnik, torques. Por. Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy. Podług rękopisu z r. 1532, wydał Dr. Erzepki. Roczniki Tow. Przyj. Nauk. z r. 1899.

[7]) Cudowny ten obraz, penzla greckiego na drzewie malowany, znajdował się od niepamiętnych czasów w kościele OO. Franciszkanów

wione są prześlicznej roboty dwa ptaszęta, dzióbiące winogrona; u dołu zaś klęcząca w żupanie postać Marcina Frankowicza [1]), ze złożonemi rękoma i następującym napisem: „*Martinus Frankowicz civis sandecensis, devotus erga imaginem hanc Salvatoris, pro exstruendis hisce laminis argenteis patrimonium suum obtulit, quibus impensis maxima pars imaginis hujus contecta est. Anno Domini quo et altare perfectum 1636.*"

Do zatrudnień złotników należało także taksowanie czyli szacowanie kosztowności i naczyń złotych i srebrnych, które przy powszechnym ówczesnym zwyczaju pożyczania pieniędzy, a nawet kupowania towarów na zastaw, wielkie miało znaczenie i dosyć częstą bywało czynnością. Jednakże również często przytem dopuszczali się złotnicy nadużycia, jak tego archiwum miejskie przechowało nam kilka przykładów. Mateusz Kotczy, kupiec sandecki, nie dopłaciwszy kupcowi preszowskiemu, Mikluszowi Komoraniemu, z dłużnej kwoty jeszcze 100 złp., został przez tegoż pozwany w r. 1635. Widząc, że mu grozi „zagrabienie" (sekwestracya), prosił wierzyciela swego o zwłokę i dawał mu zastaw. Komorani przystał na to, i wziąwszy od niego zastawionych 6 guzów pozłocistych i czapraszkę z dyamencikami, poszli razem do znanego nam złotnika, Pawła Użewskiego. Ten, życząc lepiej Kotczemu aniżeli Węgrzynowi, otaksował te rzeczy na 177 złp., a Komorani przyjął je za należne mu pieniądze, i dopłaciwszy 77 złp., pojechał dalej do Krakowa. Tam udał się z owymi guzami i czapraszką do złotników, aby się upewnić o ich wartości. Ci jednak znaleźli dyamenciki bardzo podłe i złoto liche i ocenili, że wszystko razem nie warta więcej, jak 77 złp. Rozgniewany Komorani, wróciwszy do Nowego Sącza, zapozwał Użewskiego o oszustwo. Znany nam ze swej zawziętości i dzikości Użewski, wyparł się taksowania i jeszcze obwinił Komoraniego, iż naspół z Zygmuntem Gądkiem przemyca glejtę [2]), ołów, sukna i inne towary, ze szkodą miasta i uszczerbkiem skarbu, zaco, będąc burmistrzem, sam Gądka karał, i żądał nadto ukarania napastnika, który się targa na

---

w Nowym Sączu. Po ich kasacie przeniesiono go do kościoła farnego dnia 2. września 1785 r., gdzie dotąd istnieje w bocznym ołtarzu.

[1]) Pierwszą wzmiankę o tym zasłużonym mężu napotykam w r. 1635, kiedy przyjmował prawo miejskie; później bez przerwy zasiadał w urzędzie jużto ławniczym (1640—1646), jużto radzieckim (1647—1669).

[2]) Glejta — siarkan ołowiu, powszechnie używany do polewu garnków, a niegdyś i na dachówki.

cześć rajcy. Sąd nakazał Użewskiemu, aby się przysięgą oczyścił, a będzie wolny [1]).

Wkrótce potem stał się drugi podobny wypadek. Jan Parul, kramarz sandecki, będąc dłużnym Stanisławowi Rogalskiemu, a nie mając pieniędzy, dał mu zastaw w r. 1636. Znowu taksował Użewski, i znowu otaksował za wysoko. Rogalski, chcąc się zabezpieczyć, zaprotestował przeciwko temu; zwołał więc innych złotników, jak Stanisława Wójtowicza, Wawrzyńca Kondratowicza i Jana Klimczyka, którzy oszacowali: pas srebrny złocisty na 72 złp., łyżki srebrne 51 złp., kubek 24 złp., razem 147 złp. Ale gdy ta kwota nie dosięgła długu Parula i taksy Użewskiego, Rogalski zaprotestował przeciw obydwom [2]).

Jak złotnictwo, zwłaszcza w swych wytworniejszych i misterniejszych wyrobach, stoi na granicy rzemiosła a sztuk pięknych, mianowicie rzeźbiarstwa, tak odwrotnie m a l a r s t w o w owych czasach liczono do rzemiosł. Otóż i ta gałąź sztuki czy rzemiosła kwitła nad spodziewanie w Nowym Sączu w epoce Wazów. Pewną jest rzeczą, że malarze sandeccy w XVII. wieku nie stanowili już osobnego cechu, *de facto* jednak istnieli jako poddani cechu kowalskiego (wspólnie ze złotnikami, ślusarzami, kotlarzami, miecznikami, konwisarzami, szychtarzami, sierparzami, zegarmistrzami i paśnikami) z obowiązkiem wyuczenia się sztuki mistrzowskiej, by zostać samodzielnym majstrem malarskim. Mieli jednak swoich osobnych archimagistrów, czyli cechmistrzów, jak pokazują zapiski z r. 1632, przytoczone poniżej. W latach 1607—1655 znajdujemy w Nowym Sączu 8 malarzy [3]). Sześciu z nich około r. 1633 wykonywało swe prace artystyczne w mieście, a jeden z nich w r. 1630, kiedy miasto prowadziło długi proces graniczny z wielmożnym Piotrem Rożnem z Mogilna wysłany został do Paszyna w celu narysowania mapy lasu i miedzy w granicach miejskich, zaco dostał 15 gr. Malowali przeważnie obrazy olejne, którymi przyozdabiano nie tylko ołtarze, feretrony, chorągwie kościelne i cechowe, lecz także domy

---

[1]) Act. Scabin. T. 54, p. 338; T. 55. p. 26, 104, 552.

[2]) Act. Scab. T. 55. p. 108, 131—132.

[3]) Edward Rastawiecki w swem obszernem dziele ani słówka nie powiedział o tych malarzach. Wymienił tylko Szymona Swiętkowskiego, o którym jedyna wiadomość dochowała się z sądu komisarskiego z r. 1615, w sprawie między Stan. Wierzbiętą z Przyszowej a pozwaną przezeń Reginą Gężanką, niegdyś sławetnego Szymona Swiętkowskiego, malarza ławnika sandeckiego pozostałą wdową. Słownik malarzów pol. T. II. str. 421.

mieszkalne. Stąd to inwentarze ruchomości mieszczańskich wymieniają nieraz po kilka obrazów mniejszych i większych, na płótnie malowanych. Do tych malarzy należeli: Szymon Świętkowski [1]), Maciej [2]) (nieznany z nazwiska), Adam Liszkowicz [3]), Floryan Benedyktowicz, Jan Ciosek [4]), Marcin Gwóźdź, Grzegorz Borucki [5]) i Jędrzej Fabrowicz [6]). Najsłynniejszym jednak malarzem między wymienionymi był Floryan Benedyktowicz. Przybył on z Czchowa, *patricius Czchoviensis artis pictoriae magister*, i przyjął prawo obywatelstwa w Nowym Sączu 1627 r., a zaraz następnego roku przyjął do rzemiosła dwu chłopców, niewymienionych jednak po nazwisku. Należał do zamożnych mieszczan, gdyż, oprócz domu w rynku, posiadał jeszcze folwark za rzeką Kamienicą. Malował dużo olejnych obrazów, a między innymi w r. 1632 malował i złocił obraz bracki św. Anny w kościele farnym w Starym Sączu [7]). W r. 1646 na wjazd nowego starosty grodowego, Konstantego Lubomirskiego, malował tablicę tryumfalną wraz z 6 herbami i ornamentacyą, zaco wypłacił mu ówczesny burmistrz, Stanisław Wilkowski, 20 złp. [8]) W latach 1648, 1649 i 1652 był rajcą sandeckim. Powszechnie kochany i szanowany zmarł w czasie morowego powietrza w Nowym Sączu (1652 r.)

---

[1]) W aktach miejskich 1571—1579, tudzież 1607—1608 figuruje: Simon pictor, civis et advocatus sandecensis. Był nim niezawodnie Szymon Świętkowski.

[2]) Sub proconsulatu spectabilis Stan. Gorlicki die 13. junii 1616, Mathias pictor in civitatem est receptus.

[3]) Rodem z Wojnicza, patricius Wojnicensis, przyjmuje prawo miejskie w r. 1623. Ks. Fabian Ociecki, kapelan zakonnic w Starym Sączu, skarży go w r. 1633 o dług 40 złp. Act. Scab. T. 54. p. 120.

[4]) Przyjmuje prawo miejskie w r. 1629; kumuje Błażejowi Kuligowi 28. listopada 1655 r. Metr. baptis. colleg. sandec.

[5]) W r. 1642 płaci nawiązkę 160 złp. sierotom zabitego Daniela Pasienowskiego, organisty z Ilmanowej (Limanowej), których opiekunem Adam Łukowiecki. Act. Scab. T. 57. p. 107, 123. — W. r. 1648 Szczęsna Łukowiecka kumuje Gregorio Borucki.

[6]) Ks. Jakób Wistalicki, pleban w Ujanowicach, pożycza mu w r. 1633 złp. 175. Act. Scab. T. 54. p. 121.

[7]) Panu Floryanowi, malarzowi, od namalowania obrazu św. Anny i złocenia tablicy, która ma być noszona w procesyi, 30 złp. Temuż od namalowania na dębowej tablicy obrazu św. Anny, od rzezania gruntu i złocenia także i gradusu 10 złp. Od pozłocenia ramy w ołtarz św. Anny 26 złp. Na podejmowanie jego piciem i jedzeniem przy oddaniu tej roboty 1 złp. (Zapiski w księdze bractwa św. Anny w Starym Sączu).

[8]) Distributa f. 19.

Tych kilka wzmianek daje dostateczne wyobrażenie, jak płacono w owych czasach za obrazy olejne i w jakiej cenie stały utwory artystyczne malarskie. A przecież malarze sandeccy dbali o swe dobre imię i sławę swojego zawodu i nie cierpieli partactwa, jak tego dowodzi następująca notatka, że w r. 1632 starsi cechu malarskiego wyrokiem cechowym rozkazali sławetnemu Marcinowi Gwoździowi, aby więcej nadal nie utrzymywał u siebie Grzegorza Boruckiego, malarza, ku szkodzie i ubliżeniu braci; zastrzegając sobie dalsze dochodzenie względem szkód i nakładów prawnych [1]).

Obok malarstwa niepoślednie miejsce zajmowało rzeźbiarstwo, którego niezatarte ślady przechowały nam zapiski brackie i akta miejskie już w pierwszej połowie XVII. wieku [2]). Snycerze przydzieleni byli do cechu bednarskiego, do którego należeli także rozmaici rzemieślnicy wyrobów drewnianych *(artis lignariae)* t. j. stolarze, stelmachy, kołodzieje, tokarze, kopijnicy, cieśle, a nawet błoniarze czyli szklarze. Akta radzieckie w r. 1634 wspominają o snycerzu, Janie Ochmańskim [3]). W r. 1678 mistrzem dłóta był tu Adam Reyk. Rzeźbił on między innemi figurę drewnianą za 50 złp., umieszczoną na szczycie jednej baszty miejskiej [4]).

Jeżeli więc powyższe kunszta, jak złotnictwo i malarstwo, na tak wysokim stopniu stały w Nowym Sączu, śmiało utrzymywać można, jak się to z zamówienia owej karety dla pana Mikołaja Boczkaja pokazuje, że i niższe rzemiosła musiały się znajdować w stanie kwitnącym, lubo, jak nadmieniłem powyżej, brak nam o tem bliższych szczegółów. Wspomnę tylko o „blechu" czyli bieleniu płótna, który najlepiej dowodzi, jak szeroko w Nowym Sączu były rozpowszechnione w y r o b y t k a c k i e. A chociaż te niewątpliwie zaopatrywały przeważnie tylko potrzeby domowe, mniej zaś były artykułem handlowym miejscowego przemysłu, mimo to znajdujemy, że rozwożono je także na jarmarki do poblizkich miasteczek. Regestr

[1]) Archimagistri contubernii pictorum contra Martinum Gwóźdź, eiusdem contubernii magistrum, quatenus Gregorium pictorem amplius et in posterum penes se non foveat, in damnum et prepeditionem actorum... Act. Consul. T. 53. p. 34.

[2]) R. 1630 snycerzowi za ramę do obrazu św. Anny 9 złp.; r. 1632 za tablicę do noszenia w procesyi, snycerzowi 15 złp.; r. 1641 snycerzowi, co chorągwie do drzewek dla monstry przybijał i szczyt do jednej robił, także za troki i za świeczki 10 gr.

[3]) Famatus Joannes Ochmansky, artis sculptuariae magister. Act. Cons. T. 53. p. 163.

[4]) Actum in praetorio sandecensi fer. II. ipso die Praesent. B. V. Mariae proxima A. D. 1678.

poborowy z r. 1635 i 1650 wymienia po 16 rękodzielników, trudniących się wyrobem płótna [1]). Ceny płótna nie zależały od tego, czy było zgrzebne, czy też paczesne, lecz czy było lniane, czy konopne; i tak według taksy z r. 1652 łokieć płótna lnianego kosztował $1^1/_2$ gr. a konopnego tylko 1 gr.[2])

Uprawa włóknistych roślin należy dziś do rzadkości w sandeckiej ziemi. Inaczej było w XVII. wieku. W owe czasy znali gospodarze przyrodę ziemi i dlatego, widząc jej urodzajność, obsiewali żyzne doliny lnem i konopiami. Górale podhalscy, zwłaszcza z Nowego Targu, skupywali je i przędli na kołowrotkach, tkali i rozwozili po świecie, a góralskie płótna szły przez Węgry aż do Lewantu i Małej Azyi.

Natomiast głównemi gałęziami przemysłu, które wówczas kwitnęły w Nowym Sączu, były: piwowarstwo, sukiennictwo i wyroby narzędzi żelaznych.

Piwowarstwo, a później gorzelnictwo, należało do najzwyklejszych rodzajów przemysłu, gdyż prawie w każdym domu w mieście był browar lub gorzelnia. Piwa sandeckie należały do najdawniejszych w Polsce i zachowały jeszcze z epoki zygmuntowskiej swoją ustaloną sławę [3]). Trunek ten bowiem poczytywano zdrowym i powszechnie był ceniony, zwłaszcza od czasów, kiedy nastały inne trunki a piwa stały się napojem tylko klas niższych. Według ustawy wojewodów krakowskich: Jana Firleja z r. 1573, tudzież Mikołaja Firleja z r. 1589, nie wolno było warzyć piwa z jęczmiennego słodu albo ze zboża mieszanego, tylko z czystej pszenicy, pod utratą tegoż i winą 14 grzywien [4]): dopiero w r. 1652 znajdujemy, że ją mieszano napół z jęczmieniem, albo dodawano żyta lub orkiszu. Na podniesienie się tej gałęzi przemysłu właśnie w tej epoce w Nowym Sączu, przyczyniło się rozporządzenie, wydane za króla Stefana Batorego, którem dla wzrostu fabryk krajowych zakazano piw zagranicznych.

---

[1]) W r. 1710, zanim wybuchło morowe powietrze, było ich ogółem 25.

[2]) Porów. ustawę z r. 1652 str. 135.

[3]) Jeden z panegiryków w wierszu łacińskim na pochwałę piwa „in laudem cerevisiae" z r. 1560, wymienia jako najlepsze: piwo brzezińskie, dobrzyńskie, sandeckie i pułtawskie. (Przew. nauk. i liter. rocz. VIII. str. 683. Lwów 1880).

[4]) Niemcewicz: Zbiór pamiętników histor. T. III. p. 327. — Ulanowski: Kilka zabytków ustawodawstwa. Arch. komis. praw. T. I. str. 100.

Piwa w Nowym Sączu było kilka gatunków, jako to: piwa zielone, które były dwojakie: cienkie, słabsze dla niewiast, i gęste, mocne dla mężczyzn; następnie czarne, czyli gęste *(cerevisia dupliciter cocta)*, tak zwany marzec; wreszcie szmelcowane *alias* dwuraźne, które było dwa razy droższe niż zielone. Piwa zielonego cienkiego garniec kosztował $1\frac{1}{2}$ gr., gęstego zaś 3 gr.; czarnego, czyli marca, garniec 4 gr.[1]) Sprzedażą tychże zajmowali się nawet złotnicy, jak Jan Czechowicz w r. 1648. O wzbranianie szynkowania piwa gęstego czyli marca, zanieśli rajcy skargę do króla (1596 r.) na starostę grodowego, Sebastyana Lubomirskiego. O piwach tych wspomina też w swojem dziele ks. Franciszek Siarczyński[2]), że za Zygmunta III. chwalono powszechnie piwa sandeckie, co jest najlepszym dowodem, że musiały się rozchodzić na całą Polskę, aż owa ustawa z r. 1630 podkopała ogromnie tę gałąź industryi i dawną jej świetność nadwerężyła na zawsze.

Do zaprawy piwa i miodu chodowano chmiel na bujnej dolinie sandeckiej w pobliżu obu Sączów, z czego dziś ani śladu nie pozostało. Trzymali go też mieszczanie w znacznych zapasach po domach i sklepach, jak świadczą dość częste o tem zapiski w księgach ławniczych. I tak między innymi znajduję, że w ruchomościach po Jerzym Frączkowiczu († 1635 r.) pozostało chmielu w wańtuchach[3]) za 180 złp.[4]); a po Janie Ziębie († 1649 r.) było go w worach i na kupie za 117 złp., ćwiertnia po 1 złp. Dowodzi to wymownie, jak w znacznej ilości musiano produkować piwo w Nowym Sączu.

Dłużej utrzymało się s u k i e n n i c t w o, które zresztą już w epoce zygmuntowskiej było w kwitnącym stanie[5]); a że to odbywało się w rozmiarach wcale znacznych, okazuje dowodnie poniższa notatka, zapisana w aktach miejskich. Daniel Morawiec, żyd

1) Porówn. ustawę z r. 1630 i 1652, str. 122, 134.

2) Obraz wieku panowania Zygmunta III. T. II. str. 124.

3) Wańtuch — grube płótno do pakowania chmielu, wełny i t. p.

4) Act. Scab. T. 55. p. 141

5) Rejestr dochodów miejskich z r. 1558 wymienia po nazwisku 11 rękodzielników, trudniących się wyrobem sukna „pannicidae“. — Zofia Siekierzyna zapisuje w r. 1580 contubernio pannificum et pileatorum 10 grzywien, schowanych u Jana Wieczorka, sukiennika — aby cechmistrze dali na popłatę (1 grzyw. rocznie), którą sobie do śmierci brać ma pro victu et amictu. Po śmierci zaś ma to iść na wosk na świece cechowe wieczyście... Cechmistrze sukiennicy: Bartłom. Ogórek i Maciej Truska przyjmują ten zapis. (Akta miejskie sandec. T. 18. p. 149).

z Wiśnicza, kupczył wełną w r. 1632 i właśnie niedawno ugodził się z cechem sukienników sandeckich o dostawę 50 kamieni (16 cetnarów) wełny za 475 złp., na którą sumę dali zapis jak najformalniejszy. Żyd dostawił wełnę i pyta sukienników, jak będzie z zamówionymi 200 kamieniami jarej i jesiennej wełny? Sukiennicy patrzą nań ze zdziwieniem, a on im pokazuje pismo bez podpisów, zamawiające istotnie wełnę. Wypierają się pisma, a żyd wręcz twierdzi, że zamówili. Wytoczyła się sprawa przed urząd, a starsi cechu sukienniczego imieniem wszystkich braci musieli przysięgać: „Że nie wiedzą o tym kontrakcie nowym, który żyd w nich wmawia o 200 kamieni wełny, ani go z nim uczynili, tylko o 50 kamieni według membrany od siebie onemu danej [1]."

W r. 1635 było w cechu sukienniczym rękodzielników 6, a pod r. 1639 czytam, że dwaj sukiennicy z Nowego Sącza: „Stanisław Biernat i Adam Pękała, imieniem inszej braciej cechowej ugadzają się z niejakim Gryglem (Grzegorzem) Świechem o 264 złp., należących się za wełnę [2)]", z czego oczywisty dowód, iż w tym czasie nie tylko istniało, ale i widocznie kwitnęło sukiennictwo.

Jednak nierównie bardziej kwitnął w pierwszej połowie XVII. wieku w Nowym Sączu wyrób narzędzi rolniczych, na który rzuca nam dopiero jasne światło dyaryusz Tymowskiego. Według tego musiało w Nowym Sączu znajdować się przynajmniej kilku sierparzy [3]), którzy trudnili się wyrobami tychże na wielki rozmiar. Z tych znani są nam z nazwiska dwaj, mianowicie Wacław Morawiec i Stanisław Dzierzwa. Wprawdzie nie musieli oni rozporządzać wielkimi kapitałami, skoro zawsze wymagali zaliczek, a Tymowski musiał im dawać po 100 i 200 kilkadziesiąt złp. na żelazo: jednakże ruch w ich warsztatach musiał być wcale znaczny, skoro pan Morawiec w swojej pracowni zatrudniał 8 czeladników (1613 r.) i w przeciągu nie całych 2 miesięcy zdołał (1612 r.) odstawić aż 9.800 sierpów, a pan Dzierzwa jeszcze więcej, bo w przeciągu 3 tygodni 5.300 sierpów (1613 r.)

Nadzwyczaj charakterystyczną na owe czasy co do stosunku czeladników do swego pryncypała, oraz co do dostawy tychże sierpów, jest ta okoliczność, że osobno dostawiali je sami właściciele warsztatów, a osobno czeladnicy: ci ostatni także po kilkaset sztuk

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 6, 17; Act. Scabin. T. 51. p. 495. — Membrana = kwit ręczny, scriptum manuale.

[2]) Act. Scabin. T. 55. p. 887.

[3]) Rejestr poborowy z r. 1635 i 1650 wymienia po 3 sierparzy, oczywiście majstrów, boć czeladnicy nie płacili poborów.

naraz, na które tak samo otrzymywali od Tymowskiego zaliczki. Widać więc, że albo nie pobierali od swego majstra żadnej zapłaty i utrzymywali się z tego, co sobie zarobili, albo też byli jego spólnikami, przyczem jednakże majstrowie za swoich czeladników ręczyć musieli. — Tę samą okoliczność potwierdza nam uchwała cechu kuśnierskiego z r. 1612 [1]), „żeby się żaden czeladnik nie ważył skór swoich kłaść do kwasu więcej niż 4, kiedy 30 skór umoczy mistrz", a więc że i czeladnicy kuśnierscy także mogli dla własnego zysku skóry wyprawiać i sprzedawać, byle to tylko nie czyniło zbytecznej konkurencyi samemu mistrzowi.

Od r. 1615 Wacław Morawiec, nie dotrzymując słowa, stracił „wiarę" (kredyt) i czeladź jego przeniosła się do Dzierzwy, który, sprowadziwszy sobie jeszcze osobnego pomocnika z Lublina (1617 r.), był w stanie dostawić naraz 8.000, a w latach 1618—1619 nawet 12.000 sierpów.

Wyrób ten sierpów stanowił nie tylko ważną gałąź przemysłu, ale też był i bardzo ważnym artykułem handlu Nowego Sącza. Z pomienionymi obydwoma sierparzami zawiera Tymowski (1611 r.) kontrakt; w roku następnym z Morawcem znowu na dalsze półtora roku odnowiony: „stało się postanowienie z panem...", że nikomu innemu, jak tylko jemu wyłącznie dostarczać będą sierpów, zaco ze swej strony Tymowski zobowiązał się, „na każdy czas i potrzebę pieniędzy jemu dawać." Rzeczywiście handel nimi musiał być ogromny, skoro naraz dostawiali po kilkaset, a nawet, jak widzieliśmy powyżej, po kilka tysięcy sztuk; on zaś płacił częścią gotówką, częścią towarem, zwłaszcza suknem, a cena wynosiła za 100 sierpów 3 złp. Interes ten niezawodnie był bardzo korzystny, dlatego dawał chętnie znaczne zaliczki, tak w pieniądzach jak żelazem, którego cetnar kosztował 3 złp. 10 gr., a sierpy te rozchodziły się na całą Polskę i stanowiły, obok miedzi i śliw suszonych, najważniejszy ładunek „pletów" czyli tratw, które Tymowski spławiał do Gdańska (1618 r.). Dlatego też miał ich zawsze znaczne zapasy, n. p. w r. 1620 aż 14.000 sztuk [2]).

Oprócz niego i inni kupcy tutejsi zajmowali się handlem sierpów i wywozili je do Lublina, a nawet do Słucka, jak tego wyraźne ślady napotykamy w księgach archiwum miejskiego. I tak Jan Zięba, który na większą skalę prowadził handel owocami suszonymi, handlował także i sierpami; w r. 1636 złożył w Lublinie u Jana

[1]) Zob. powyżej str. 28.
[2]) Dyaryusz Tymowskiego.

Kotczego, mieszczanina, 3.000 sierpów, które tenże rozsprzedał. Zjechawszy się później w Nowym Sączu, zawarli wobec Jakóba Poławińskiego między sobą ugodę: Kotczy daje Ziębie wynagrodzenia 100 złp., ten zaś obiecuje przeznaczyć je na dzwonnicę kościelną [1]) t. j. kollegiacką. — Podobnie w r. 1636 Marcin Krupski, mieszczanin w Słucku, poświadcza, że Mikołaj Chodorowicz z Nowego Sącza zostawił u niego w dwóch faskach 6.000 sierpów, po które ma posłać, a za który to towar, w razie, broń Boże! ognia, Krupski nie ręczy. Słuck, 14. lipca 1636 r. [2]).

Do towarów, sprowadzanych z Węgier, należała także stal węgierska. W jakich rozmiarach odbywał się ten handel, nie podają nasze źródła, ale zato dowiadujemy się z nich, że przerabiano ją w Nowym Sączu na klinki, a więc że i ta gałąź przemysłu także wówczas kwitła w Sączu i jego okolicy. Mianowicie na przedmieściu znajdował się „klinkarz“, imieniem Ambroży, który po 5 cetnarów stali naraz kupował od Tymowskiego (1609 r.), wyrabiając z niej klinki, które odstawiał mu w pewnej ilości wiązkami, a jak wówczas nazywano „snopami“. Tak samo w Jeżowie (między Grybowem a Bobową) był inny klinkarz, imieniem Mikołaj, który także kupował stali po 2½ cetnara (1610 r.)

Ale oprócz stali nieprzerobionej, sprowadzano także z Węgier, mianowicie z Lewoczy, już gotowe blaszki, czyli ostrza do klinic (szabel), z któremi Tymowski jeździł na jarmark św. Mikołaja do Lublina w r. 1616 [3]).

Jednak nie tylko sam Nowy Sącz kwitnął przemysłem, niektóre jego gałęzie rozciągały się także na dalsze okolice. Przedewszystkiem wyrób szkła jako też saletry jest najdobitniejszym dowodem, że przemysł w ziemi sandeckiej w epoce Wazów nie tak wyglądał jak dzisiaj, albowiem tychże dostarczały właśnie głównie okoliczne miejscowości Nowego Sącza, gdzie znajdowały się huty szklane — podobnie jak po wsiach i miasteczkach liczne pracownie saletry, z których jedne i drugie od dawna już zaginęły i wszystko podupadło.

Szkło wyrabiano w Jazowsku, gdzie o kilka kilometrów od dworu, na drodze ku Obidzy, znajdowały się ogromne huty, z któ-

[1]) Front kościoła farnego w Nowym Sączu zdobią dwie wieże. Większa z nich zbudowana w r. 1507, mniejsza zaś założona w r. 1631. Mowa tu o tej ostatniej.

[2]) Act. Consul. T. 53. p. 280.

[3]) Dyaryusz Tymowskiego.

rych przechowały się do dziś dnia jeszcze znaczne ruiny [1]). Stamtąd też sprowadzał je Tymowski a dostarczał go od r. 1607 hutnik, imieniem Kasper, który w r. 1613 przeniósł się do Sulina (Szulin) na Spiżu i tam szyby wyrabiał. Przywoził je do Nowego Sącza on sam albo jego żona, i to po kilka razy na rok: tak n. p. od lipca 1607 r. aż do końca roku kupował od nich Tymowski aż 6 razy. Szyby te bywały trojakie, jako to: okrągłe, małe nieprzeźroczyste. i wielkie czworoboczne przeźroczyste, wielkości mniej więcej ćwiartki papieru. Te ostatnie sprzedawano na kopy czy setki, a za kopę czy setkę płacił Tymowski po 1 złp., sprzedawał ją zaś po 1 grzywnie czyli 1 złp. 18 gr., a więc z zyskiem 60%. — Szyby drobne zaś kupował skrzynkami, jedna po 5 złp., sprzedając je po 6 złp., a więc z zyskiem 20%, przyczem jako kupiec oględny zamiast pieniędzmi płacił czasem towarem, mianowicie suknami grubemi i ciężkiemi, jak karazya, falendysz i kir, tudzież winem.

Jaki zaś był pokup i odbyt na ten towar, dowodzą liczby, skoro szyb wielkich przeźroczystych przywożono mu na jeden raz po kilkaset, od 300 do 800, ale także tysiącami aż do 4.500; tak samo i drobnych szyb dostarczano w różnej ilości, zawsze po kilka skrzynek, na jeden raz 2 do 10. Od r. 1616 przywóz szyb tak jednych jak i drugich ciągle się wzmaga, widać więc, że i potrzeba i pokup tychże coraz stawały się większe, zwłaszcza że Tymowski dostarczał tego towaru dla kupców lub szklarzy miast innych. Między kupującymi bowiem w większej ilości, po kilkaset szyb przejrzystych a kilka skrzynek drobnych, znajdujemy nazwiska dwóch mieszczan z Biecza: Stanisław Jędrzejków i Jędrzej Kutalik [2]).

W ścisłym związku z handlem szkła zostawał także ołów. Potrzebowali go szklarze, jak niejaka błoniarka Kloska ze szpitalnej ulicy, która, nie mogąc zapłacić gotówką za pół kamienia ołowiu, musiała dać w zastaw szablę i latarkę (1614 r.), tudzież inni, którzy kupowali go funtami; ale jeszcze bardziej sami hutnicy, dostarczając widocznie już szyby gotowe oprawione w ołów, jak ów Kasper z Jazowska, który naraz wziął przeszło cetnar ołowiu (1611 r.) Jednak najwięcej odbytu na ten towar było ze strony konwisarzy; a że odbyt ten musiał być wcale znaczny, pokazuje okoliczność, że żona Tymowskiego, będąc w Krakowie 1614 r., umyślnie pożyczyła

---

1) W pierwszych latach XIX. wieku wyrabiano jeszcze szkło w Jazowsku.

2) Dyaryusz Tymowskiego.

od tamtejszego kupca, Samuela Cyrusa [1]), 40 złp. na ołów; a jeden taki konwisarz sandecki kupował od Tymowskiego cetnarami [2]), co także jest niezbitym dowodem, że i ten rodzaj przemysłu t. j. odlewu naczyń ołowianych i cynowych kwitnął również podówczas w Nowym Sączu.

Rzeczywiście w XVII. wieku były w Nowym Sączu bardzo rozpowszechnione wyroby cynowe i mosiężne, wykonywane przez miejscowych konwisarzy. Stąd też w każdym spisie ruchomości mieszczan sandeckich znajdują się wymienione: cynowe talerze, miski, półmiski, flasze, garnce, półgarcówki, kwarty, półkwaterki, przystawki, konewki, antfosy [3]) — tudzież lichtarze i miednice mosiężne. Zdaje się jednak, że te wyroby nie rozchodziły się w dalsze strony poza obręb miasta, tem bardziej, że tylko jeden bywał stale konwisarz w mieście, trudniący się wyrobem wymienionych naczyń [4])

Drugim produktem industryi sandeckiej ziemi była saletra. Tę wyrabiano w Grybowie i okolicznych wsiach: Krużlowej, Siołkowej, Białej Niżnej, jako też w Łącku, w Starym i Nowym Sączu. Było jej dwa gatunki: czysta czyli lutrowana [5]), której cetnar kosztował 30 złp. — z samego Nowego Sącza znacznie taniej, z powodu widocznie mniejszych kosztów transportu — i nieczysta, nielutrowana, za którą płacono tylko 13 złp. Tę ostatnią kupcy niechętnie brali i dlatego umyślnie wymawiali sobie, aby dostawiano tylko dobrą, lutrowaną.

Wyrób saletry w owych czasach widocznie stanowił ważną gałąź zarobku, gdyż znajdujemy w wymienionych miejscowościach liczne osoby, które się nim trudniły i tworzyły niejako osobny rodzaj rzemieślników, zwanych „saletrnikami“, jak n. p. w samym Grybowie aż 8 osób. Niezawodnie byli to ludzie ubodzy, dlatego otrzymywali zwykle już z góry część zapłaty albo znaczny zadatek,

[1]) Tablicę genealogiczną Cyrusów zob. w Roczniku Krakowskim T. I. 1898. Herby Cyrusów, mieszczan krakowskich, napisał Adam Chmiel.

[2]) Dyaryusz Tymowskiego.

[3]) Antfos, Antwaas, Handfass — miednica, umywalnia.

[4]) Takim długoletnim konwisarzem był Zacharyasz Światłowicz, artis stannifusoriae magister. W r. 1629 przyjął prawo miejskie; od r. 1634—1645 widzimy go na urzędzie radzieckim. W czasie morowego powietrza (1652 r.) popłynął do Warszawy, gdzie też życie zakończył. Skąpe również spominki o konwisarzach w XVI. wieku. W r. 1579 figuruje: Nicolaus Stannifusor: w r. 1599 † Stanisław Lwowczyk, konwisarz.

[5]) Lutrować z niem. läutern — czyścić, cedzić.

i odstawiali kupcom do Nowego Sącza po kilka i kilkadziesiąt funtów. ale i cetnarami. Wyrobnicy ci trudnili się obok tego często i wyrobem prochu, który odstawiali tylko funtami, a zamiast pieniędzy brali czasem sukno i siarkę — tę ostatnią widocznie do wyrobu prochu.

Handel saletrą był wcale znaczny. Odwożoną ją furami do Krakowa, skąd wracając, przywożono przy tej sposobności znowu sukno i glejtę. Szczególnie w latach 1615—1622 widocznie dobrze popłacała i wielki na nią musiał być pokup, skoro Tymowski na wszystkie strony ją zamawiał i skupywał i 40 kilka cetnarów zapisał jej w swym dyaryuszu. Ale były też to czasy, w których Polska jednocześnie na wszystkie strony wielkie prowadziła wojny, czasy wypraw książąt Krzysztofa Zbaraskiego[1]) i Janusza Wiśniowieckiego na Multany, królewicza Władysława na Moskwę, wojen tureckich i szwedzkich, a więc kiedy proch i saletra także na wszystkie rozchodziły się strony i nie tylko na polu wojennem, ale i handlowem wielką odgrywały rolę.

Obok powyższych istniały wówczas w sandeckiej ziemi jeszcze inne gałęzie ludowego przemysłu, jak wyroby smoły, przeważnie dla cechu bednarskiego, i węgli drzewnych dla cechu kowalskiego, których dostarczali także mieszkańcy okolicznych wiosek. Pierwszych nazywano „smolarzami“, drugich „węglarzami.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Samuel Twardowski: Przeważna legacya Krzysztofa Zbaraskiego od Zygm. III. do sułtana Mustafy 1621 r. Kraków 1639, druk gocki.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

Idea posłannictwa narodowego — messyanizm — nie może być poczytywaną jednakże za wyłączny owoc myśli społeczeństwa polskiego. Stoi ona, niezaprzeczenie, w związku z podobnemiż objawami myśli, jakie w tej samej epoce uwydatniały się na Zachodzie europejskim i stanowi jedno z ogniw ogólnego dorobku cywilizacyjnego w wieku bieżącym. We Francyi przedstawicielem tego kierunku był między innymi głośny ksiądz Lammenais, probujący, podobnie jak w Niemczech Hermes i Günther a u nas Bochwic uzasadnić treść dogmatów religijnych rozumowaniem filozoficznem. Z innego stanowiska zupełnie doszedł do myśli o posłannictwie Piotr Leroux, socyalista i filozof, który w dziele swem pod tytułem „*De l'humanité*“ (wyd. w Paryżu 1840) zaznacza, że naród francuski nie może być pojmowanym w znaczeniu, jakie do wyrazu naród przywiązywano w świecie pogańskim, lecz że zawiera w sobie znamię religii i winien być pojmowanym w charakterze niejako oddzielnej religii. W Niemczech Schelling mesyanizm filozoficzny uogólnił, odnosząc go do całej ludzkości: w dziejach chrystyanizmu widział on dwie epoki, które nazwał epokami św. Piotra i św. Pawła. Pierwsza z nich była epoką wiary niewzruszonej i trwała przez sześć pierwszych wieków chrześciaństwa; drugą epokę znamionowało rozumowanie, które dało początek sporom religijnym i doprowadziło do protestantyzmu. Trzecia epoka, którą Schelling nazwał epoką św. Jana, ma nadejść, a cechą jej będzie braterstwo i miłość [1]).

[1]) Nie od rzeczy tu będzie przytoczyć, że zasadę narodowości Schelling opierał głównie na religii. Zdaniem jego, wspólność plemienna pochodzenia nie mogła wytworzyć sama przez się dostatecznie silnej podniety do utworzenia całości narodowej. Podnietę tę w części stanowi język, ale głównym bodźcem jest zawsze religia. Stwierdza to Schelling przykładem Hellenów, których oddzielne plemiona, jak: jońskie, eolskie,

Pomimo jednak występujących na Zachodzie tu i ówdzie znamion mesyanizmu współczesnego, — nigdzie idea o posłannictwie narodowem nie zyskała w literaturze i poezyi tak silnego wyrazu, nigdzie nie odbiła się tak jaskrawo i silnie, jak w Polsce — we wszystkich jej prawie największych płodach myśli z pierwszej połowy wieku bieżącego. Co więcej, — gdy sięgniemy okiem w jej przeszłość, ujrzymy, że kierunek ten już dawniej miał w niej znakomitych i wybitnych przedstawicieli. Do nich należał znakomity kaznodzieja XVII. wieku i pełen wieszczego ducha prorok narodowy, X. Piotr Skarga, który w swych kazaniach porównywał naród polski z hebrajskim i widział w nim cechy odrębnej idei zbliżającej go do ludu wybranego. Cechą tą było postawienie go przez Opatrzność na przedmurzu świata chrześciańskiego, jakoteż obdarzenie go złotą wolnością w porównaniu do jarzma dźwiganego przez inne narody. Do nich należał historyk i poeta tegoż wieku Wespazyan Kochowski, który w utworze mało dziś ogółowi znanym, mało albo prawie wcale nie rozważanym, ale jednak stanowiącym jeden z najprawdziwszych klejnotów poetyckiej myśli polskiej — w utworze noszącym nazwę „Psalmodya polska [1])“ — dał streszczony obraz dziejów narodu, wysnuwając w nim ideę prawd bożych udzielonych narodowi, które on albo pojął i urzeczywistnił, dostępując chwały pomiędzy innymi narodami, lub zapoznał, a zapoznając, cierpiał i pokutował. Wspaniały pod każdym względem ten utwór, jest napisanym w sposobie psalmów, nosi więc tę samą formę biblijną, w którą przyodziane zostały Mickiewiczowskie „Księgi narodu“ i „Księgi pielgrzymstwa“ a do której podobieństwo jest tak widocznem w wielu ustępach „Posłania“ Brodzińskiego [2]). Proroczej

doryckie, pomimo odmiennych swych narzeczy utworzyły jedną narodowość, pod wpływem jednoczącej je wspólnej wiary w jedne i te same bóstwa. Naodwrót Hebrajczycy, różniący się językiem bardzo nieznacznie od sąsiednich Moabitów i Fenicyan. wyodrębnili się w naród oddzielny, zawdzięczając to wyłącznie swej oddzielnej wierze w Jehowę. Każdy lud w ogóle wkracza na drogę wyodrębniania swej narodowości z chwilą: gdy poczyna wyróżniać się od innych w mniemaniach swych religijnych.

[1]) Dokładny tytuł tego utworu jest następujący: „Trybut należyty wdzięczności wszystkiego dobrego Dawcy, Panu i Bogu, albo Psalmodya Polska za dobrodziejstwa Bozkie dziękująca. Przez jedną najlichszą kreaturę roku pańskiego 1693 napisana a do druku podana r. p. 1695.“

[2]) Tę samą biblijną formę proroczego nastroju nosi piękny, lecz niejasny poemat Słowackiego „Anhelli“, którego myśl narodowo-spo-

Wreszcie myśli posłannictwa narodowego nie podobna nie widzieć w legendarnych zeszłego wieku postaciach księdza Marka i Wernyhory na tle niemniej owianej posłanniczym duchem konfederacyi Barskiej, składającej się z „rycerzy Maryi“, co wszystko służyć może dowodem, jak głęboko i ściśle w sercach społeczeństwa zespoliło się poczucie narodowej myśli z wiarą w religijny jej początek, mający w przyszłości przynieść nieodmienne jej zaspokojenie.

Ale z liczby ogólnej tegowiecznych poetów polskich nad wszystkich rozwinął najidealniej i najpodnioślej znaczenie posłannictwa narodowości, znakomity poeta-filozof Krasiński. Celem narodowości, mówi on, jest praca dla dobra ludzkości, ta zaś tylko narodowość spełnia swój obowiązek i urzeczywistnia moralne znaczenie swej dziejowej odrębności, dla której idea ludzkości jest ideą przewodnią. To zatem, co w słowach Brodzińskiego jest niejako przeczuciem ogólnego ludzkiego celu, występuje u Krasińskiego jako prawdziwy dogmat, jako widoczny zakres wszelkich dążeń. Jest to już nietylko wysługiwanie się, jak rzekł Mickiewicz, całemu rodzajowi ludzkiemu, popieraniem lub bronieniem wielkiej myśli lub wielkiego uczucia, — lecz obowiązek ścisły i konieczny służenia sprawie ludzkości na każdym kroku. Oczywiście — że cel tak pojęty, jest celem dostępnym zarówno dla narodów potężnych swymi zasobami nabytymi w dziejowej spuściźnie, jak i dla narodowości wątłych lub słabych, pozbawionych w mniejszym lub większym stopniu dziejowych bodźców. „Czem jest ludzkość?“ — mówi Krasiński [1]). „Oto całością i jednością wszystkich możności ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich, to jest narodowości. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego Ja ludzkiego, który je wszystkie spaja i im wszystkim panuje; tak samo narodowości widome muszą w rozmaitości swojej a zarazem harmonii, stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:

„A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna, jako chce.“

„Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego, choć ich wiele jest, są jednem ciałem, tak i Chrystus.“ Sw. Paweł. List do Korynt. XII. 11, 12.

leczna zakryta jest tak nieprzeniknionemi osłonami mglistej fantazyi autora, że nie może być tu mowy o jakiemkolwiek ocenieniu mniemań poety.

[1]) We wstępie do Przedświtu.

„Objawienie Syna Bożego musi więc przychodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.“

Zasadę tę objaśnia Krasiński następującemi twierdzeniami. W starożytności, gdy ludzkość, z wyjątkiem hebrajczyków, nie rządziła się Słowem Bożem, nie było we właściwem znaczeniu narodów prócz hebrajskiego. Idea ludzkości objawiona została światu przez Chrystusa i odtąd cel, do którego dążyć winny narody, został jasno wskazany słowami modlitwy: „Przyjdź Królestwo Twoje“ czyli wiarę w uwidocznienie ideału ludzkości na ziemi. Zasady Chrystusowe nie mogły przetworzyć odrazu pojęć społecznych pogańskiego świata i przeto musiały oddziaływać na nie stopniowo, chrześcijaniąc przedewszystkiem stosunki osobników, zanim mogły dosięgnąć sfery stosunków między narodami i państwami. „Ale za dni naszych“ — mówi Krasiński [1]) — „osobnik każden chrześcianinem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześciańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześciańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki.“ Temi tak znaczącemi słowami porusza Krasiński jaskrawe przeciwieństwo myśli chrześciańskiej, — tę antytezę chrystyanizmu w zakresie stosunków międzypaństwowych i międzynarodowych, opierającą się dotąd na sile gwałtu i przemocy, na demonicznych środkach podstępu, obłudy i fałszu, intrygi i wyzysku, cynicznego w czasach dzisiejszych tępienia słabszych z dzikiem powoływaniem się na hasło siły idącej przed prawem. Któż nie dostrzega, jak rażący kontrast przedstawiają owe stosunki z postępem myśli cywilizacyjno-chrześciańskiej zwolna, ale stale występującym we wszystkich innych dziedzinach prawno-społecznych stosunków pomiędzy ludźmi jako jednostkami? Podczas gdy te ostatnie wyzwalają się wciąż z granic samowoli i przemocy, gdy znamię niewolnictwa przestało je piętnować pogańską tradycyą dawno zamierzłych czasów, — tam w zakresie walk narodu z narodem i państwa z państwem panuje rozpasanie nie znające granic! I otóż przeciwdziałanie owym bluźnierczo antichrześciańskim zasadom polityki przypada, zdaniem wieszcza, w udziale pojedyńczym narodowościom, tworząc ich istotny obowiązek. Do wielkiego celu świata, polegającego na urzeczywistnieniu Królestwa Bożego czyli ludzkości zgodnej z wolą Bożą i wypełniającej prawo, które Bóg jej nadał — „środkami, narzędziami są n a r o d o w o ś c i, w których odbiły się, jako w najwyższym swym rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich

---

[1]) Tamże.

różnice. Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka. Państwa są utworu ludzkiego: są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi Bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwowione, jedne tylko mogą być chrześciańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości [1]."

„A do dnia tego wiodące tu wschody,
To w łasce twojej poczęte narody!
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
Co z piersi Twoich zesłanem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
A są wybrane jedne przed innemi,
By o Twą piękność walczyły na ziemi,
I krzyż lat wielu włokąc krwawym śladem,
Były śród świata — anielskim przykładem,
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa,
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa [2]."

I oto w myśl tego ideału ogólnego postępu, który przyświecać winien całej ludzkości, wysnuwa poeta cały szereg idei, które winny przewodniczyć postępowemu doskonaleniu się jego własnego narodowego społeczeństwa, stanowiąc rzeczywiste jego, naturalne, wypływające z warunków bytu posłannictwo. Ze względu na lekceważenie dzisiejszej epoki tak zwanego mistycyzmu przez umysły lękliwe i pozytywne, skłaniające się pod hasłem trzeźwości do wypierania się wszelkich wyższych polotów ducha narodowego, należy się rozpatrzeć, czem jest w istocie swej ów „prąd gorączkowy marzycielskiej poezyi," któremu przypisano źródło wielu społecznych nieszczęść!

Zasadnicze te myśli są następujące:

„ . . . . . . jedyną tu koroną,
Wylać ducha na miliony!
Ciałom wszystkim rozdać chleba —
Duszom wszystkim — myśli z nieba!
Nic nie spychać nigdy w dół,

[1]) Tamże.
[2]) Psalmy przyszłości: Psalm wiary.

Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie —
Tak Bóg czyni we wszechświecie!
Bo cel światów szlachetnienie! [1])"

A więc przedewszystkiem, zwracając się do swego kraju, woła poeta:

"..... nie zbędziesz dawnej wiary,
Że ten tylko więzy przetnie,
Kto namaszczon cnoty znakiem,
Że na ziemi być Polakiem
To żyć bozko i szlachetnie! [2])"

I oto ojczyźnie swej wskazuje poeta te drogi, któremi kroczyć winna:

"Bądź mistrzynią,
Co krzywości
Świata prości;
Przewodczynią,
Wszechmiłości!
Grzech wszelki maż —
Łzę wszelką susz —
Depc ziemski szał,
Rządź światem dusz,
Gardź państwem ciał.
Nieś dech Pana
Nieskalana
Żadnym kałem!
Ludy, z trzody
Stwórz w narody;
Stań nad niemi
Ich na ziemi
Ideałem! [3])

To znamię myślącego ogółu — lepszej i wyższej części społeczeństwa narodowego — powinno, zdaniem poety, tak odzwierciedlać się w sercu każdej uczciwej jednostki:

"Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu,
Kryć ich wstydy nagie.
A za rany — i za ciernie
Podziękujesz tkliwie —
I dotrzymasz wiernie
Na nieszczęścia niwie!

[1]) Psalm miłości.
[2]) Tamże.
[3]) Tamże.

Śród podłości — niespodlony —
Śród krzywd — nieodmiłośniony.
Wciąż twe usta Pana chwalą —
Wciąż pierś twoja — twardą stalą,
Co się błyszczy nieskalalnie,
A twe oko płacze żalnie
Po nad każdym cudzym bolem;
I tak stąpasz ofiar polem,
Nigdy w kłamstwa podziemnice,
Ciemnie i tajnice
Nieztępując; — bo do Boga,
Wiesz, że jedna tylko droga,
I jej światłem widny — biały —
Nie dbasz o wrogów nawały,
Co z lochów piekielnych
Czychają — na dzielnych; —
Co czarni i nocni,
Tylko zdradą mocni
I orężni pychą
Zabijają cicho! [1])"

W istocie swej społeczne apostolstwo prawdy i miłości, — apostolstwo swobód, — jest równie potężnie i szczytnie wzniesionem przez Mickiewicza w jego „Księgach pielgrzymstwa", — ta jednak zachodzi w porównaniu z Krasińskim rdzenna w myślach obu poetów różnica, że pierwszy obowiązek apostolstwa śród świata wkładał głównie na wygnańców, uważając ich za przedstawicieli wolnej zbiorowej myśli narodu, natomiast Krasinski przenosi ten obowiązek na wszystkich uczciwych i rozumnych przedstawicieli narodowego społeczeństwa, bez względu gdziekolwiekby się znajdowali. Znamionuje go gorąca żądza uszlachetnienia i podniesienia narodu na możliwie najwyższy moralny stopień, żądza rozniecenia w nim świętego ognia miłości Bożej i jaknajsilniejsze pragnienie, aby się nieodwrócił od piastowanych w przeszłości pierwiastków szlachetnych i nie pogrążył w toń bezwładności i zwątpienia, lub nie stoczył się w otchłań niewiary i negacyi i osnutych pod ich tchnieniem fałszywych teoryj społecznych, bo

.. . . . narodu duch otruty —
To dopiero bolów ból!"

---

[1]) Psalm żalu.

Od znakomitych przedstawicieli poezyi polskiej w pierwszej połowie wieku bieżącego, przejdźmy do dzieł polskich filozowów tejże epoki. Tak samo, jak w ustępie dotyczącym poetyckiej myśli narodu śledziliśmy i rozpatrywaliśmy objawy jej w utworach pierwszorzędnych mistrzów, tak i tu zwrócimy uwagę jedynie na pisarzy najwybitniejszych. Dlatego więc zaledwie w krótkich słowach nadmienić możemy o autorach, którzy, jakkolwiek przedmiotem badań zbliżeni są do zadań przez nas rozpatrywanych, jednakże z powodu zbyt małego ich wpływu na krajowe społeczeństwo, pozostali w swej literackiej działalności na uboczu, a przez to w bardzo słabym zaledwie stopniu mogli się przyczynić do skierowania pojęć ogółu na drogę przez nich wskazaną. Do nich należy przedewszystkiem Hoene-Wroński, autor wielu dzieł matematycznej, politycznej i filozoficznej treści, wydanych w języku francuzkim, z których między innemi, dzieło zatytułowane: „*Prodrome du Messianisme. Union finale de la philosophie et de la religion, constituant la philosophie absolue. Paris, 1831*“ zawiera w sobie uwagi o posłannictwie narodów i przyszłym kierunku ludzkości, jak niemniej inne prace tegoż autora, a mianowicie: „*Prolégomènes du messianisme ou le destin de la France, de l'Allemagne et de la Russie*“, oraz „*Adresse aux nations slaves sur les destinées du monde, Paris, 1833.*“ Do nich też zaliczamy i Antoniego Bukatego, pisarza emigracyi, zwolennika doktryn Wrońskiego, również jak Wroński prawie nieznanego ogółowi polskiemu, którego dzieła, a mianowicie: „Polska w apostazyi czyli tak zwanym russo-słowianiźmie i w apoteozie, czyli tak zwanym gallo-kosmopolityzmie. Paryż, 1842“ oraz „Hoene-Wroński i jego udział w rozwinięciu ostatecznem wiedzy ludzkiej. Paryż, 1844,“ rozwijają poglądy na przyszłe posłannictwo dziejowe świata słowiańskiego, szczególniej zaś narodu polskiego, który, udzieliwszy w przeszłości każdemu ze swych obywateli najszersze, jak tylko być może, prawo działań, przysługujące w innych państwach zbiorowości jednostek czyli narodowi, ma przed sobą zadanie wnieść ideę tę w zakres działań międzynarodowych czyli uświęcić to prawo dla pojedyńczych narodów w obec całej ludzkości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Dokończenie).

X.

Czamara.

W czasie sejmu czteroletniego powstała poważna suknia bez wylotów, różniąca się sposobem noszenia od kontusza, a nazwano ją czamarą. Opisanie jej streszcza się w krótkości, jak następuje:

Długość czamary jak u kontusza; kołnierz leżący wykładany, spuścisto od szyi do pasa coraz węższy (wytok), jak u kontusza: plecy ze słupem, z fałdami lub bez fałdów, jak u kontusza; szamerowanie w plecach, w widły trójzębne, jak u kontusza; rękawy zaś zszyte, a na przodzie trzy pętlice z baryłkami lub guzami, do zapinania na dwie strony, według przygody.

Gdzie się podział ów wiek złoty,
Kiedy kontusz na wyloty,
I czamara z pętlicami
Brała górę nad modami.

Śpiewano w teatrze Bogusławskiego przy polonezie.

Taką tedy czamarę ubierano inaczej niż kontusz. Należał do niej żupan, pas, karabela i służyć mogły safianowe buty: lecz pas i karabelę wkładano na żupan, a czamara szła wierzchem — otwarta.

Że taki był obyczaj w noszeniu czamary, to oprócz ustnej relacyi i znanego autorowi żywego przed laty wzoru, dorozumieć się można z następującego podania:

„Nazajutrz (4. maja 1791 r.) na sessyi, pokazał się książę Sapieha, marszałek litewski sejmowy, w bandolecie[1]) skórzanym lakierowanym na kontuszu, mając na nim zawieszony pałasz; blacha owalna na piersiach nosiła napis wczorajszy: „Król z narodem, naród z królem.“ — Tak samo ubrało się kilku posłów litewskich. Nie wyszło trzech dni, a wielka część Warszawy nosiła już to godło na sobie. — Ci co mieli strój narodowy, brali je na kontusze, lub jeśli kontusz był na opaszki, albo czamara, wtedy na żupanie.“ (Ochocki II s. 60.).

Widzimy z tego, że czamarę noszono otwartą, a pas i karabelę — więc i ów bandolet — wkładano na żupan.

Dla praktyki dzisiejszej, spowodowani jesteśmy donieść, że żupan bez pasa przy czamarze, to strój niedokończony... chyba, żeby ktoś zapiął na brzuchu czamarę, aby tym brakiem nie świecić i udać, że się zapiął z powodu zimna.

Do stroju tego należy czapka czworogranna, w tych samych warunkach co do materyi, koloru i opuszki, jak przy kontuszu.

Nawiasem do tego przedmiotu dodajemy, że tak nazwana czamarka, suknia na jeden rząd, bez klap, z stojącym kołnierzem, o wązkich plecach, z jakiemikolwiek belkami czy potrzebami na piersiach, w tyle z guzami w stanie: niema w sobie nic polskiego. Wymyślona po roku 1831, miała wówczas jeszcze — tak nazwany — halssznur, podkładający się pod jedno ramię, jak u węgierskiej attili. — Jest to suknia chyba cała krojem i pochodzeniem węgierska, z pożyczonem od stroju polskiego nazwiskiem.

XI.

Kapota.

Kontusz i czamara z przyborami, na swojem miejscu opisanemi, stanowią strój poważny i uroczysty, który się nie nadaje do wielu powszednich, a zwykłych w życiu okoliczności i zajęć, tak dobrze na wsi jak w mieście. Całodzienne przybywanie w pełnym stroju, byłoby zbytkowne, niewygodne, a nawet śmieszne.

U szlachty na wsi był zwyczaj taki: W dzień powszedni, gość dystyngowany był rzadkością; więc szlachcic w żupanie płóciennym,

[1]) Bandolet, pas przewieszony przez ramię prawe do lewego boku.

albo sukiennym (bez fałszu), w pasie siatkowym albo rzemiennym, z całą swobodą u siebie królował. W niedziele i święta, jeśli mu wypadło być w domu, musiał być przygotowany na możliwą wizytę. Więc ubrawszy garnitur, wziął na się żupan, a kontusz i pas leżały w pogotowiu — na łóżku. „Od południa zaś chłopak na drabinie koło komina siedząc, wyglądał pilnie, czy nie wyjeżdża z której strony lasa, jaka kolasa! — Jeśli to zoczył, z dachu zeskoczył...,“ a wtedy oczywiście gościnny gospodarz, czemprędzej włożył kontusz na rękawy, pasem się owinął i przed gankiem z luleczką był gotów na przyjęcie miłego, pożądanego gościa. W mieście, inne obyczaje. Wyjść na ulicę w żupanie, to nie po formie. Chodzić zawsze w pełnym stroju, to przesada; to razi; to oznacza brak miary w wyborze tego, co i komu się należy. Okazuje się więc potrzeba stroju małego, powszedniego, do gospodarskich i przygodnych codziennych zajęć, czy to w mieście, czy na wsi; do wyjazdu na targ, na wiec jaki, do sąsiada, a nawet do kościoła w dzień powszedni: jak to już wyżej zaznaczyliśmy, że szlachta w codziennem życiu, ubierała się jak najprościej.

Do takich podrzędnych a codziennych stosunków w życiu, potrzebny jest w każdym stanie ubiór odpowiedni a skromny. W naszych narodowych strojach nie brak tego; a za czasów rzeczypospolitej, obchodzono się niemi wyśmienicie. W dalszem opowiadaniu naszem o stroju polskim, wypada nam podać wzory ubiorów powszednich, używanych w Polsce, opierając się, jak dotąd, na tradycyi i żywych przykładach. W pierwszym rzędzie, dajemy kapotę.

Ochocki, opisawszy w pamiętniku, jak licznie zgromadzona szlachta w Lublinie (1789 r.) rzuciła się do stroju polskiego, wspomina: „W późny wieczór na spacery, wychodziliśmy w kapotach, bez szabli, z laską w ręku, na głowie kapelusz okrągły.“

Więc k a p o t a, z powagi swojej, była najbliższym, a skromnym, domowym ubiorem dla kontuszowców. Nie wymagała szabli przy boku, ani czapki uniformowej, przestawała na lasce w ręku i kapeluszu na głowie, a jednak była suknią narodową.

Gołębiowski w słowniczku swoim powiada: „kapota, s u r d u t i przez Polaków używana.“

Tyle tylko! — Nie godzi się tak kapocie ubliżać, bo jest czemś innem, bardzo odmiennem od surduta: jest suknią dawną i ma cechy czysto nasze, narodowe.

Kapota ma długość kontusza, do pół łydek, kołnierz stojący, odkładany, (przez nieświadomych mylnie kościuszkowskim zwany): pod kołnierzem ma klapy: jest suknią do zapinania na dwa rzędy;

plecy ze słupem, jednostajne szerokie; bywa z fałdami (od słupa ku przodowi zakładanymi), lub bez fałdów: słowem niby opończa z lepszego sukna i bez kaptura.

Kapota nie zapina się na dziurki i guziki jak surdut, tylko na — tak zwane — potrzeby. Ta sama nazwa potrzeby, tłómaczy konieczność szamerowania kapoty, które się na tem zasadza:

Na piersiach, po jednej i drugiej stronie, daje się pięć, najwięcej sześć guzów lub baryłek, szmuklerskiej roboty; powtarzam szmuklerskiej, żadnej innej. Do zapinania służą pętlice taśmowe lub sznurkowe, końcami przyszyte pod guzami. Dwie pętlice równorzędne, zakładają się na guzy czy baryłki z przeciwnej strony. — Tyle co do przodu.

Z tyłu szamerowanie, taśmowe lub sznurkowe — według tego, jak jest na przodzie — idzie przez szwy pleców i ich przedłużenie na dół, obejmuje w stanie podkrój pleców, fałdy i listewkę kieszeniową, jak u kontusza i czamary w trójząb. — Jeżeli szamerowanie jest sznurkowe, sznurek w plecach daje się podwójnie lub potrójnie.

Jeżeli kapota jest bez fałdów, wolno pod belką poprzeczną dać frendzle; jeżeli zaś są fałdy, uczynić tego nie wolno.

Dla ostrzeżenia dodajemy, że ani kapota, ani żadna z narodowych odzieży, nie ma i mieć nie powinna w stanie — to jest pod plecami — jakichkolwiek guzów lub baryłek.

Do kapoty żupan się nie nadaje: nie jest potrzebny, bo go nie widać. Na ulicy, na wizycie, w każdem miejscu publicznem, kapota powinna być zapięta. Chociaż klapy odchylone, to widno tylko spinkę pod szyją; do tego wystarczy kamizelka żupanikowa, czyli tak nazwany półżupanik.

Do wyjścia w kapocie służyć może kapelusz, czego przy kontuszu lub czamarze uczynić nie wolno. — Kapelusz, jakiego Polacy używali, był nizki, równo ścięty, z szerokiemi krysami. Kolor dowolny.

Kogo niestać na kontusz lub czamarę z żupanem, albo też pozycya jego wymaga skromniejszego ubrania, może do najpoważniejszej okazyi użyć kapoty, włożywszy skromny pas na nią. Na głowie wtenczas nie może być kapelusz, tylko czapka, z wierzchem tego samego koloru co kapota, a z opuszką nie inną, tylko barankową.

Karabela, nie ma miejsca przy kapocie, chociażby włożono pas lity.

Kapota dla możnych jest strojem powszednim, domowym: dla ludzi niższej kondycyi, może być uniformem stanu. — Mieszkaniec małomiasteczkowy, albo inny chudzina, nie ubliży najwyższemu domowi w stroju właściwym jego pozycyi; tak jak włościanin, bez obrazy majestatu, może w swojej sukmanie lub opończy, stanąć z godnością przed monarchą: bo ten ubiór, jest uniformem jego społecznego stanowiska. To samo służy i kapocie.

XII.

Stroje przygodne.

Oprócz powyższych stosunków i wymagań, są w różnych stanach rozliczne zajęcia domowe, gospodarskie, zawodowe, w mieście czy na wsi, dla których pożądanym byłby ubiór wygodniejszy, przedewszystkiem: krótszy, lżejszy, ruchliwszy. Do takich należał ubiór dawniejszy, pod nazwiskiem: taratatka. Taratatka miała krój i szamerowanie kapoty, różniła się tem tylko od kapoty, że była krótką. (Kitowicz, Gołębiowski, Mickiewicz w Panu Tadeuszu).

Inne, do tej kategoryi dające się zastosować ubrania, przedstawia nam odzież ludowa, z krojem tak nazwanym, klinowym. Sukmany w tym kroju — na jeden rząd bez klap — używane są na Mazowszu i na Rusi. Sukmana krakowska biała; na Rusi, tym samym krojem, czarna: świtami albo sukmanami nazwane. W ten sposób, krótko, do kolan przykrojone świtki, albo — z grubego sukna — gunie, pojawiały się już w nowszych czasach, między demokratyczną szlachtą.

Szamerowanie ich powinno być tylko sznurkowe. Kołnierz i przód, obwiedzione kantem. Na klębach, sznurki podwójne, odznaczają klin, schodząc się pod ostrym kątem w klębie. Przód zapina się na haftki; u Rusinów, nawet na jedną tylko, umieszczoną w pasie. Belek i pentelek na piersiach nie ma żadnych. Rusini ten rodzaj sukmany nazywają: z wusamy, to jest z wąsami; z powodu szamerowania, podobnego do dwóch zwieszonych z pod klęba wąsów.

Na przygody atmosferyczne, jak słota i zimno, służą następujące okrywki:

Burka, zarzutka w kształcie półkulistej peleryny, bez rękawów, nie szyta. Był to wyrób jednolity, z ubitej wełny; z wierzchu

mający gęste kudły, jakby skóry baraniej, obróconej wełną do góry. Do peleryny tej doszywano nizki, stojący kołnierzyk sukienny, zwykle czerwony, i burkę całą podszywano materyą bawełnianą lub wełnianą, czerwoną. Pod szyją spinano na pętlicę sznurkową, lub a g r y f ę metalową.

Zwykły kolor burki bywał brunatny, robiono też i białe. Ojczyzną ich była Ukraina, zkąd się rozchodziły po całej Polsce, jako okrywka bardzo przydatna do konnej jazdy, bo okrywała i jeźdzca i konia zarazem, a była lekka i nie przemakała. Portrety ks. Józefa Poniatowskikgo, przedstawiano zwykle w takiej burce.

O p o ń c z a b e z s t a n u z kapturem, była suknią z rękawami. Dzisiaj ten rodzaj ubrania, nazywamy bundą.

Nareszcie, za Stanisława Augusta jeszcze, powstały p ł a s z c z e, z długiemi pelerynami, których i do polskiego stroju używano.

F u t r a przestały być przedmiotem s t r o j u, w pierwszej połowie XVII. wieku. Ferezye, delie, zawieszały się w przedpokoju na kołku i pełniły służbę tylko użyteczną, niezbędną, tylko w czasie zimowym: lubo zawsze sierść zwierzęca przenosiła dystynkcyę i na tego kto ją nosi. Bywały też sobole, rysie i niedźwiedzie, lub też wilczury i lisiury, pod wierzchem sukiennym lub jedwabnym, rozmaicie przykrojonym: przeważnie zaś w kształcie bundy, sukni długiej, z rękawami, bez stanu.

Magnaci świeccy i duchowni, miewali futra ze skórek rysich lub sobolich, pokryte atłasem. Futra te nazywano s z u b a m i.

Na tem kończymy rzecz o stroju narodowym, jaki wykształciły i podały nam wieki, a przywiązanie do rzeczy swojskich, utrzymywało do końca politycznego bytu rzeczypospolitej: strój nie szlachecki, nie ludowy, lecz narodowy.

Na zakończenie podjętej pamiętnikowej sprawy, pozwalamy sobie dodać parę słów ogólnych, zwróconych ku tradycyi i jej obecnemu celowi.

Nie jest to właściwością tylko naszego narodu, że zwyczaj ubioru, cechującego wszystkie stany do najwyższych jego przedstawicieli, pochodzi od pierwotnych, nizkich warstw, tworzącego się społeczeństwa. M o d a, to nowość. Poczyna się zwykle u możniejszych, u góry, a zdąża ku dołowi. Z natury swojej jest więc zmienną, bo ją świeża nowość wypiera. — Z w y c z a j, wyraża to, co się przechowało, obyło; opiera się na dawności: przez nią poważnieje. Warstwy niższe, wykształcając się, zajmując co raz wyższe w społeczeństwie stanowiska, rozwielmożniając się stopniami, przynoszą z sobą po stopniach tradycye swoje własne, nie narzucone, nie

modne, więc cenne, dla nich stałe. Tylko to jest narodowem, co przeszło tą koleją — tradycyą — z dołu do góry. Tak było u nas: tak jest wszędzie, gdzie nie zanikło poszanowanie dla swojej przeszłości.

A jeśli tradycyi swojej wiernymi być chcemy, jeśli uważamy za rzecz godną i potrzebną w pewnych objawach życia publicznego, zachować cechy żywotne, narodowe: to pozwalamy sobie dodać, iż ani racya polska, ani racya polityczna, nie skłania nas do tego, abyśmy mieli hołdować obyczajom i zwyczajom wyższych stanów wieku piętnastego lub szesnatego. — Jeżeli uroczysty strój narodowy dzisiejszy, ma juz być symbolem pewnej epoki, którą chcielibyśmy pamięci przywołać i podać poszanowaniu i naśladowaniu ogólnemu, to właściwszą przecież byłaby epoka — sejmu czteroletniego.

J. Horoszkiewicz.

O CYWILIZACYI BOŚNII I HERCEGOWINY.

(Ciąg dalszy).

W prowincyach przez Osmanów zamieszkanych już ku końcowi ich stałych podbojów, stosunki te prawne na ziemi przebierają jeszcze nieco odmienne kształty, i tak mianowicie nawet w wypadku darowania ziemi na własność nieograniczoną (Mulk), musiał obdarowany opłacać dziesięcinę, właściwie zatem własność nieograniczona redukuje się w tych krajach jedynie do domu i jego obejścia, winnicy i ogrodu w wielkości $^1/_2$ Dumum[1]), dalej budynków, przez posiadacza wystawionych, jakoteż roślin przez niego zasadzonych.

Obie kategorye, dalej posiadanie „Tessaruf", zlewają się w tych krajach z sobą w jedną kategoryę lenna, obowiązanego tylko do opłaty dziesięcin państwu.

Tego rodzaju system prawny wnieśli też Osmanie także do Bośnii i Hercegowiny, wskutek czego powstają w stosunkach własności i posiadania po podboju tureckim następujące zmiany: Szlachta słowiańska, chcąc się utrzymać przy ziemi, zmienia wiarę i wraz z nią przemienia się w tak zwanych „Agów" lub „Bejów". Równocześnie z zupełnie wolnych właścicieli ziemi i panów kraju, przemienia się w lenników państwa, opłacających mu dziesięcinę.

Natomiast nie zmienia się wcale jej stosunek ku dołowi, t. j. względem „kmetów." Ci zatrzymując swoją wiarę, pozostają i nadal w tym samym stosunku do panów.

Obok „Bejów" i „Agów" utrzymuje się stan wolnych chłopów, którzy również zmieniając wiarę utrzymują się, w zamian za opłatę dziesięciny państwu, w posiadaniu swych obszarów. Liczba ich zwiększa się z czasem w ten sposób, iż niektórzy „kmeci" wykupują się z zależności od „Bejów" i „Agów." Natomiast inni chłopi

---

[1]) Miara powierzchni miejscowa.

przechodzą w części w stosunek „kmetów“, przyjmując oprócz swojej ziemi od panów grunta w posiadanie, pod warunkami „kmetów“ obowiązującymi.

Okupacya austryacka z roku 1878 zmienia dalej w części te stosunki.

Dziesięcina, opłacana państwu przez „Agę“ lub „Beja“, przelaną zostaje na „kmetów“ i ściąganą od nich w pieniądzach. Wobec tego „kmet“ musi naprzód z dochodu swego uiścić dziesięcinę państwu, następnie oddać właścicielowi ziemi „Adze“ lub „Bejowi“ część plonu jako daninę (1/2—1/5 części, zwykle jednak 1/3), w zamian zato, właściciel jest z reguły obowiązany stawiać mu budynki mieszkalne i gospodarskie i nie może go wyruszyć z posiadania ziemi jak długo on dopełnia swych obowiązków względem pana. Stosunek „kmeta“ przechodzi wreszcie dziedzicznie na jego potomków.

Stosunki te posiadania i własności ziemi w Bośnii i Hercegowinie są powodem, iż w kraju tym własność większa w znaczeniu gospodarczem właściwie nie istnieje. „Bej“ bowiem lub „Aga“ zatrzymuje sobie do własnego zarządu tylko małą część swych ziem, zwaną „Begluk“, na której stoi jego rezydencya, pozostawiając resztę w uprawę „kmetom.“ Faktycznie istnieją więc tylko gospodarstwa małe włościańskie; średnie i wielkie gospodarstwa rolne w znaczeniu zachodnio-europejskiem nie istnieją do dziś dnia w Bośnii i Hercegowinie.

Pod względem statystycznym stosunki te przedstawiają się jak następuje: Według obliczenia, dokonanego tu ze względu na organizacyę społeczno-ekonomiczną, o której niżej będzie mowa, według głów familii właścicieli i posiadaczy gruntów, wynoszących razem 221.581 głów familii, wypada:

1) Na właścicieli wielkich ziem, którzy jednak sami gospodarstw nie administrują i nie prowadzą	5.833	czyli	2·63%
2) Na chłopów wolnych	86.867	„	39·21%
3) Na kmieci	88.970	„	40·15%
4) Na chłopów wolnych częściowo, w stosunku kmieci zostających	22.655	„	10·23%
5) Na nieposiadających wcale ziemi robotników rolnych			7·78%

Cyfry te prowadzą do interesujących wniosków. Z jednej bowiem strony, największa część ludności, oddającej się zajęciom rolniczym, należy do posiadających ziemię, skutkiem czego ma zabezpieczoną przynajmniej względnie egzystencyę. Z drugiej jednak

strony cechuje się gospodarstwo Bośnii i Hercegowiny brakiem sił roboczych, który zwiększa się jeszcze przez to, że wyznanie mahometańskie zabrania wielkiej ilości kobietom w kraju brać udział w robotach, wykonywanych równocześnie także przez mężczyzn. Jeżeli ukształtowanie stosunków posiadania i własności na ziemi stało głównie pod wpływem historyczno-społecznych momentów, to znów charakter i stopień rozwoju gospodarstwa społecznego Bośni i Hercegowiny, jest przedewszystkiem wynikiem wpływu naturalnych warunków tego kraju, a dopiero w drugiej linii wyników historycznych chociaż innej natury, niż dotąd rozważane.

Jak widzieliśmy, Bośnia i Hercegowina uposażone są bogato w warunki naturalne, potrzebne dla rolnictwa, z drugiej zaś strony leżą na uboczu dotychczasowych wielkich centr kultury europejskiej i brak im naturalnych komunikacyi. Skutkiem tego wszystkiego, kraje te były niejako z natury przeznaczone na kraje rolnicze.

I w rzeczywistości rolnictwo stanowiło tu od dawien dawna niemal całą produkcyę kraju, a jeszcze i teraz jest ono najpierwszą gałęzią produkcyi, mimo starań Rządu okupacyjnego o podniesienie przemysłu. Z ludności Bośnii i Hercegowiny oddaje się rolnictwu 88·34%, podczas gdy ledwie 11·36% mieszkańców odpada na inne zawody.

Z produktywnej powierzchni kraju na głowę rolnika wypada przeciętnie 10·856 Dunum czyli 108 m² tak, że z jednego kilometra z produktywnej powierzchni żyć musi 92·11 głów.

Przyczyny, o których nieco niżej mówić będę, spowodowały, że gospodarstwo rolne Bośnii i Hercegowiny, w chwili okupacyi tych ziem przez Austryę, stało na bardzo prymitywnym stopniu rozwoju a i dziś jeszcze tylko w niektórych gałęziach podniosło się do znaczenia gospodarstwa obrotowego, tak że tylko relatywnie można tu mówić o gospodarstwie społecznem w dzisiejszem tego słowa znaczeniu.

O tym stanie rzeczy świadczy w pierwszej linii organizacya gospodarcza tych krajów, której typowemi formami są „Zadruga“ i „Folwark“ (Fronhof) Wypada mi tedy zapoznać na tem miejscu czytelników nieco bliżej z temi instytucyami. „Zadruga“ jest jedną z form tak bardzo rozpowszechnionych na niższych stopniach cywilizacyi związków rodowych. Rozumieć przez nią należy koło osób połączonych ze sobą węzłem krwi, obejmujące nie tylko ascendentów i descendentów, lecz także boczne gałęzie krewnych, którzy wszyscy pod wspólnym naczelnikiem wiodą wspólny żywot gospodarczy i domowy. Do Zadrugi mogą jednak wchodzić także osoby

obce i to przez adoptacyę lub jako mężowie córek Zadrugi. Zadruga może posiadać jako taka na własność grunta orne, pastwiska, łąki, lasy, inwentarz żywy, narzędzia gospodarcze etc. Gospodarstwo prowadzi się wspólnie, owoce pracy każdego członka Zadrugi przypadają wspólnemu jej majątkowi.

W dzisiejszych czasach Zadruga przetwarza się jednak zwolna w assocyacyę zarobkową na indywidualistycznych zasadach opartą. W łonie jej wyosobnia się naprzód jako mniejsza jedynostka posiadająca do pewnego stopnia odrębność prawną i ekonomiczną, familia ściślejsza *(Kleinfamilie)*. t. z. „inokostina.“ Dalej nawet pojedyncze jednostki dorosłe, tworzące Zadrugę, osiągają pewną samoistność. Kobiety wychodząc zamąż, otrzymują od swej Zadrugi wiano, które stanowi ich majątek własny, a razem także majątek odrębny rodziny ściślejszej.

Po śmierci żony wiano przechodzi na dzieci, a względnie, gdy nie ma tych ostatnich, na jej rodziców. Prócz tego każdy pojedynczy członek Zadrugi może posiadać obecnie na własność nawet pewne nieruchomości, przedewszystkiem zaś rzeczy ruchome, zarabiane przez niego w chwilach wolnych od pracy dla Zadrugi, i za zezwoleniem jej naczelnika.

Zadruga stoi pod kierownictwem Naczelnika, t. z. „starościca“, którego wybierają dorośli członkowie „Zadrugi“ (niekiedy sami mężczyźni, niekiedy mężczyźni i kobiety). Jest to niejako organ wykonawczy Zadrugi. On zastępuje ją na zewnątrz, on administruje jej majątkiem, on przestrzega porządku, dzieli pracę między członków Zadrugi i dozoruje wykonania tychże. Pozbywać i obciążać majątku nieruchomego nie może jednak w żadnym razie samowolnie. Co do stanowiska jego w „Zadrudze“, to jest on *„primus inter pares“* kierujący, lecz nie władający element Zadrugi.

Drugim organem Zadrugi jest Rada domowa, złożona ze wszystkich dorosłych mężczyzn a niekiedy i kobiet Zadrugi. Jest to organ jej najdawniejszy, który decyduje o najżywotniejszych kwestyach Zadrugi, o pozbywaniu i obciążaniu dóbr nieruchomych, o innych ważniejszych kwestyach finansowej natury, o dzieleniu Zadrugi etc.

Zadrugi obecnie znajdują się już właściwie w stanie upadku, coraz większa ich liczba rozwiązuje się bądź przez dzielenie, bądź przez występywanie pojedyńczych członków Zadrugi. Niemniej przeto stanowi ona jeszcze zawsze charakterystyczny typ organizacyi familijno-gospodarczej południowych Słowian.

Drugą typową formą organizacyi gospodarczej Bośni i Hercegowiny jest folwark (Fronhof). Pojedyncze kontury tej organizacyi poznaliśmy już mówiąc o stosunkach posiadania. Struktura je przedstawia się w ogólnym zarysie tak, iż punkt centralny tego organizmu gospodarczego stanowi rezydencya „pana gruntowego", w naszym więc wypadku Agi lub Beja czyli t. z. Begluk, otoczona gruntami oddanymi w uprawę zawisłym osadnikom, tu więc kmetom (t. z. kmetluki).

Rzecz naturalna, że tego rodzaju organizm gospodarczy musi służyć za podstawę tylko systemowi gospodarczemu, należącemu do kategoryi t. z. gospodarstw „domowych" *(Hauswirthschaft)* i „patrymonialnych" *(Fronhofwirthschaft)*, których cechą jest produkcya, obliczona w pierwszym rzędzie na potrzeby rodziny względnie rodu i folwarku, zamknięcie produkcyi i konsumcyi w granicach jednej i tej samej grupy gospodarczej, idąca zatem podrzędna rola wymiany czyli obrotu dóbr a skutkiem tego przewaga gospodarstwa naturalnego nad pieniężnem.

Wszystkie te cechy posiadało też rzeczywiście gospodarstwo Bośni i Hercegowiny w chwili okupacyi tychże przez Austryę, a dziś jeszcze tylko w niektórych gałęziach gospodarstwo to wzniosło się do wyżyn gospodarstwa obrotowego.

Prymitywny stan gospodarstwa rolnego krajów przez nas badanych, ujawnia się także w technicznej stronie tej gałęzi produkcyi. Z tej strony zauważane gospodarstwo to przedstawia się jako przeważnie pastwiskowe, o ile zaś jest gospodarstwem rolnem jest ekstenzywne, w rzadkich tylko wypadkach trójpolowe, obywające się bez systematycznego nawożenia roli i płodozmianu.

Dziś i w tym kierunku zostały już wprowadzone ważne zmiany wskutek znakomitej administracyi kraju, o czem niżej będzie mowa.

Jeżeli teraz zastanowimy się nad przyczynami tak niskiego stanu gospodarstwa rolnego, to znajdujemy je w zupełnej izolacyi Bośni i Herzegowiny od reszty europejskiego świata w czasach panowania tureckiego, w niepewności wewnętrznych stosunków, które usposabiały rolnika raczej do lokacyi majątku swego w bydle, dającem się łatwo ukryć w razie niebezpieczeństwa, niż w wkładach w ziemię, a wreszcie w mahometanizmie, który raczej usposabiał jego wyznawców do kontemplacyi i lekceważenia pracy, niż zachęcał ich do trudu około roli.

Pominąwszy chów bydła, koni, owiec, kóz i świń, stanowiący główny nerw gospodarstwa Bośnii i Hercegowiny, z płodów upra-

wianych tu na pierwszym miejscu wymienić należy kukurydzę i jęczmień, dalej przychodzą pszenica, owies i pszono, na ostatnim planie zaś żyto.

Z roślin strączkowych uprawiają tu bób, soczewicę i groch, z innych roślin kartofle, jarzyny ogrodowe, z roślin handlowych tytoń, zaś z owoców przedewszystkiem owoce pestkowe, między którymi pierwsze miejsce zajmuje produkcya śliwek.

Uprawa ziemi dokonywała się za pomocą nader prymitywnych narzędzi rolniczych, które obecnie zastępuje zwolna administracya rządowa ulepszonemi maszynami. I teraz dochodzę do miejsca, na którem wypada mi poświęcić kilka słów znakomitej działalności Rządu okupacyjnego w Bośni i Herzegowinie, skierowanej ku podniesieniu dobrobytu i cywilizacyi tych krajów.

Rząd Bośnii i Hercegowiny, podejmując olbrzymią swoją akcyę, skierowaną ku celom dopiero wspomnianym, przyjął za podstawę słuszną nader zasadę, że chcąc kraj jakiś podnieść na wyższy stopień rozwoju, nie można jednym zamachem, za pomocą reform ustawodawczych, zniszczyć dotychczasowej organizacyi społecznej tego kraju i zastępować ją instytucyami nowoczesnemi, nieodpowiedniemi stanowi cywilizacyi tego kraju, lecz należy tylko na drodze ustawodawczej i za pomocą finansowych wkładów na wielką skalę stworzyć podstawę do naturalnego, niejako z siebie samego płynącego przetwarzania się starej kultury w nową, nie stwarzać nowych stosunków, lecz tylko przyspieszyć ich przemianę w formy wyższe i doskonalsze.

Z tak pojętego stanowiska przeprowadzone reformy rządowe w Bośni i Hercegowinie rozpadają się na dwa wielkie działy, obejmujące środki podniesienia kultury i dobrobytu bardziej ogólnej natury i szczegółowe reformy gospodarcze.

Do pierwszej kategoryi należy policzyć następujące środki:

1) Zaopatrzenie kraju w potrzebne środki komunikacyjne.

W chwili okupacyi, Bośnia i Hercegowina posiadały zaledwie 909·22 km. dróg kołowych i 102·18 km. koleji, na których jednak ruch odbywać się nie mógł dla złego ich stanu.

Obecnie Bośnia i Hercegowina posiadają 2011·91 km. dróg szosowych (*chaussirte Hauptstrassen*), 1845·08 km. dróg powiatowych (*chaussirte Bezirksstrassen*), 2394·20 km. wybornych dróg kołowych i konnych (*Fahr- und Reitwege*), 109·00 km. koleji o normalnej szerokości toru, 668·00 km. wązkotorowych koleji i 100·30 km. koleji industrialnych.

2) Zakładanie szkół tak z kategoryi wyższych zakładów naukowych (gimnazya, seminaryum nauczycielskie i zakład wychowawczy w Sarajewie, szkoła handlowa tamże, szkoły artystyczno-przemysłowe w Sarajewie, Focy i Lievnie), jakoteż szkół ludowych, na nowoczesnych zasadach opartych i przystępnych dla wszystkich wyznań. Dotąd założył Rząd przeszło 200 takich szkół.

3) Dostarczanie z funduszów rządowych taniego kredytu, potrzebnego rolnikowi dla prowadzenia jego gospodarstwa, w formie „zapomogowych funduszów rządowych“, które udzielają w możliwie najprostrzej formie, bez wszelkich kosztów stemplowych etc., wieśniakom pożyczek na 4—6%, spłacalnych z reguły po żniwach.

4) Założenie ksiąg gruntowych, w których uwidoczniono wszelkie istniejące w kraju prawa na nieruchomościach i założenie katastrów leśnych, z równoczesnem uregulowaniem praw ludności na lasach rządowych.

5) Stworzenie nader sprężystej organizacyi weterynaryjno-policyjnej i wydanie szerszych ustaw tej samej kategoryi, skutkiem czego było radykalne wytępienie już w r. 1883 księgosuszu, który szkodził mocno handlowi wywozowemu bydłem, dziś w Bośnii i Hercegowinie znacznie rozwiniętemu.

(Dokończenie nastąpi).

Witold Lassota.

KRONIKA LITERACKA.

Księga pamiątkowa Uniwersytetu lwowskiego ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy fundacyi Jagiellońskiej Uniwersytetu krakowskiego. Lwów. Nakładem Senatu Uniwersytetu lwowskiego. Z drukarni E. Winiarza. 1900. (Stron około 1000, in folio 4o.)

Wśród darów, ofiarowanych z okazyi 500 letniego istnienia Wszechnicy Jagiellońskiej, tej „*Scholarum in Polonia Matri fecundissimae,*" jedno z najpoczesniejszych miejsc nie tylko rozmiarami ale przedewszystkiem treścią bogatą a pełną wielkiej wiedzy i wartości, zajmuje powyższy upominek Uniwersytetu lwowskiego, który z Wszechnicą Jagiellońską „*et nationis et studiorum communione coniuncta,*" pragnął starszej swej a przesławnej siostrzycy złożyć w ten sposób w uroczystej chwili akt hołdu i życzeń. „Jesteśmy — mówi w przedmowie Rektor i senat Uniwersytetu lwowskiego — drugim na świecie Uniwersytetem polskim, jedynym obok Was (t. j. Krakowa). Wysunięci dalej od pierwotnej kolebki Ojczyzny, czujemy się młodszą bracią a wiernymi pomocnikami Uniwersytetu krakowskiego i pragniemy się dosłużyć udziału w jego sławie". — Przedmowa zaznacza także, że „w tym darze z pracy naszej i w życzeniach dla Szkoły Jagiellońskiej łączy się z nami pomny swych ścisłych z nauką i szkołą naszą węzłów, mąż dostojny, w którego ręku dziś zarząd naszego kraju spoczywa." Jest to wzmianka o zamieszczonem w dziele tem studyum JE. Namiestnika Leona hr. Pinińskiego, b. profesora Uniwersytetu lwowskiego, p. t. „Pojęcie i granice prawa własności". Także honorowy profesor Uniwersytetu, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej dr. Michał Bobrzyński, zamieścił tu rozprawę „Z roczników Stanisława Temberskiego".

Wszystkich rozpraw jest 34; podane nie w związku organicznym, według porządku materyałów i pokrewieństwa tematów, stanowią one każda dla siebie całość osobną pod względem materyi tudzież formy (paginacya

każdej rozprawy jest odrębna): wszystkie zaś te rozprawy złożone razem, a ułożone w porządku alfabetycznym nazwisk autorów, utworzyły księgę pamiątkową. Nie wdając się w ocenę prac poszczególnych, z których każda zasługuje na osobną recenzyę, tutaj wymieniamy je tylko starając się o ile możności zestawić razem bliżej ze sobą spokrewnione tematem.

I tak, z dziedziny prawa, umiejętności społecznych i ekonomicznych, oprócz zacytowanej już wyżej pracy JE. Leona hr. Pinińskiego „Pojęcie i granice prawa własności“, znajdujemy tu studya: Stanisław Dniestrzański „Kilka słów o dożywociu małżonka“; Piotr Stebelski „O reformie śledztwa wstępnego“; Ernest Till „O znaczeniu prawnem automatu“; Stanisław Głąbiński „Kwestya społeczna w świetle dochodu społecznego“; Władysław Ochenkowski „Dwa systemy ekonomiczne, ustęp z dziejów gospodarstwa angielskiego“; Tadeusz Pilat „Przyrost wewnętrzny ludności Galicyi w latach 1874—1898“; Rudolf Rozycki „O opodatkowaniu tytoniu i monopolu tytoniowym w Austryi“; Gustaw Roszkowski „O zmianach projektowanych w konwencyi genewskiej“.

Z dziedziny historyi prawa polskiego i historyi polskiej oraz historyi kultury lub literatury polskiej: Władysław Abraham „Stanowisko kuryi Papieskiej w obec koronacyi Łokietka“; Oswald Balzer „Sejm mazowiecki pod rządem koronnym 1526—1540 r.“; M. Bobrzyński „Z roczników Stanisława Temberskiego“; Ludwik Ćwikliński „Żywot i pisma Stanisława Nigra Chrościeskiego“; Br. Dembiński „Feliks Oraczewski, Rektor Akademii krakowskiej, jako poseł w Paryżu podczas rewolucyi w 1791 i 1792 r.“; Ks. Jan Fijałek „O początkach i znaczeniu Uniwersytetu krakowskiego w XIV/XV. wieku“; Aleksander Kolessa „Ukraińska rytmika ludowa w poezyach Bohdana Zaleskiego“; Edward Porębowicz „Tryady Zygmunta Krasińskiego“; Stanisław Starzyński „Udział Rektorów lub reprezentantów Uniwersytetów: Jagiellońskiego i Lwowskiego w Sejmach porozbiorowych“; Alojzy Winiarz „Sądownictwo Rektora Uniwersytetu krakowskiego w wiekach średnich“.

Z dziedziny historyi kościelnej ogólnej: Ks. Józef Bilczewski „Nowe akta do historyi prześladowań i praktyk pokutnych“; z dziedziny historyi ogólnej: Ludwik Finkel „Sprawy Wschodu przed soborem Lateraneńskim r. 1512“; z dziedziny historyi sztuki: Jan Bołoz Antoniewicz „Świątynia zagadkowa Lionarda da Vinci“.

Z dziedziny filozofii i psychologii: Kazimierz Twardowski „O tak zwanych prawdach względnych“; Wojciech Dzieduszycki „Wzruszenia patetyczne“.

Z dziedziny filologii: Stanisław Witkowski „De patria Phylarchii“ (po łacinie).

Z dziedziny nauk przyrodniczych i fizyki: Bronisław Radziszewski „O działaniu bromu na bromki alkylów alifatycznych“. Józef Szpilman „Nowa metoda fotografowania hodowli bakteryj w zwykłych i własnego pomysłu probówkach“; Maryan Smoluchowski „O atmosferze ziemi i planet“.

Z dziedziny medycyny wreszcie: Antoni Głuziński „O ostrem i podostrem zapaleniu tętnicy głównej *(aortitis acuta et subacuta)* w następstwie chorób zakaźnych“; Henryk Kadyi „O barwieniu ośrodków nerwowych przy pomocy zaprawy (bajcowania) solami metali ciężkich“; Emanuel Machek „Badania promieniami Roentgena w przypadkach utkwienia ciał obcych w oku i oczodole“; Antoni Mars „Kilka uwag w sprawie próbnego otwarcia jamy brzusznej“; Jan Prus „O wskrzeszaniu w przypadkach śmierci z uduszenia, otrucia chloroformem lub rażenia prądem elektrycznym“; Ludwik Rydygier „Krótki pogląd na udział chirurgów polskich w rozwoju nowoczesnej chirurgii przewodu pokarmowego“.

Już to wyliczenie treści księgi pamiątkowej dowodzi jej bogactwa i wartości naukowej. Pozostanie też księga ta wielkim dorobkiem naukowym pamiętnego roku jubileuszowego. *ab.*

Pamiętnik III. Zjazdu historyków polskich w Krakowie. I. Referaty. Kraków. Nakładem uczestników Zjazdu.

W dniach 4., 5. i 6. czerwca b. r., odbył się w Krakowie tuż przed uroczystościami jubileuszowemi Uniwersytetu Jagiellońskiego, z niemi bezpośrednio się łącząc, uświetniając je i dla nich niejako naukowy wstęp stanowiąc, III. Zjazd historyków polskich, urządzony przez Towarzystwo historyczne lwowskie. Zjazdy historyków polskich nie są instytucyą dawną; już dotychczas jednak stwierdzono ich żywotność, każdy z nich bowiem ożywiał pracę na polu historycznego piśmiennictwa, zapładniał glebę polskiej historyografii, wytwarzał pomiędzy pracownikami na tem polu pewne jakby porozumienie się co do chwilowych potrzeb tej gałęzi piśmiennictwa naukowego a w ten sposób nadawał kierunek pracy historyograficznej na okres najbliższy po zjeździe. Tak było po pierwszym zjeździe, t. zw. Długoszowym, bo odbył się w Krakowie w r. 1880 w czasie uroczystości na cześć wielkiego historyografa Polski urządzonych, a który to zjazd uświetnili obecnością swą i udziałem jeszcze historyografowie minionej już doby, jak ś. p. Szujski, ś. p. Kalinka, ś. p. Liske, Klaczko i t. d. . . . Tak było również po zjeździe

drugim, w dziesięć lat później, w r. 1890, we Lwowie odbytym, kiedy to już powołane tymczasem przez ś. p. Xawerego Liskego do życia Towarzystwo historyczne ujęło w swe ręce prace przygotowawcze, na zjeździe zaś samym wywołały najsilniejsze wrażenia takie referaty, jak prof. Korzona o „Błędach historyografii naszej w budowaniu dziejów polskich“ wraz z korreferatem Balzera, jak dr. M. Bobrzyńskiego „O kierunku nowszych prac nad historyą organizacyi społecznej w Polsce“, lub Liskego „O rozbudzeniu i rozwinięciu ruchu naukowego na prowincyi“.

Tak niezawodnie będzie również i po III. Zjeździe historyków (jest to zjazd trzeci, gdyż t. zw. zjazdu Kochanowskiego nie wliczono do zjazdów historycznych), odbytym w r. b. w Krakowie. Otworzył go prezes Towarzystwa historycznego i zarazem komitetu urządzającego, prof. Tadeusz Wojciechowski, — rzeczywistym przewodniczącym był dr. Michał Bobrzyński; sekretarzami generalnymi prof. Ludwik Finkel i prof. Wiktor Czermak. Najlepszy przegląd tematów poruszonych na Zjeździe i omówionych, daje przegląd referatów, zawartych w zacytowanym u góry I. tomie Pamiętnika tego Zjazdu. W sekcyi pierwszej, prócz szeregu referatów, które złożyły się na systematyczny przegląd dziejów Polski, od początku aż po r. 1830, (między innymi świetne referaty Sz. Askenazego o „Epoce saskiej“ i „Epoce porozbiorowej“), poruszono takie tematy jak: Metoda nauki historycznej (Bronisław Dembiński), Kwestya opracowania i wydania składanych dziejów Polski (Finkel), Historya współczesna w programie wykształcenia politycznego (Br. Łoziński), Metoda socyologiczna w historyi prawa (Julj. Makarewicz), Historya żydów w Polsce (Schorr), a referaty mieli jeszcze dr. Aleksander Czołowski, Wł. Czerkawski, A. Winiarz i t. d.

W sekcyi II., dla historyi literatury, pominąwszy bardzo interesujące referaty Aleksandra Brücknera („O polskiej literaturze średniowiecznej i o literaturze polskiej XVII. w.“), Piotra Chmielowskiego („Literatura polska wieku oświeconego“ i „Spółczucie psychologiczne w badaniach historyczno-literackich“), oraz Wł. Nehringa o „Rozkwicie języka polskiego w w. XVI.“, które jednak odpadły ponieważ prelegenci nie mogli przybyć na Zjazd, — były między innymi wykłady Józefa Kallenbacha „O niezałatwionych kwestyach literatury polskiej z pierwszej połowy XIX. w.“, A. Karbowiaka „O stanie badań na polu dziejów wychowania, szkół i nauk w Polsce“, J. Karłowicza „O środkowości polszczyzny“, J. Tretiaka „O podziale historyi literatury polskiej na okresy“ i „O żywiole ruskim w literaturze polskiej“.

W sekcyi III., dla historyi sztuki, oprócz szeregu konkretnych kwestyj z dziedziny sztuki i archeologii polskiej, były referaty: Jana

Boloza Antoniewicza „O portrecie Cecylii Gallerani przez Lionarda da Vinci w Muzeum ks Czartoryskich w Krakowie“, Piotra Bieńkowskiego „O Sarmatach i Roxolanach w sztuce rzymskiej“, Ks. Józefa Bilczewskiego „O znaczeniu archeologii chrześcijańskiej“, dalej referaty Wł. Demetrykiewicza, St. Tomkowicza, F. Kopery, Leonarda Lepszego i i.

W sekcyi IV. wreszcie, dla etnografii i dla etymologii, mówił prof. Antoni Kalina „O badaniu narzeczy języka polskiego i o piśmiennem oznaczeniu ich dźwięków“, Alfons J. Parczewski „O zbadaniu granic i liczby ludności polskiej na kresach obszaru etnograficznego polskiego“, R. Zawiliński „O potrzebie mapy etnograficznej polskiej“, St. Zdziarski „O dotychczasowym stanie badań nad etnografią polską i dalszych ich kierunkach“, prócz tego zaś były referaty pp. L. Młynka, Jerzego Polivki, N. Sikorskiego, Jana Świętka, Seweryna Udzieli, Michała Żmigrodzkiego.

Najbliższy Zjazd odbędzie się prawdopodobnie już za lat pięć a dla rozmaitych działów nietylko historyografii lecz i historyi literatury, utworzone będą osobne sekcye. *ab.*

Dzieła Adama Mickiewicza. Wydanie Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza. We Lwowie. Tom I. w r. 1896: Tom II. w r. 1900: Tom III. w r. 1898.

Wraz z świeżo wydanym tomem drugim tego pomnikowego prawdziwie wydawnictwa dzieł Mickiewicza, mamy w przeciągu lat siedmiu trzy tomy naukowo opracowanych i z całym aparatem naukowym wydanych arcydzieł największego naszego poety. Idą one w ogóle w porządku chronologicznym.

W tomie pierwszym (str. 306) pomieszczono: Wiersze najwcześniejsze: Ballady i romanse: Inne wiersze i Wiersze przypisywane Mickiewiczowi. Obszerny wstęp (str. 3—29) pochodzi z pod pióra prof. Józefa Tretiaka, który tom ten wydał, zaopatrując wydane wiersze w „Odmiany tekstu“ (str. 213—244) oraz w „Uwagi wydawcy“ (str. 247—308). Tom ozdobiony jest portretem wieszcza według kredkowego rysunku Walentego Wańkowicza z r. 1823, przy końcu zaś dodano podobiznę autografu „Don Carlosa“ (dwie kartki) i podobiznę autografu wiersza „Do ** w sztambuchu“.

W tomie drugim (str. 596) umieszczono: Wiersze pisane w Petersburgu i Odessie 1824—1825; Sonety erotyczne i krymskie, Wiersze pisane w Moskwie i Petersburgu 1825—1829: Wiersze pisane po wyjeździe z Rossyi 1829—1855: Urywki 1824—1855: Wiersze przypisywane Mickiewiczowi 1824—1855. Tom ten wydał i zaopatrzył

wstępem (od str. 3—25), zawierającym świetną charakterystykę poety i jego działalności od wyjazdu z Litwy w październiku r. 1824, oraz jego utworów w tym czasie powstałych, dr. Wilhelm Bruchnalski. On też podał „Odmiany tekstu“ (str. 337—414), oraz obszerne „Uwagi wydawcy“ (str. 416—590). Tom ozdobiony jest portretem Mickiewicza, według litografii Walentego Wańkowicza ze zbiorów Zakładu im. Ossolińskich, a dodano do niego podobiznę autografu całego „Farysa“; podobiznę autografu „Podróżnych“ i podobiznę autografu „Reduty Ordona“.

W tomie trzecim wreszcie (str. 285) wydano Grażynę, Konrada Wallenroda i Giaura. — „Grażynę“ wydał Wilhelm Bruchnalski, zaopatrując tekst wstępem (str. 3—12), odmianami tekstu (str. 65—79) i uwagami wydawcy (str. 83—95) — „Konrada Wallenroda“ wydał Władysław Nehring, zaopatrując go wstępem (str. 99—108), odmianami tekstu (str. 189—194) i uwagami wydawcy (str. 197—202), wreszcie „Giaura“ wydał Piotr Chmielowski, zaopatrując tekst również wstępem (str. 205—208), odmianami tekstu (str. 267—278) i uwagami wydawcy (str. 281—284). Tom ozdobiony jest wizerunkiem poety, według portretu malowanego przez Józefa Oleszkiewicza w Petersburgu 1828 r., którego oryginał znajduje się w Muzeum narodowem w Krakowie. Przy końcu tomu dodano podobiznę autografu „Grażyny“, podobiznę autografu „Konrada Wallenroda“ i podobiznę autografu „Giaura“.

Wydawnictwem „Dzieł Adama Mickiewicza“ kierował dotychczas prezes Towarzystwa liter. im. A. Mickiewicza, dr. Roman Pilat. Ponieważ prof. Pilat ustąpił w r. b. ze stanowiska prezesa Towarzystwa, więc i obowiązek kierowania wydawnictwem przeszedł na jego następcę, dr. Wilhelma Bruchnalskiego. Następcą zaś p. Władysława Bełzy jako wiceprezesa Towarzystwa jest dr. Edward Porębowicz. *ab.*

Gustaw le Bon. *Psychologia tłumu.* Przekład Zygmunta Poznańskiego. — Wydawnictwo Związku naukowo-literackiego we Lwowie „Wiedza i Życie.“ Nakładem księgarni H. Altenberga. Lwów i Warszawa 1899. Dwa tomy w jednym. Str. 233 in 8vo.

Dusza tłumu stanowi od dawna dla myślicieli i uczonych, zwłaszcza dla kryminalistów i socyologów, jeden z najciekawszych problematów; od słynnej ody Horacego: „*Odi profanum vulgus et arceo*“... Nienawidzę pospolitego tłumu i stronię od niego, — aż po czasy najnowsze, zajmowano się i zajmują tą kwestyą w zagranicznych literaturach, zajmowano się i zajmują tem także i w naszej. Przed kilku laty ogłosił cie-

kawe studyum „O tłumie“ dr. Bronisław Łoziński. Obecnie, dzięki taniemu wydawnictwu, które za cel położyło sobie traktować „Zagadnienia i prądy współczesne w dziedzinie wiedzy, sztuki i życia społecznego,“ w wybornym przekładzie p. Zygmunta Poznańskiego, przyswojono literaturze naszej jedno z najciekawszych i najnowszych dzieł na ten temat: „Psychologię tłumu“ Gustawa le Bon. Autor w badaniach swoich nad duszą tłumu stara się trzymać drogi wyłącznie naukowej, t. j. drogi ścisłej metody, z odrzuceniem utartych poglądów, teoryj i doktryn, — drogi wolnej od wszelkiego roznamiętnienia, z jakiem tak często kwestye te dotychczas traktowano. W trzech księgach rozbiera autor po kolei: Duszę tłumu, Poglądy i wierzenia tłumu; oraz daje „Klasyfikacyę i opis różnych kategoryj tłumów.“ Wywody jego są w ogóle bardzo interesujące a niepozbawione samodzielności i oryginalności. Często autor dochodzi do wniosków odmiennych od tych, które na pierwszy rzut oka wydawałyby się zupełnie logicznymi. Tak n. p. konstatując niski poziom umysłowy tłumu, nawet zgromadzeń złożonych z samej inteligencyi, twierdzi równocześnie, że pomimo to byłoby niebezpiecznie naruszać ich organizacyę. To też w przedmowie tłumaczy autor, że najskropulatniejsza obserwacya faktów historycznych przekonała go, iż organizmy społeczne są równie skomplikowane, jak i wszelkie inne, i że bynajmniej nie jesteśmy w możności raptownie dokonać w nich zmian gruntownych. Manię wielkich reform uważa też autor dla każdego narodu za rzecz najzgubniejszą, chociażby te reformy z teoretycznego punktu widzenia wydawały się doskonałemi, — gdyż, jak mówi, mogłyby one przynieść pożytek tylko pod tym warunkiem, gdyby udało się kiedykolwiek za jednym zamachem zmienić duszę narodu. Takiej wszakże zmiany tylko czas dokonać może, — ludźmi bowiem rządzą idee, uczucia i obyczaje, stanowiące naszą wewnętrzną istotę. Instytucye społeczne i ustawy, są tylko przejawem duszy naszej, wyrazem naszych potrzeb, a będąc duszy tej wypływem, nie mogą, rzecz jasna, jej zmienić. Badania zjawisk społecznych niepodobna oddzielić od badania ludów, wśród których zjawiska te powstały, — a rozważając jakiekolwiek zjawiska społeczne ze stron rozmaitych, przyjdziemy na pewno do wniosku, że „wskazania czystego rozumu często są w sprzeczności ze wskazaniami rozumu praktycznego.“ Pod tym względem autor ma niewątpliwie słuszność, wniosek jego jednak na tej podstawie oparty, iż „fikcya bywa niekiedy bardziej prawdziwą od rzeczywistości.“ brzmi co najmniej zbyt paradoksalnie. Jakżeż słusznem jest natomiast zdanie autora: „Myśliciel, zajmujący się badaniami społecznemi, powinien tedy zawsze pamiętać o tem, że zjawiska społeczne mają oprócz znaczenia teoretycznego jeszcze i praktyczne znaczenie i że ze stanowiska ewolucyi cywilizacyi, tylko

to ostatnie ma pewną doniosłość." Już świadomość tej prawdy uczyni go przezornym, ale przezorność nakazują mu inne jeszcze motywy. Mianowicie zjawiska społeczne są tak skomplikowane, iż niepodobna objąć ich w całości i przewidzieć skutków ich wzajemnego oddziaływania na siebie; należy również przypuszczać, iż po za faktami widocznymi ukrywają się niekiedy tysiące przyczyn niewidzialnych, a te zjawiska społeczne, które widzimy, zdają się być wypadkową całej masy procesów nieświadomych, po największej części nawet zupełnie niedostępnych dla naszej analizy. Większość czynów, mówi autor, dokonywanych przez tłum, dowodzi najczęściej, że umysłowość tłumu jest bardzą niską: ale są również czyny inne, zdumiewające, jak n. p. język, cudowny a nieświadomy wytwór duszy tłumu. Autor skłonny jest nawet przypuszczać, że nieświadomość działania tłumów, jest może tajemnicą ich potęgi. Na punkcie znaczenia rozumu w odniesieniu do nieświadomych procesów, których zadziwiające objawy tak często oglądamy, autor w ogóle jest pesymistą; twierdzi on, że we wszystkich naszych czynnościach rola tych procesów jest olbrzymią a rola rozumu niezmiernie małą. Nieświadomość jest potęgą dotąd jeszcze niezbadaną; jeżeli zatem pragniemy pozostać w wąskich ale pewnych granicach rzeczy, które nauka może poznać, nie zaś błądzić po bezdrożach nieokreślonych domysłów lub bezcelowych hipotez, winniśmy poprzestać na konstatowaniu dostępnych dla nas zjawisk. Wszelakie wnioski — mówi autor — wyciągane z naszych spostrzeżeń są zazwyczaj przedwczesne, gdyż po za zjawiskami, które widzimy dobrze, istnieją inne, które widzimy już niedokładnie, a jeszcze dalej, po za temi ostatniemi, są takie, których nie widzimy wcale.

Niepodobna zajmować się tu szczegółowo wywodami p. Le Bon,— omawiać je, przytaczać czy polemizować z niemi; stwierdzić jednak należy, że są nadzwyczaj interesujące a w wielu wypadkach bardzo prawdziwe. Wystarczy przytoczyć ustępy o sądach przysięgłych lub rozdziały o tłumie wyborczym i o zgromadzeniach parlamentarnych. Ale i w innych także wiele jest twierdzeń słusznych i samodzielnych. Nie na wszystko jednak zgodzić się można, zgodzić się wolno. W szczególności autor, zapewne pragnąc utrzymać się „na wysokości" swej metody „ściśle naukowej", niedocenia znaczenia etyki i wiary, lub mówiąc dokładniej, generalizuje wszystkie wierzenia religijne i z tego powodu unika skwapliwie należytego uwzględnienia wpływu nauki Chrystusa na psychologię tłumu i na historyę duszy tego tłumu. To też mówiąc o wychowaniu tłumu, a w szczególności o wadach dzisiejszego wychowania wśród narodów romańskich, pomija zupełnie brak w tem wychowaniu czynnika, którym jest nauka religii i etyki, a którego niedostatek co raz jaskrawiej się

uwydatnia i coraz ogólniej bywa uznawany nawet we Francyi. Także w ogóle wpływ religii, jest dla autora wpływem „złudzeń,“ które nawet obalone, człowiek, „jak się zdaje, musi zawsze na nowo do życia powoływać.“ „Złudzenia“ te, zdaniem autora, „są to bezwątpienia szare tylko cienie (!), ale tym marzeniom zawdzięczają narody wspaniałość swej sztuki i wielkość swej cywilizacyi“.

Na wstępie swego dzieła stwierdza autor, że stulecie w które wstępujemy jest erą tłumów. Jeszcze przed niespełna wiekiem z potęgą i opinią tłumów liczono się bardzo mało a po większej części nie zwracano na nią nawet uwagi, oglądając się tylko na tradycyjną politykę państw i na rywalizacyę panujących. Dzisiaj zaś przeciwnie, nie liczą się już ani z tradycyjną polityką ani z indywidualnemi skłonnościami panujących, a na pierwszym planie stoi głos tłumu. Potęga tłumu wzrastała stopniowo, — a przejście władzy do rąk klas ludowych zaznaczyło się nie przez powszechne głosowanie, ale drogą asocyacyi. Żądania tłumu stają się dziś coraz wyraźniejsze, a dążą w ostateczności do zupełnego zburzenia porządku społecznego. Autor twierdzi, że ostatnią deską ratunku mężów stanu, którzy pragną już nie rządzić tłumem, bo to rzecz trudna, ale przynajmniej nie pozwolić mu zbyt sobą powodować, jest znajomość psychologii tłumów. Oprócz tego zaś praktycznego zadania, nauka psychologii tłumów oświetla także wiele zjawisk historycznych i ekonomicznych, cały pochód cywilizacyi.

Do jakich wniosków w tym kierunku doszedł p. Le Bon, to konkluduje on w końcowym swym poglądzie. Ogarniając jednym rzutem oka najgłówniejsze momenta rozwoju i upadku cywilizacyj dzisiejszych, widzi on mianowicie w zaraniu ich garstkę ludzi rozmaitego pochodzenia, różnych wiarą, językiem, zebranych jakimś przypadkiem, a połączonych tylko węzłem wspólnego posłuszeństwa dla rozkazów naczelnika. Te hordy barbarzyńców mają nadzwyczaj wyraźne cechy psychiczne tłumu; jego bohaterstwo i niemoc, jego impulzywność (t. j. wrażliwość) i gwałtowność, żadnej stałości. — Czas jednak dokonywa zwolna swego dzieła i pod względem jednostajnego otoczenia, ciągłego krzyżowania oraz wymagań wspólnego życia — owe bezładne aglomeraty zaczynają się stapiać i tworzyć rasę t. j. agregat, posiadający wspólne cechy i uczucia, które dziedziczność coraz bardziej utrwala. Tłum staje się ludem, a gdy lud ten zdobędzie sobie pewien ideał, wówczas wychodzi on ze stadyum barbarzyństwa, uzyskuje jedność uczuć i myśli i może stworzyć nową cywilizacyę, posiadającą własne instytucye i wierzenia oraz własną sztukę. Dążąc ku swemu ideałowi, rasa osiąga stopniowo wszystkie warunki świetności, siły i wielkości: w niektórych chwilach swego życia będzie ona jeszcze tłumem, ale i wówczas na dnie zmiennych i ruchliwych

cech tłumu znajdzie się ów trwały podkład, owa dusza rasy, która zakreśla ściśłe granice oscylacyom psychicznego życia ludu i miarkuje działanie przypadku. — Po twórczej jednak działalności czasu, następuje jego działalność destrukcyjna. Osiągnąwszy pewien stopień potęgi i złożonej budowy, cywilizacya przestaje się rozwijać, a z chwilą gdy wzrost jej się zatrzymuje, poczyna chylić się ku upadkowi. Stałą oznaką tej fazy jest stopniowy zanik ideału, który był podporą duszy rasy. Wraz ze stopniowym zanikiem ideału, naród traci coraz bardziej swą spójność, jedność i siłę. Lud staje się znowu luźnym aglomeratem osobników, utrzymywanych sztucznie tylko przez czas jakiś mocą tradycyi i instytucyj. Rozdarci przez sprzeczne interesa i aspiracye, nie umiejąc sami sobą rządzić, ludzie żądają wówczas, aby ktoś kierował najdrobniejszymi ich czynami i państwo zaczyna przejawiać swój wpływ zachłanny. Gdy naród nareszcie zupełnie zatraci swój ideał, dusza jego umiera bezpowrotnie. Rozpoczynają się żądy pospólstwa, a u wrót państwa stają hordy barbarzyńców. Cywilizacya może jeszcze błyszczeć pozorami świetności, zewnętrzną okazałością z doby dawniejszej; w rzeczywistości jednak robactwo stoczyło już ten gmach wspaniały, i runie on przy pierwszej burzy. „Naród więc każdy, w pogoni za ideałem przechodzi ze stadyum barbarzyństwa do cywilizacyi, a następnie z chwilą, gdy ideał ten utracił swą moc, chyli się ku upadkowi i wreszcie umiera; takim jest cykl jego żywota.“

Często nie można się zgodzić z autorem i z jego dziełem — ale nauczyć się z dzieła tego można wiele.

ab.

Potęga wojenna Rossyi w świetle najnowszych danych urzędowych. (Z mapą dyslokacyjną pogranicza zachodniego). — Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Str. 248 in 8o.

Jest to praca poważna i uwagi godna. Dalekie od celów podrzędnych, nie polujące na senzacyę lub na niedyskretne rewelacye, dziełko to liczy się tylko z faktem istnienia olbrzymiej armii państwa rossyjskiego, będącej potężnym czynnikiem w życiu politycznem współczesnej doby, i stara się tę potęgę wojenną ująć w cyfry przez wszechstronne i wyczerpujące zbadanie organizacyi i liczebności wojska rossyjskiego na stopie wojennej. Obliczenia i wywody oparte są na źródłach urzędowych w dziele wymienionych, a dokładność i obfitość tych liczb występuje dobitnie przez porównania z liczbami tak poważnego dzieła jak obliczenia Drygalskiego, zamieszczone w znanych rocznikach Loebella (*Loebell's Jahresberichte über die Veränderungen und Fortschritte im Militärwesen. XXV. Jahrgang*). Wszystkie wątpliwości i przy-

puszczenia są skrupulatnie zaznaczone; tam więc gdzie nie ma ich zaznaczonych, można według zapewnienia autora przyjąć cyfry i wyjaśnienia za autentyczne. Ażeby praca ta mogła jak najdłużej zachować swą wartość, wychodzić będą w miarę potrzeby, co najmniej raz w rok, uzupełnienia, uwzględniające zaszłe zmiany; przy końcu książki są już takie uzupełnienia, dodane za czas, w którym książkę drukowano.

Bezimienny autor podaje przedewszystkiem podział i dyslokacyę wojska rossyjskiego podczas pokoju. Okazuje się z tego, że n. p. w okręgu wojskowym warszawskim (okręgów takich w granicach Rossyi w ogóle jest 12), obejmującym całe Królestwo polskie bez gubernii suwalskiej (a więc dziewięć gubernij), dalej gubernię grodzieńską bez dwóch powiatów (grodzieńskiego i słonimskiego), tudzież dwa powiaty gubernii wołyńskiej (włodzimierski i kowieński), znajduje się w czasie pokoju 220 batalionów piechoty, 218 szwadronów i sotni kawaleryi, oraz 86 bateryj pieszych, 15 konnych i 4 moździerzowych: okręg warszawski ma najwięcej wojska, w całej zaś Rossyi jest w czasie pokoju: 1.106 batalionów piechoty, 717 szwadronów i setni kawaleryi, 471 bateryj pieszych, 52 bateryj konnych, 27 bateryj moździerzowych. Oprócz tego n. p. w okręgu warszawskim jest sześć twierdz (Osowiec, Zegrze, Modlin, Warszawa, Dęblin, Brześć litewski), rozporządzających: 13 pułkami i 3 batalionami piechoty fortecznej, 24 batalionami artyleryi fortecznej (z tych jeden oblężniczy), 5 kompaniami fort. saperów, 4 bateryami do urządzania wycieczek, 5 parkami balonowemi; nadto inżynierya, bataliony taboru, żandarmerya polowa i straż pograniczna.

Z kolei daje autor wyczerpujący, jasny i treściwy obraz organizacyi wojska rossyjskiego na stopie wojny. Autor kreśli przedewszystkiem organizacyę zarządów polowych, w szczególności mówi o tworzeniu armii i o funkcyach wodza naczelnego, dalej o jego sztabie, o zarządach polowych armii, następnie o takimże zarządzie korpusu samoistnego, o zarządach okręgów wojskowych teatru wojny, o zarządach korpusu i dywizyi. Następnie mówi o organizacyi piechoty, kawaleryi, artyleryi, inżynieryi, taboru, żandarmeryi polowej i straży pogranicznej.

Trzeci rozdział poświęcony jest kwestyi etatów wojennych wojska rossyjskiego, przyczem szczegółowo a zwięźle oblicza autor etat t. zn. stopę czynną każdego oddziału na wypadek wojny, wykazuje, wiele każdy pułk czy inny oddział ma oficerów, ludzi, koni i t. d., — poczem, opierając się na poprzednich wywodach, oblicza siłę etatową wojska rossyjskiego. Na podstawie tych obliczeń dochodzi autor do wniosku, że przy nieznacznem zaokrągleniu liczb, cała potęga wojenna Rossyi wynosi (w nawiasach są podane liczby wojska, które z tej ogólnej cyfry przypadają na Europę; reszta zaś na Kaukaz i Azyę): oficerów

56.500 (45.580), urzędników wojskowych 10.860 (8.680), żołnierzy 2,854.200 (2,311.400), koni 730.300 (582.200). Ponieważ zaś powyższe liczby nie uwzględniają administracyi miejscowej, zarządów twierdz, straży pogranicznej i więziennej, piechoty miejscowej, milicyi kaukazkiej, niektórych oddziałów taboru i t. d., tudzież koni prywatnych, przeto autor zaznacza, że można przyjąć, iż wojsko rossyjskie na stopie wojny składa się conajmniej z 3,000.000 ludzi, w tej liczbie 60.000 oficerów, 12.000 urzędników, oraz z 750.000 koni! Jest to prawdziwa potęga! Samego wojska czynnego na Europę przypada: oficerów 27.080, urzędników 5.790, żołnierzy 1,244.300, koni 387.500. Autor wykazuje także cyfrowo, że Rossya ma dostateczny zasób wyćwiczonych żołnierzy do zmobilizowania wszystkich projektowanych formacyj wojska: inaczej rzecz się ma jednak z korpusem oficerskim, — pod tym względem autor wyraża wielkie powątpiewanie.

Przy końcu szkicuje autor przypuszczalny *ordre de bataille* wojska rossyjskiego na wypadek wojny z Niemcami, Austro-Węgrami i Rumunią; jest to naturalnie kombinacya zupełnie dowolna, podana *exempli gratia*, tylko jako materyał do przypuszczeń dla czytelnika, jak zaznacza sam autor. *ab.*

Prawo spadkowe Hebrejczyków i Indów. Studyum przez dr. Stanisława Szachowskiego, nadzw. profesora Uniwersytetu lwowskiego. Lwów 1900. Str. 101.

Jest to niejako wstęp do pracy o dziedziczeniu przeciw-testamentowem i zachowku (legityma) w prawodawstwie rzymskiem, który to przedmiot autor, jak sam w przedmowie zaznacza, od dłuższego czasu studyuje. Przy studyach tych, cofając się do początków wspomnianych wyżej instytucyj prawa rzymskiego, autor znalazł się w tem położeniu, że musiał sięgnąć do prawodawstw, których postanowienia w tej materyi dałyby się wprowadzić w jakiś związek z postanowieniami prawa rzymskiego: do prawodawstw Hebrejczyków i Indów. W studyum swem, podaje zatem autor rezultaty swych dociekań, rzucające na dany przedmiot niewątpliwie światło interesujące, a dla piśmiennictwa prawnego polskiego do pewnego stopnia nowe. Rzecz napisana jest z wielką erudycyą i gruntownie, a o ile przedmiot, dla dzisiejszych generacyj prawniczych na pozór dość egzotyczny, pozwala, przystępnie i jasno.

J a r o s ł a w V r c h l i c k y. *Legenda o św. Prokopie.* Przełożył i objaśnił dr. Fr. Krček.

Jeden z najwybitniejszych poetów czeskich w ogóle, najwybitniejszy pomiędzy żyjącymi, dr. Emil Frida, znany lepiej pod popularnym dzisiaj nie tylko w Czechach, ale także już i w całej Słowiańszczyźnie a przedewszystkiem wśród narodu naszego, którego Frida jest gorącym przyjacielem, pseudonimem Jarosława Vrchlickiego, — ogłosił przed kilku laty „Legendę o św. Prokopie“, utwór, którym wśród ziomków wywarł silne wrażenie. „Legendę“ wydano już dotychczas w Czechach sześć razy, a młodzież czeska rozczytuje się w niej z upodobaniem. — Obecnie dzięki wielkiemu zwolennikowi zbliżenia się Polaków i Czechów, w szczególności na polu literackiem i naukowem, dr. Franciszkowi Krčekowi, ta perła nowszej poezyi czeskiej stała się także naszą własnością: poznaliśmy ją mianowicie w przekładzie dr. Krčeka, w przekładzie, który mimo wszelkich zastrzeżeń i skromności tłómacza, uznać trzeba za wzorowy.

„Legenda“ napisana jest w formie dawnych legend czeskich, ośmiogłoskowym, nierymowanym wierszem prozaicznym, — a formę tę tłómacz ściśle zachował.

Dwa są motywa które zjednały „Legendzie“ Vrchlickiego taką popularność w Czechach: z jednej strony zalety literackie utworu, znakomite uchwycenie ducha i nastroju legendy średniowiecznej oraz przybranie opowieści w mistrzowską formę, uświetnioną czarem prawdziwego natchnienia poetyckiego, — z drugiej zaś gorąca miłość kraju i narodu swego, przeglądająca z każdego niemal słowa „Legendy“, która musiała oddziałać i oddziałała bardzo silnie na rozbudzenie i podtrzymanie wśród ludu czeskiego ducha narodowego. W przekładzie prof. Krčeka te zalety utworu nie tylko nic nie uroniły, lecz występują z całą siłą, a w polskim czytelniku utwór budzi przez analogię te same uczucia i myśli, co w czytelniku czeskim. Tem większe też uznanie i wdzięczność należy się tłómaczowi, że zaznajomił nas z tym pod każdym względem pięknym i interesującym poematem.

ab.

Sully James. *Umysłowość ludzka. Księga podręczna psychologii.* Przełożył z angielskiego J. K. Potocki. Tom I. 618 stron w dużej ósemce; Tom II. 456 stron. — Warszawa 1898—1899.

W warszawskim „Przewodniku dla samouków“ wyrażono się o Sullym, że „jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej psychologii angielskiej“. Może to zdanie nie całkiem słuszne, gdyż najwybitniejszym i najbardziej znanym współczesnym psychologiem angielskim jest William James, profesor psychologii w najznakomitszym Uniwersytecie amerykańskim (Harvard University w Cambridge, w sta-

nie Massachusetts) — ale i Sullyego do najwybitniejszych zaliczyć można. Jedno zaś z głównych dzieł tego ostatniego, stało się własnością literatury polskiej, dzięki wybornemu przekładowi p. J. K. Potockiego. Tom I. dzieła obejmuje psychologię umysłu i poznania: tom II. poświęcony jest psychologii uczuć i woli. W „dodatkach" podane są zwięzłe opracowania szeregu zagadnień z dziedziny psychologii, jak podział zjawisk duchowych, pamięć i prawa kojarzenia, teorye rozkoszy i bólu, podział wzruszeń i t. d.

Encyklopedyi powszechnej S. Orgelbranda, wydawanej zeszytami w Warszawie, wyszło już 142 zeszytów: tworzą one siedm pełnych tomów a obecnie wychodzi tom VIII. Całość będzie obejmowała tomów 12 lub 13. Wydawnictwo, zastosowane do stanu nauki dzisiejszej, podaje w zwięzłej formie wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy i życia ludzkiego, a ozdobione jest licznemi ilustracyami w tekście, oraz tablicami i mapami.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ"